

PHILIP K. DICK

GALAKTYCZNY DRUCIARZ

Przełożył Cezary Ostrowski
Tytuł oryginału **Galactic Pot-Healer**
Copyright © Philip K. Dick 1969
Wydanie I

Rozdział pierwszy

Przed nim konserwatorem był jego ojciec. On także łątał porcelanę, a w zasadzie wszelkie ceramiczne szczytki z Dawnych Czasów, sprzed wojny, gdy nie wszystko jeszcze robiono z plastyku. Ceramiczny bibelot to wspaniała rzecz, a każdy naprawiony przez niego przedmiot stawał się obiektem umiłowanym, nie dającym się zapomnieć; jego kształt, powierzchnia i blask pozostawały na zawsze w jego pamięci.

Jednakże nikt już nie potrzebował jego umiejętności. Pozostało zbyt mało ceramiki, a ludzie, którzy ją posiadali, dbali o to, by się nie tłukła.

- Jestem Joe Fernwright - powiedział do siebie. - Najlepszy druciarz na Ziemi. Ja, Joe Fernwright, różnię się od innych ludzi.

W jego biurze piętrzyły się puste stalowe pudła, służące do zwrotu naprawionej porcelany. Ale miejsce na przyjmowany towar od siedmiu miesięcy świeciło pustkami.

Przez ten czas myślał o wielu rzeczach. O tym, żeby to rzucić i wybrać dla siebie inny fach, jakikolwiek fach z przyszłością. Jednak nie jestem wystarczająco dobry. Nie mam żadnych klientów, ponieważ oni posyłają swo-

ją porcelanę do naprawy innym firmom. Myślał o samobójstwie, a także o przestępstwie większego kalibru, o zabiciu kogoś z hierarchii Światowego Senatu Pokoju. Ale co by to zmieniło? Życie mimo wszystko miało jakiś sens, bo pozostała jedna dobra rzecz, mimo iż wszystko inne oddaliło się od niego. Gra.

Joe Fernwright z lunchem w dłoni czekał na dachu swego domu na przybycie ekspresowego poduszkiowca. Chłodne powietrze poranka ziębiło go ze wszystkich stron. Drżał. Pocieszał się, że transportowiec zaraz się zjawi. Ale będzie w nim tłoczno. Więc nie zatrzyma się, przemknie bokiem i uleci gdzieś w dal. No cóż, pomyślał Joe, mogę się przejść.

Przywykł do chodzenia. Jak z wieloma innymi sprawami, tak i z publiczną komunikacją rządowi nie szło najlepiej. Niech ich cholera weźmie, powiedział do siebie Joe. A raczej, poprawił się, niech nas weźmie cholera. W końcu on również był częścią rozbudowanego aparatu partyjnego, sieci żyłek oplatających wszystko, a potem duszących miłosnym uściskiem obejmującym cały świat.

- Poddaję się - stwierdził stojący za nim mężczyzna, zaciskając z poirytowaniem wygolone i uperfumo-wane szczęki. - Zjadę zjeżdżalnią do poziomu ulicy i pójdę pieszo. Powodzenia.

Mężczyzna przepchnął się pomiędzy oczekującymi na poduszkiowiec, a ci ponownie zwarli swe szeregi, tak że zniknął z pola widzenia.

Ja też idę, zdecydował Joe. Skierował się ku zjeżdżalni, a za nim jeszcze paru innych ludzi.

Na poziomie ulicy wszedł na popękany i wypaczony chodnik, wziął głęboki gniewny wdech i z pomocą własnych nóg ruszył na północ.

Jakiś policyjny krążownik obniżył lot tuż nad jego głową.

- Idziesz zbyt wolno - poinformował go odziany służbowo officer i wycelował w niego laserowy pistolet marki Walters & James. - Przyspiesz albo cię skasuję.

- Obiecuję - oznajmił Joe - że się pospieszę. Proszę tylko o pozwolenie na nabranie tempa. Dopiero co ruszyłem.

Przyspieszył. Zrównał się z innymi ludźmi dzielnie przebiegającymi nogami, którzy jak on mieli jakąś pracę lub coś do załatwienia w ten wietrzny czwartkowy ranek na początku kwietnia 2046 roku w mieście Cle-veland w Komunistycznej Republice Ludowej Ameryki Północnej. Albo, pomyślał, mieli coś, co przypominało pracę. Miejsce pracy, talent, doświadczenie i pewnego dnia jakieś zamówienie do wykonania.

Jego biuro i pracownia - kwadratowa klitka - mieściło ławę, narzędzia, sterty pustych pudeł z metalu, małe biurko i prądawny fotel, pokryty skórą bujak, który należał kiedyś do jego dziadka, a potem do ojca. Teraz on w nim siedział, dzień w dzień, miesiąc za miesiącem. Miał również porcelanowy wazon, przysadzisty i pękaty, wykończony niebieską emalią. Znalazł go wiele lat temu i rozpoznał w nim japońszczyznę z siedemnastego wieku. Kochał go. Wazon nigdy nie był stłuczony, nawet podczas wojny.

Usadowił się w fotelu i czuł, jak z trzaskiem dopasowuje się on do znajomego ciała. Fotel znał go równie dobrze, jak on znał ów mebel. Wyciągnął dłoń, by nacisnąć przycisk, który sprawi, że poranna poczta spłynie przez tubę na jego biurko. Wyciągnął dłoń, ale zawahał się. A jeśli nic nie przyszło, zapytał sam siebie. Nigdy nie przychodzi. Ale jak mogło być inaczej. To jest jak hazard; zawsze wierzysz, że za którymś razem się uda. I udaje się. Joe nacisnął guzik i wysunęły się trzy świstki. Za nimi pojawił się szary pakunek, zawierający dzisiejszą pocztę rządową oraz jego dzienną dołę. Rządowe pieniądze, w formie brzydkich i prawie bezwartościowych znaczków.

Każdego dnia, gdy otrzymywał szarą kopertę z nowo wydrukowanymi banknotami, leciał najszybciej jak to było możliwe do CZH, najbliższego supercentrum zaku-powo-handlowego i dokonywał pospiesznych transakcji. Zamieniał banknoty, póki miały jakąś wartość, na produkty spożywcze, czasopisma, pigułki i nową koszulę - cokolwiek użytecznego. Wszyscy tak robili. Musieli. Trzymanie banknotów ponad 24 godziny było katastrofą, rodzajem samobójstwa. Mniej więcej w dwa dni traciły one osiemdziesiąt procent swojej siły nabywczej.

Sąsiad z klatki obok zawołał:

- Niechaj Prezydent żyje nam w wiecznym zdrowiu! Oto jak brzmiało rutynowe pozdrowienie.

- Tak - odparł Joe refleksyjnie. Klatka na klatce, całe rzędy klatek. Nagle coś przyszło mu do głowy. Ile pomieszczeń było w tym budynku? Tysiąc? Dwa, dwa i pół tysiąca? Mogę dziś się tym zająć, powiedział sobie. Mogę sprawdzić, ile kabin, prócz mojej, znajduje się wokół. Wówczas będę wiedział, ilu ludzi przebywa w budynku... nie licząc chorych i tych, co już zmarli.

Jednak najpierw papieros. Wyjął paczkę tytoniowych papierosów, wysoce nielegalnych z uwagi na niebezpieczeństwo dla zdrowia i narkotyczną naturę, i zaczął palić.

W tym momencie jego wzrok padł jak zwykle na czujnik dymu zamontowany w przeciwległej ścianie. Jeden dymek, dziesięć kredytów, powiedział sobie. Schował papierosy do kieszeni i przetarł energicznie czoło, jakby chciał wyrzucić z mózgowicy to pragnienie, które skłaniało go do wielokrotnego łamania prawa. O co mi właściwie chodzi, zapytał sam siebie. Co chcę sobie tym zastąpić? Coś okazałego, zdecydował.

Czuł wzbierający w nim wielki głód, jakby chciał pożreć wszystko dokoła. Przenieść wszystko z zewnątrz do wewnątrz.

To właśnie doprowadziło go do Gry.

Nacisnąwszy czerwony guzik, podniósł słuchawkę i czekał aż powolna maszyna połączy go z linią zewnętrzną.

- Kraaak - oznajmił telefon. Jego ekran wypełniły bezładne kolory, kształty; elektroniczny miszmasz. Zadzwonił z pamięci. Dwanaście cyfr, trzy pierwsze łączyły go z Moskwą.

- Od wicekomisarza Saxtona Gordona - oznajmił rosyjskiemu oficerowi, którego twarz pojawiła się na ekranie.

- Znowu Gra, jak przypuszczam - stwierdził operator.

Joe ciągnął dalej:

- Humanoidalny dwójnóg nie może utrzymać procesów metabolicznych przy pomocy mączki z planktonu.

Po ganiącym purytańskim spojrzeniu oficer połączył go z Gaukiem. Spojrzała na niego znudzona twarz niskiego rangą rosyjskiego urzędnika. Znudzenie zaraz ustąpiło miejsca zainteresowaniu.

- A presławni witiaz - zaciągnął Gauk. - Dostojni grażdan między bieżmózgawoj...

- Dość tej mowy - przerwał zniecierpliwiony Joe. Był to jego zwykły poranny nastrój.

- Prostitute - przeprosił Gauk.

- Masz dla mnie tytuł? - zapytał Joe. Trzymał pióro w gotowości.

- Tokijski komputer tłumaczący był zajęty przez cały ranek - odparł Gauk. - Spróbowałem więc z mniejszym, w Kobe. Pod pewnymi względami Kobe jest bardziej... jakby to powiedzieć...

odpowiednie niż Tokio - zrobił pauzę, spoglądając na skrawek papieru. Jego biuro, podobnie jak biuro Joego, było klatką z biurkiem, telefonem, plastikowym krzesłem i notesem. - Gotów?

- Gotów. - Joe zrobił nieokreślony znaczek piórem.

Gauk przełknął ślinę i przeczytał skrawek papieru, z łagodnym grymasem na twarzy, jakby tym razem był pewien siebie:

- To pochodzi z waszego języka - wyjaśnił, honorując zasady, które wszyscy razem wymyślili.

Rozsiani po różnych krańcach Ziemi, w małych biurach, w niewygodnych pozycjach, nie mający nic do roboty; żadnych zadań, żadnych zmartwień, czy trudnych problemów do rozwiązania. Nic poza pustką ich kolektywnej społeczności, której każdy przeciwstawiał się na swój sposób, i którą wszyscy razem przeistaczali z pomocą Gry.

- Tytuł książki - kontynuował Gauk - to jedyna wskazówka jaką mogę ci dać.

- Czy jest dobrze znana? - zapytał Joe. Ignorując jego pytanie, Gauk odczytał na głos trzymany skrawek papieru:

- Pół synonimu przysłowia, bieganie, alfabetu koniec, wiejskie imię kobitki.

- Alfabetu koniec? - zapytał Joe.
- Nie, alfabetu koniec.
- Pół synonimu przysłowia - zastanawiał się Joe. - Porzekadło, porze... Bieganie, gnanie? - po-skrobał się piórem. - I masz to z komputera w Kobe? Alfabetu koniec to „z” - zapisał wszystko. Pozę... gnanie „z”. - Pożegnanie z... wiejskie imię kobitki. No jasne, już to miał.
- Pożegnanie z bronią - triumfował.
- Dziesięć punktów dla ciebie - oznajmił Gauk. Podliczył coś. - To stawia cię na równi z Hirshme-
yerem w Berlinie i tuż nad Smithem w Nowym Jorku. Chcesz spróbować jeszcze raz?
_ Też mam coś dla ciebie - powiedział Joe i wyjął z kieszeni zwiniętą kartkę. Rozłożył ją na biurku i odczytał: - Duży ssak lądowy, witamina, w dodatku kielkuje. _ Spojrzał na Gauka, czując ciepło wiedzy, jaką uzyskał od dużego komputera tłumaczącego w Tokio.
Gauk odpowiedział bez wysiłku:
- Słoń „ce”. Słońce też wschodzi. Dziesięć punktów dla mnie. - Zapisał to sobie.
Joe wyrzucił z siebie rozdrażniony:
- Początek nazwy ustroju, podwójny, pobiera pożywienie, rodzaj spodni.
- Znowu coś, co lubię - odparł Gauk z szerokim uśmiechem. - Komu bije dzwon.
- Coś, co lubię? - powtórzył Joe pytająco.
- Ernest Hemingway.
- Poddaję się - stwierdził Joe. Czuł się znużony. Gauk jak zwykle bił go na głowę w grze polegającej na przekładaniu komputerowych tłumaczeń na ludzki język.
- Chcesz jeszcze spróbować? - jedwabiście zapytał Gauk.
- Tylko raz - zdecydował Joe.
- Większość, przysłówki, zgina, głoska.
- Jezu - westchnął oszołomiony Joe. Absolutnie nic mu to nie mówiło. Większość, przysłówki, myślał szybko, zgina, głoska. W jego głowie nie pojawiło się żadne rozwiązanie. - Głoska. Jest ich tyle... - Przez moment próbował medytować jak jogini. - Nie - powiedział w końcu. - Nie potrafię tego złożyć. Poddaję się.
- Tak szybko? - dopytywał się Gauk, unosząc brwi.
- To nie ma sensu, siedzieć przez cały dzień i walczyć ten jeden tytuł.
- Zabawne - stwierdził Gauk.
Joe znów westchnął.
- Wzdychasz, że nie rozwiązałeś czegoś, co powinieneś rozwiązać? - zapytał Gauk. - Czyżbyś się zmęczył, Fernwright? Czy męczy cię siedzenie w tej klitce, wielogodzinne nieróbstwo, na które wszyscy jesteśmy skazani? Może wolałbyś siedzieć w ciszy i z nikim nie rozmawiać? Nie próbować już? - Gauk zdawał się poważnie zmartwiony. Jego twarz pociemniała.
- To dlatego, że zagadka była taka łatwa - wyznał potulnie Joe. Wiedział, że jego kolegi w Moskwie to nie przekonuje. - Okay - kontynuował - jestem przybity. Dłużej już tego nie zniosę. Wiesz, co mam na myśli? Wiesz... - poczekał. Przez moment żaden z nich nic nie mówił.
- Rozłączam się - oznajmił Joe i chciał odłożyć słuchawkę.
- Czekaj! - powiedział gwałtownie Gauk. - Jeszcze jedna zagadka.
- Nie - stwierdził Joe. Odłożył słuchawkę i gapił się w pustkę. Na swej kartce papieru miał jeszcze kilka zagadek, ale to już przeszłość, stwierdził gorzko. Przeszłością jest ta energia, możliwość spędzenia życia bez godnej pracy, coś tak trywialnego, jak Gra, którą stworzyliśmy. Kontakt z innymi, pomyślał; przez Grę rozbiliśmy przypisaną nam izolację. Możemy wychylić się na zewnątrz, ale cóż tam widzimy? Lustrzane odbicia nas samych, nasze blade sobowtóry nie zajmujące się niczym szczególnym. Śmierć jest bardzo blisko, pomyślał. Zwłaszcza kiedy się tak myśli. Mogę to poczuć, zdecydował. Jak blisko już jestem. Nic mnie nie zabija; nie mam wrogów, antagonistów; po prostu wygasam jak subskrypcja, z miesiąca na miesiąc. Dzieje się tak, ponieważ jestem już zbyt wypalony, by uczestniczyć w czymkolwiek. Nawet jeśli oni, pozostali gracze, potrzebują mnie, to potrzebują tylko partnera.
A jednak, gdy zerknął na skrawek papieru, poczuł, że coś się z nim dzieje, coś podobnego do fotosyntezy. Zbieranie cząsteczek mocy oparte na bazie instynktu. Jego umysł sam podjął decyzję; zajął się kolejnym tytułem.
Uzyskał połączenie satelitarne z Japonią, wybrał Tokio i wystukał numer tamtejszego komputera tłumaczącego. Z biegłością popartą doświadczeniem dotarł aż do rdzenia tej wielkiej maszyny, omijając obsługę.
- Transmisja głosem - poinformował. Komputer GX9 przełączył się na głos.
- Kukurydza jest zielona - powiedział Joe i włączył nagrywanie w telefonie.
Komputer odpowiedział natychmiast, podając japoński ekwiwalent.
- Dziękuję, rozłączam się - podziękował Joe i przerwał połączenie.
Potem zadzwonił do komputera tłumaczącego w Waszyngtonie. Przewinał taśmę i nakarmił go

japońskimi słowami, by znów w formie głosowej dokonać tłumaczenia na angielski.

- Schemat jest niedoświadczony - oznajmił komputer.

- Przepraszam? - zaśmiał się Joe. - Proszę, powtórz.

- Schemat jest niedoświadczony - z boską cierpliwością wyklepał komputer.

- Czy to tłumaczenie jest dosłowne? - napierał Joe.

- Schemat jest...

- Okay, Wyłącz się. - Odwiesił słuchawkę z radosnym grymasem twarzy. Wesołość dodała mu wigoru. Przez moment siedział i wahał się, a potem zadzwonił do starego poczciwego Smitha w Nowym Jorku. Biuro zaopatrzenia, Oddział Siódmy - powiedział Smith, a na ekranie pojawiła się jego ptasia twarz. - Ach, to ty, Fernwright. Masz coś dla mnie?

- Coś łatwego - stwierdził Joe. - Schemat jest...

- Poczekaj na mój - przerwał Smith - ja pierwszy, pozwól Joe, mam coś ekstra. Nigdy tego nie rozgryziesz. Słuchaj. - Przeczytał dokładnie, robiąc przerwy między wyrazami:

- Bagienne nalegactwa. Napisał Shaft Tackapple.

- Nie - stwierdził Joe.

- Nie, co? - Smith spojrział na niego, marszcząc brwi. - Nie spróbowałeś, tylko siedzisz. Dam ci czas. Zasady mówią o pięciu minutach, masz pięć minut.

- Zrywam z tym. - Oznajmił Joe.

- Z czym zrywasz? Z Grą? Ależ jesteś na wysokiej pozycji!

- Zrywam z zawodem - ciągnął Joe. - Zamierzam porzucić miejsce pracy i rzec się telefonu. Nie będzie mnie tu, nie będę w stanie grać - wziął głęboki oddech. - Oszczędziłem sześćdziesiąt pięć ćwiartek. Przedwojennych. Zabrało mi to dwa lata.

- Monety? - Smith gapił się na niego. - Metalowe pieniądze?

- Są w azbeście, w splucze w moim domu - powiedział Joe. Sprawdzę to dziś, dodał sam do siebie. -

Po przeciwnej stronie ulicy jest budka - dodał do Smitha. Zastanawiał się, czy tych monet wystarczy.

Mówią, że pan Praca daje mało, albo inaczej to ujmując, kosztuje dużo. Ale sześćdziesiąt pięć

ćwiartek, to całe mnóstwo. Przekalkulował to szybko w notatniku. -- Dziesięć milionów dolarów w

rządowych kartkach - powiedział Smithowi. - Zgodnie z dzisiejszym kursem z porannej gazety... który jest oficjalny.

Po krótkiej pauzie Smith odezwał się powoli:

- Rozumiem. No cóż, życzę ci szczęścia. Za to, co oszczędziłeś dostaniesz dwadzieścia słów. Może dwa zdania. „Jedź do Bostonu. Pytaj o...” i tu porada się urywa, klamka zapada. Pudełko na pieniądze zagrze-choce; one same polecą labiryntem hydraulicznych kanałów wprost do pana Pracy w Oslo - potarł się pod nosem, jakby ocierał wilgoć. - Zazdroszczę ci, Fernwright. Może dwa zdania, jakie otrzymasz, wystarczą. Ja raz próbowałem. Przekazałem pięćdziesiąt ćwiartek. „Jedź do Bostonu, pytaj o...”, a potem maszyna się wyłączyła, jakby moje pieniądze sprawiły jej rozkosz, taką specyficzną maszynową rozkosz. Ale spróbuj.

- Okay - ze stoickim spokojem oznajmił Joe.

- Kiedy to połknie twoje ćwiartki... - ciągnął Smith, ale Joe wtrącił się chropawym głosem:

- Zrozumiałem cię.

- Nie błagaj o nic - powiedział Smith.

- Okay - brzmiała krótka odpowiedź.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Nie błagaj o nic - powtórzył w końcu Smith. - Nic nie zmusi tej wszawej maszyny, żeby wypluła z siebie choćby jedno słowo więcej.

- Hmmm - westchnął Joe. Chciał, żeby to zabrzmiało jak zwykle, ale słowa Smitha odniosły efekt; czuł się jakby zeszło z niego powietrze. Owiały go wichry przerażenia. Przeczucie, że to może skończyć się niczym. Fragmentaryczne stwierdzenie ze strony pana Pracy, a potem, jak mówi Smith, klamka zapada. Pan Praca wyłączając się przypomina gilotynę. Ostateczne cięcie. Jeśli jest coś ostatecznego, to właśnie moment, gdy stalowe monety wrzucone do pana Pracy znikają.

- Czy mogę podrzucić ci jeszcze jedno, które mam? - zapytał Smith. - Przeszło przez naman-ganskiego tłumacza. Słuchaj - długimi palcami prze-tar^gorączkowo swoją karteczkę.

- Straszdyło, głębia, albo, potas. Sławny film circa...

- Maratończyk - odpowiedział zimno Joe.

- Tak! Masz absolutną rację, Fernwright, trafiłeś dokładnie w samo sedno. Jeszcze jedno? Nie rozłączaj się! Mam jedno naprawdę dobre!

- To zadaj je Hirshmejerowi w Berlinie - powiedział Joe i rozłączył się.

Umieram, oświadczył sam sobie.

Usadowiony na zdezolowanym antycznym fotelu dostrzegł, że pali się czerwona lampka na jego tubie pocztowej. Prawdopodobnie paliła się już od paru minut. Dziwne, pomyślał, do pierwszej piętnaście po południu nie ma poczty. Czyżby przesyłka specjalna, zastanowił się i nacisnął guzik. Wyleciał list.

Przesyłka specjalna. Otworzył ją. W środku był kawałek papieru o treści:
Druciarzu, jesteś mi potrzebny. Dobrze ci zapłacę.
Żadnego podpisu. Żadnego adresu z wyjątkiem jego własnego. Mój Boże, pomyślał, to coś naprawdę wielkiego. Wiem, że tak jest.
Przetastował fotel, by siedzieć twarzą do czerwonego światła tuby pocztowej. Przygotował się na długie oczekiwanie, aż to nadejdzie. Chyba że wcześniej zagłódzę się na śmierć, pomyślał. Ale teraz nie chcę już umierać. Chcę pozostać przy życiu. I czekać. Czekać.
Czekał więc.

Rozdział drugi

Tego dnia nic więcej nie zjechało tubą pocztową i Joe Fernwright podążył do domu. „Dom” składał się z jednego pokoju na poziomie suterenu wielkiego wieżowca. Kiedyś firma Jiffiview z Wielkiego Cleveland pojawiała się co sześć miesięcy i tworzyła trójwymiarową, animowaną projekcję widoku Carmel w Kalifornii. Obraz ten wypełniał okno jego pokoju, czy też raczej namiastkę okna. Jednakże ostatnio z powodu złej kondycji finansowej Joe dał spokój z udawaniem, że mieszka na wielkim wzgórzu z widokiem na morze i ścianę lasu; był zadowolony z widoku płaskiego, niebieskiego szkła, a raczej z rezygnacją przyzwyczał się do niego. W dodatku, jakby tego było mało, oddał swój psychostymulator, działający na mózg gadżet, zainstalowany w szafie pokoju, który w czasie pobytu w „domu” przekonywał jego mózg, że sztuczny widok Carmel jest autentyczny. Omam zniknął z mózgu, a iluzja z okna. Teraz, po powrocie z pracy do „domu”, siedział pogrążony w depresji, koncentrując się na wszelkich paskudnych aspektach życia.
Pewnego razu Muzeum Artefaktów Historycznych w Cleveland dało mu trochę regularnej roboty. Swoim gorącoigłowym „zszywaczem” pozlepił wiele fragmentów, przywrócił wygląd wielu ceramicznym przedmiotom; tak jak przedtem robił to jego ojciec. Ale teraz było już po wszystkim, obiekty stanowiące własność muzeum zostały naprawione.
Tu, w swej małej samotni, Joe Fernwright kontemplował brak jakiegokolwiek ornamentacji. Od czasu do czasu przybywali do niego właściciele cennej, uszkodzonej porcelany, a on robił to, czego chcieli. Naprawiał ich porcelanę, a oni odchodzili. Nic po sobie nie zostawiali, żadnych bibelotów mogących zdobić jego pokój zamiast okna. Pewnego razu siedząc tu, bawił się gorącą igłą, której używał. Jeśli przycisnę to małe urządzenie do piersi, zastanawiał się włączając igłę, i skieruję je ku sercu, to zakończy ono moje życie w niecałą sekundę. W pewnym sensie jest to potężne narzędzie. Pomyłka, jaką stanowi moje życie, powtarzał sobie, zostanie zakończona. Czemu nie?
Ale istniała ta dziwna notka, którą otrzymał pocztą. Jak ta osoba, czy też osoby usłyszały o nim? Dla zdobycia klientów powtarzał wciąż ogłoszenia w „Ceramics Monthly”. Dzięki nim zdobywał te nieliczne prace, jakie miał w ciągu tych lat. Miał, a teraz przestał mieć. Ale... ta dziwna notka!
Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i w kilka sekund był twarzą w twarz ze swą byłą żoną, Kate. Z ekranu spoglądała na niego blondynka o twardych rysach twarzy.

- Cześć! - powiedział przyjaźnie.
- Gdzie są alimenty za zeszły miesiąc? - zapytała.
- Coś mi wpadnie - odrzekł Joe. - Będę mógł zapłacić wszystkie zaległe alimenty, jeśli...
- Jeśli co? - przerwała mu. - Jakiś kolejny zwiariowany pomysł zrodzony w twojej chorej głowie?
- Notatka - oznajmił. - Chcę ci ją odczytać. Może będziesz w stanie powiedzieć na ten temat coś więcej niż ja.

Jego eks-żona, choć jej za to nienawidził, za to i za wiele innych rzeczy, miała błyskotliwy umysł. Nawet teraz, w rok po ich rozwodzie, nadal polegał na jej intelekcie. To dziwne, pomyślał kiedyś, że można znienawidzić jakąś osobę i nigdy już nie chcieć jej widzieć, a jednak czasami pragnąć jej porady. To irracjonalne. Albo, zastanowił się, surrejonalne? Unieść się ponad nienawiść... A może to nienawiść była irracjonalna? W końcu Kate nigdy nic mu nie zrobiła, nic poza uświadomieniem mu - dotkliwym, celowym uświadomieniem, że nie potrafi zarabiać pieniędzy. Nauczyła go pogardy dla samego siebie, a potem odeszła.

A on nadal dzwonił i pytał ją o radę.

Przeczytał jej notkę.

- To z pewnością nielegalne - twierdziła Kate. - Ale wiesz, że twoje sprawy mnie nie interesują. Będziesz musiał sam to rozgryźć, sam albo z kimś z kim teraz sypiasz. Pewnie z jakąś niezorientowaną w życiu osiemnastolatką, nie mającą takiego doświadczenia jak starsze kobiety.
- Co rozumiesz przez „nielegalne”? - zapytał. - Czy porcelana może być nielegalna? Jaka?
- Pornograficzna. Taka, jaką Chińczycy robili w czasie wojny.
- O, Chryste! - O tym nie pomyślał. A Kate pamiętała! Zafascynowały ją te dwa cudeńka, które kiedyś przeszły przez jego ręce.
- Zadzwoń na policję - poradziła Kate.

- Ale ja...

- Czy przychodzi ci do głowy coś innego? - zapytała. - Skoro już przerwałeś mi i moim gościom kolację?

- Mogę do was wpaść? - zapytał z tęsknotą graniczącą z obawą, co Kate nieomylnie zawsze wyczuwała. Obawą, że Kate zmieni się w szachową wieżę, zdolną do zadawania ciosów, a następnie ukrywającą się za pozbawioną wyrazu maską. Z pomocą tej maski potrafiła obrócić przeciwko niemu nawet jego własne uczucia.

- Nie - powiedziała Kate.

- Czemu nie?

- Ponieważ nie jesteś w stanie wnieść do dyskusji nic od siebie. Jak sam wiele razy mawiałeś, masz talent w rękach. Chyba że zamierzałeś przyjść potłuc mi filizanki Royal Albert. A potem je posklejać? Czyżby taki rodzaj magicznego zabiegu rozśmieszającego dla wszystkich?

- Mogę zaangażować się werbalnie - powiedział Joe.

- No to daj mi przykład.

- Co? - zapytał, wpatrując się w jej twarz na ekranie telefonu.

- Powiedz coś odkrywczego.

- To znaczy... teraz? Skinęła głową.

- Muzyka Beethovena jest mocno osadzona w rzeczywistości. To właśnie czyni go niezwykłym. A z drugiej strony geniusz Mozarta...

- Daj spokój. - Kate odwiesiła słuchawkę i ekran zgasł.

Nie powinienem był się napraszać, zreflektował się Joe. To dało jej wyjście, jakiego zwykle używa. Chryste, pomyślał. Dlaczego w ogóle ją pytałem? Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Robił to coraz bardziej mechanicznie, aż w końcu stanął. Muszę myśleć o tym, co naprawdę ma znaczenie, powiedział sobie. Nie chodziło mu o to, że usłyszał od Kate coś niemiłego, ani o to, że przerwała rozmowę. Po prostu ta notka, którą dziś otrzymał, nic nie znaczyła. Pornograficzne czajniczki, zastanowił się. Pewnie miała rację. A naprawianie pornograficznych czajniczków jest nielegalne i tyle.

Powinienem był zdać sobie z tego sprawę zaraz po przeczytaniu notki, powiedział sobie. Ale na tym polega różnica pomiędzy mną a Kate. Ona zaraz wiedziała. Ja nie wpadłbym na to, póki bym się nie przyjrzał naprawionemu już czajniczce. Po prostu nie jestem dość sprytny. W porównaniu z nią. W porównaniu z resztą świata.

Arytmetyczna całość wrzucona w płynącą cieć, pomyślał. Moja najlepsza zagadka. Przynajmniej w Grze jestem dobry. I co z tego, zapytał się. Co z tego?

Panie Praca, pomóż mi. Nadszedł już czas. Dziś w nocy.

Wszedł szybko do przyległej łazienki i złapał za klapę spłuczki. Zawsze był przekonany, że nikt nie zagląda do spłuczek. Wewnątrz wisiał azbestowy woreczek z ćwiartkami.

No i pływał tam mały plastikowy zbiorniczek. To go zaskoczyło.

Unosząc go z wody, dostrzegł z niedowierzaniem, że zawiera zwinięty skrawek papieru. Notkę, pławiącą się w jego spłuczce jak rzucona w morze butelka. To być nie może, pomyślał i był bliski wybuchnięcia śmiechem. Ale nie roześmiał się z powodu strachu. Strachu graniczącego z przerażeniem. To kolejny kontakt. Jak list przesłany w tubie. Ale tak nikt się nie kontaktuje, to nie po ludzku!

Odkręcił wieczko plastikowego pojemnika i wydobyl ze środka kartkę. Miał rację, papierek był zapisany. Przeczytał go raz, a potem raz jeszcze.

Zapłacę ci trzydzieści pięć tysięcy crumbli

Co to na Boga jest crumbel, zastanawiał się Joe i jego strach przerodził się w panikę. Czuł nieznośne duszące ciepło, pełzące po karku. Jego ciało i umysł próbowały się do tego dostosować, ale z niewielkim skutkiem.

Wróciwszy do pokoju, podniósł słuchawkę i wykręcił numer dwudziestoczworgodzinny serwisu słownikowego.

- Co to jest crumbel? - zapytał, uzyskawszy połączenie z robotem.

- Rozkładająca się substancja. - Wypisał tamten na monitorze. - Innymi słowy drobne resztki; mała reszka lub cząstka. Wprowadzono do angielskiego w 1577 roku.

- A w innych językach? - zapytał Joe.

- Średnioangielski kremelen. Staroangielski gec-rymian.

- A języki pozaziemskie?

- Na Betelguezie Siedem w języku urdiańskim oznacza to mały otwór naturalny; coś...

- Nie to - oznajmił Joe.

- Na Riglu Dwa oznacza to małe żyjątko, które...

- Też nie to - rzekł Joe.

- Na Syriuszu Pięć w języku plabkińskim crumbel to jednostka monetarna.

- O, to, to - powiedział Joe. - A teraz przelicz mi, ile to będzie na ziemskie pieniądze. Trzydzieści pięć tysięcy crumbli.

- Przykro mi, ale w celu uzyskania odpowiedzi będziesz musiał się skontaktować z informacją bankową - odezwał się robot słownikowy i wyłączył się.

Joe odnalazł numer i zadzwonił do informacji bankowej.

- Zamknięte na noc - poinformował go robot.

- Na całym świecie? - ze zdumieniem zapytał Joe.

- Wszędzie.

- Jak długo muszę czekać?

- Cztery godziny.

- Moje życie, moja cała przyszłość... - Ale mówił już do głuchego telefonu. System informacji bankowej przerwał kontakt.

Oto, co zrobię, zdecydował, położę się i prześpię cztery godziny. Była siódma, mógł więc nastawić budzik na jedenastą.

Naciskając odpowiedni guzik, spowodował wysunięcie łóżka ze ściany. Teraz jego pokój był sypialnią. Cztery godziny, powiedział sobie i ustawił mechanizm łóżkowego zegara. Położył się tak wygodnie, jak na to pozwalało łóżko i sięgnął do przełącznika zapewniającego głęboki, zdrowy sen. Zabrzęczał dzwonek.

Cholerny obwód sypialniany, mruknął do siebie Joe. Czy muszę go używać? Wstał, otworzył szafkę przy łóżku i sięgnął po instrukcję. Tak, obowiązkowe śnienie było wymagane przy każdym użyciu łóżka... chyba że ustawię dźwignię w położeniu „seks”. Zrobię tak, powiedział sobie w duchu. Oznajmie, że poznaję kobietę w sensie biblijnym.

Jeszcze raz położył się i wyłączył przycisk snu.

- Wązysz sto czterdzieści funtów - powiedziało łóżko. - Moja wytrzymałość wynosi dokładnie tyle samo, kopulacja niemożliwa.

Mechanizm sam przełączył przycisk na sen i równocześnie zaczął rozgrzewać łóżko. W jego wnętrzu lekko rozjarzyły się spirale.

Nie było sensu spierać się z wkurzonym meblem. A zatem włączył interakcję spanie-śnienie i z rezygnacją zamknął oczy.

Sen nadszedł natychmiast, jak zawsze. Mechanizm działał doskonale. W okamgnieniu zaczął śnić sen będący udziałem wszystkich śniących na świecie.

Jeden sen dla wszystkich. Ale, dzięki Bogu, co noc inny.

- Witamy - zaczął radosny senny głos. - Dzisiejszy sen został napisany przez Rega Bakera i nazywa się „Wryte w pamięci”. I nie zapominajcie, kochani, nadsyłajcie swoje pomysły na sny; czekają wysokie nagrody! A jeśli wasz sen zostanie wykorzystany, wygracie darmową wycieczkę pozaziemską w dowolnie wybranym kierunku!

Sen się rozpoczął.

Joe Fernwright stał przed Naczelną Radą Finansową w dziwnym stanie niespokojnego podziwu. Sekretarz NRF odczytywał komunikat.

- Panie Fernwright - zadeklamował spokojnym głosem. - Wykonał pan w swoim sklepie płytki, na których drukowane będą nowe pieniądze. Pański wzór został wybrany ze stu tysięcy przedstawionych nam projektów, z których wiele stworzono z niebywałą pomysłowością. Gratuluje, panie Fernwright. Sekretarz wykonał w jego kierunku ojcowski gest, przypominał trochę księdza.

- Jestem zaszczycony - odparł Joe - i bardzo rad z tej nagrody. Wiem, że dołożyłem swą cegiełkę do fiskalnej stabilności znanego nam świata. Niewiele dla mnie znaczy, iż moja twarz ukaże się na pełnych barw nowych pieniądzech, ale skoro już tak jest, chciałbym wyrazić swe zadowolenie i dumę.

- Pański podpis, panie Fernwright - przypomniał mu sekretarz po ojcowsku - pański podpis, nie pańska twarz, pojawi się na banknotach. Skąd pomysł, że będzie tam również pana podobizna?

- Może pan mnie źle zrozumiał - rzekł Joe. - Jeśli moja twarz nie pojawi się na nowych pieniądzech, wycofam swój wzór i cała ekonomiczna struktura Ziemi legnie w gruzach, gdy będziecie używać tych starych, podlegających inflacji pieniędzy, które już stały się makulaturą do wyrzucenia przy pierwszej okazji.

- Wycofałby pan swój wzór? - nie dowierzał sekretarz.

- Tak jak pan słyszał - powiedział Joe w swoim... w ich śnie. W tym samym momencie blisko miliard ludzi na ziemi wycofywało swe wzory jak on. Ale Joe nie myślał o tym. Wiedział tylko tyle; bez niego cały system, cała podstawa ich państwa ulegnie rozpadowi.

- A w kwestii podpisu, to tak jak wielki bohater przeszłości, Che Guevara, szlachetny człowiek, który oddał życie za przyjaciół, podpiszę się na tych banknotach tylko „Joe”. Ku jego pamięci. Ale moja twarz musi być w wielu kolorach. Przynajmniej w trzech.

notce. Ani kto ją podłożył, ani dlaczego. Przepraszamy, panie Fernwright. Jest panu oczywiście wiadomo, że monitorujemy wszystkie rozmowy telefoniczne. Ta zainteresowała nas ze względu, jak pan pewnie sam rozumie, na wspomnianą sumę.

Drugi policjant powiedział:

- Proszę składać nam raz dziennie raporty w tej sprawie. - Podał Joemu kartę. - Numer, pod jaki należy dzwonić, jest tutaj. Nie musi pan prosić nikogo szczególnego, wystarczy przekazać informację temu, kto się zgłosi.

Pierwszy funkcjonariusz dodał:

- Nie ma nic legalnego w tym, że może pan otrzymać trzydzieści pięć tysięcy plabkiańskich crumbli, panie Fernwright. To śmierdzi czymś nielegalnym. Tak my to widzimy.

- Może na Syriuszu Pięć jest od cholery potłuczonej porcelany - powiedział Joe.

- Niezły żart - stwierdził zimno pierwszy funkcjonariusz, po czym skinął na swojego towarzysza, otworzyli drzwi i wyszli z pokoju. Drzwi same się za nimi zamknęły.

- A może to gigantyczny czajnik - powiedział głośno Joe - czajnik rozmiaru planety w pięćdziesięciu kolorach i... - poddał się, pewnie już go nie słyszeli. I oryginalnie ornamentowany przez największego artystę w plebkiańskiej historii, pomyślał. I jest to jedyna pozostałość jego geniuszu, gdyż resztę zniszczyło trzęsienie ziemi, a czajnik stał się obiektem czci. Więc cała plebkiańska cywilizacja legła w gruzach.

Plebkiańska cywilizacja. Hmm, pomyślał. Ciekawe, jak zaawansowani cywilizacyjnie są na tym Syriuszu Pięć, zapytał siebie samego. Dobre pytanie.

Wykręcił numer encyklopedii.

- Dobry wieczór - powiedział głos robota. - Jakiej informacji pragnie pan lub pani? Joe powiedział:

- Proszę o opis rozwoju społecznego na Syriuszu Pięć.

Zanim minął ułamek sekundy, sztuczny głos zaczął mówić:

- To stara społeczność, która przeżyła już swe najlepsze dni. Obecnie istotą dominującą jest tam Glimmung. Owa olbrzymia, tajemnicza istota nie pochodzi z tej planety; przeniosła się tam kilka wieków temu, przejmując świat po takich delikatnych gatunkach, jak wuby, werje, klaki, troby i printery pozostałe po niegdyś rządzących tam tak zwanych starożytnych, Mgłorzeczach.

- A ten Glimmung, czy jest potężny? - zapytał Joe.

- Jego moc - powiedział głos encyklopedii - wyznaczana jest ramami pewnej szczególnej księgi, prawdopodobnie nie istniejącej, w której, jak się utrzymuje, zapisano wszystko, co było, jest i będzie.

- Skąd pochodziła ta księga? - zapytał Joe.

- Wykorzystałeś swój przydział informacji - o-znajmił głos i rozłączył się.

Joe odczekał dokładnie trzy minuty i zadzwonił jeszcze raz.

- Dobry wieczór. Jakich informacji potrzebuje pan lub pani?

- Ta książka o Syriuszu Pięć - zapytał Joe - która dotyczy wszystkiego co było...

- Och, to znowu pan. No cóż, ten trik już nie działa; zbieramy teraz próbki głosu. - Połączenie przerwano.

Zgadza się, pomyślał Joe. Pamiętam, jak czytałem o tym w gazecie. To kosztowało rząd zbyt wiele pieniędzy. Wszyscy robili to, co właśnie chciałem zrobić. Cholera, powiedział do siebie. Dwadzieścia cztery godziny temu zdobyłbym więcej informacji. Oczywiście mógł udać się do prywatnej budki pana Encyklopedii. Ale kosztowałoby to tyle, ile uzbierał w woreczku. Rząd, zezwalając na prowadzenie takich interesów, jak pana Adwokata, pana Encyklopedii, czy pana Pracy, potrafił dopilnować profitów.

Myślę, że dałem się wykołować, powiedział do siebie Joe Fernwright. Jak zwykle.

Nasze społeczeństwo jest doskonale zarządzane. Każdy zostaje w końcu wykołowany.

Rozdział trzeci

Następnego ranka, gdy dotarł do swej klitki warsztatowej, zastał tam specjalną przesyłkę.

Leć na planetę Płowmana, gdzie jesteś potrzebny. Twoje życie będzie coś znaczyć. Stworzysz coś, co przeżyje zarówno mnie, jak i ciebie.

Planeta Płowmana, pomyślał Joe. Jakby gdzieś o tym słyszał, choć nie pamiętał dokładnie gdzie. Bez zastanowienia wykręcił numer encyklopedii.

- Czy planeta Płowmana... - Zaczął, ale przerwał mu sztuczny głos:

- Poczekaj jeszcze dwanaście godzin. Żegnam.

- Tylko jeden fakt - rozszłościł się. - Chcę tylko informacji o Syriuszu Pięć i planecie... - klik.

Mechanizm robota rozłączył się. Gnojki, pomyślał Joe. Wszystkie komputery i serwomechanizmy to gnojki.

Kogo mam spytać? Kto wiedziałby, czy Syriusz Pięć to planeta Płowmana? Kate. Kate by wiedziała.

Jednak, pomyślał wykręcając już jej numer, skoro zamierzam tam emigrować, to czy chce, by o tym wiedziała? Będzie mogła mnie dopaść i ściągnąć alimenty. Zrezygnował.

Jeszcze raz sięgnął po nie podpisaną notkę i przestudiował ją. Powoli dotarło do jego świadomości coś jeszcze. Na kartce znajdowało się więcej słów, napisanych ledwie widzialnym atramentem. Pismo runiczne? Czuł dziwne, zwierzęce podniecenie, jakby podejmował jakiś trop.

Zadzwoił do Smitha.

- Gdybyś dostał list - powiedział - napisany atramentem sympatycznym, jakbyś go uczynił widzialnym?

- Pottrzymałbym go nad źródłem ciepła - powiedział Smith.

- Dlaczego? - spytał Joe.

- Ponieważ jest pewnie napisany mlekiem. A pismo mlekiem ujawnia się nad źródłem ciepła.

- Runy pisane mlekiem? - zapytał Joe ze złością.

- Statystyka wykazuje...

- Nie wyobrażam sobie tego. Po prostu nie. Runy pisane mlekiem - pokręcił głową. - A tak w ogóle to jaka statystyka dotyczy pisma runicznego? To absurd. -- Wyjął zapalniczkę, zapalił ją i umieścił pod papierem. Natychmiast ujrzał czarne litery.

Wydobędziemy Heldscallę

- Co odczytałeś? - zapytał Smith. Joe powiedział:

- Posłuchaj, Smith; nie używałeś encyklopedii w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, prawda?

- Nie - odparł Smith.

- Zadzwoń tam - poprosił Joe - i zapytaj, czy planeta Płowmana to inna nazwa Syriusza Pięć. I zapytaj, z czego składa się „Heldscalla” - wydaje mi się, że o to mógłbym sam zapytać słownik, powiedział do siebie. - Co za bałagan - dodał na głos. - Jak tu można prowadzić interesy? - Czuł strach przemieszany z nudnościami, ale nie przejmował się tym. Nie było to uczucie ani efektowne, ani zabawne. W dodatku, pomyślał, muszę zgłosić to na policję, więc znowu czeka mnie inwigilacja. Pewnie już mają kartotekę, cholera, mają ją przecież od momentu mego urodzenia. Ale teraz pojawiły się tam nowe wpisy, a to nie jest dobre. Wie o tym każdy obywatel.

Heldscalla, pomyślał. To słowo robi wrażenie. Przemawiało do niego, wydawało się znajdować w absolutnej opozycji do takich rzeczy, jak klitki mieszkalne, telefony, spacer do pracy przez nieprzebrany tłum, życie z renty, a wszystko to przeplatane zabawą w Grę. Jestem tu, pomyślał, a powinienem być gdzieś tam.

- Oddzwoń do mnie, Smith - powiedział do telefonu - jak tylko porozmawiasz z encyklopedią. Cześć. - Rozłączył się, poczekał chwilę, a potem zadzwonił do słownika.

- Heldscalla - powiedział. - Co to znaczy? Słownik, a raczej jego sztuczny głos, odpowiedział:

- Heldscalla to starożytna katedra Mgłorzeczy rządzących kiedyś na Syriuszu Piątym. Kilka wieków temu zatopiło ją morze i nigdy nie odbudowano jej na suchym lądzie, nie przywrócono jej dawnej świetności ze świętymi artefaktami.

- Czy masz teraz połączenie z encyklopedią? - zapytał Joe. - Tu jest cholernie dużo definicji.

- Tak, proszę pana lub pani, mam połączenie.

- To możesz powiedzieć mi coś więcej?

- Nic więcej.

- Dzięki - zdenerwował się Joe Fernwright i odwiesił słuchawkę.

Już to sobie wyobrażał. Glimmung, a raczej jeden Glimmung, poprawił się, bo bez wątplenia istniał tylko jeden, miał zamiar wznieść praadawną katedrę Held-scalla i aby tego dokonać potrzebował wielu specjalistów z różnych dziedzin. Jedną z nich była naprawa porcelany. Heldscalla z pewnością miała swą ceramikę, wystarczającą jej ilość, by Glimmung zwrócił się do niego... i zaproponował taką sumkę za pracę.

Do tej pory zatrudnił już pewnie z dwustu majstrów, z dwustu planet, pomyślał Joe. Nie tylko do mnie trafił dziwny liścik i temu podobne. W myślach ujrzał, jak odpalają olbrzymie działo i wylatują z niego tysiące listów poleconych zaadresowanych do różnych form życia w całej Galaktyce.

O Boże, pomyślał. Policja tropi te listy; wpadli do mego domu w kilka minut po konsultacji z bankiem. Zeszłej nocy tych dwóch wiedziało, co zawierają oba liściki i notka pływająca w spluczce. Mogli mi od razu powiedzieć. Ale nie zrobili tego; to byłoby zbyt naturalne, zbyt ludzkie.

Zadzwoił telefon i Joe podniósł słuchawkę.

- Skontaktowałem się z encyklopedią - oświadczył Smith, gdy jego obraz pojawił się na ekranie. -

Planeta Płowmana to w kosmicznym żargonie Syriusz Pięć. Spytałem o szczegóły i myślę, że to docenisz.

- Tak - powiedział Joe.

- Żyje tam jedna wielka istota, prawdopodobnie niepełnosprawna.

- To znaczy, że jest chora? - zapytał Joe.

- No wiesz, wiek... te sprawy. Raczej uśpiona.

- Czy jest okrutna?
- Jak może być okrutna, skoro jest uśpiona i niepełnosprawna? Jest nieszkodliwa. Tak, to dobre słowo, nieszkodliwa.
- Czy nawiązywała kiedyś kontakt? - zapytał Joe.
- Niespecjalnie.
- Nic a nic?
- Dziesięć lat temu poprosiła nas o satelitę meteo.
- Czym za niego zapłaciła?
- Nie zapłaciła. Jest splukana. Dostała satelitę za darmo i dorzuciliśmy jej jeszcze satelitę łącznościowego.
- Splukana i nieszkodliwa - stwierdził Joe. Czuł się załamany. - No cóż - powiedział. - Czuje, że nie będzie z tego żadnych pieniędzy.
- Dlaczego? Czy wytaczasz jakiś proces tej istocie?
- Żegnaj, Smith - powiedział Joe.
- Czekaj! - krzyknął Smith. - Mamy nową grę. Przyłączysz się? Polega na szybkim przeszukiwaniu archiwów gazet pod kątem najzabawniejszych nagłówków. Prawdziwych nagłówków, wyobrażasz sobie, nie wymyślonych. Mam jeden dobry, z 1962 roku. Chcesz go usłyszeć?
- Okay - powiedział Joe, nadal załamany. To uczucie przenikało go jak gąbkę, a on reagował jak gąbka. - No to przeczytaj ten tytuł.
- ELMO PLASKETT POGRAŻA GIGANTÓW - odczytał Smith ze skrawka papieru.
- A kimże u diabła był Elmo Plaskett?
- Pojawił się kiedyś i...
- Muszę już kończyć - oznajmił Joe, wstając. - Wychodzę z biura. - Odwiesił słuchawkę. Do domu, powiedział sobie. Zabrać woreczek ćwiartek.

Rozdział czwarty

Przy chodnikach zbierała się i czekała zwierzęco pulsująca masa clevelandzkich nie zatrudnionych i nieza-trudnialnych. Czekali i mieszały się między sobą, tworząc niestabilny i smutny tłum. Joe Fernwright ze swym woreczkiem monet otarł się o nich w drodze na róg ulicy, do budki pana Pracy. Czuł obecność charakterystycznego, jakby octowego zapachu zawiedzionych mas ludzkich. Ze wszystkich stron czyjeś oczy śledziły jego marsz. Ludzie ci w ciszy obserwowali, jak z determinacją przechodzi obok nich.

- Przepraszam - odezwał się do młodego Meksykanina, który zablokował mu przejście. Tamten zamrugał nerwowo, ale nie poruszył się. Dostrzegł niesiony przez Joego azbestowy woreczek. Bez wątplenia wiedział, co w nim jest, dokąd zmierza Joe i co ma zamiar zrobić.

- Czy mogę przejść? - zapytał go Joe. Chyba byli w impasie. Stojący za Joem ludzie zablokowali drogę, odcinając mu szansę ucieczki. Nie był w stanie ruszyć dalej ani się wycofać. Następną rzeczą jaką zrobią będzie zabranie mi worka i ucieczka, pomyślał. Bolało go serce, jakby przed chwilą zdobył jakiś szczyt, ale była to raczej krawędź nad przepaścią pełną czaszek. Dostrzegł wpatrzone w niego oczy i doświadczył dziwnego uczucia, że ci ludzie wyczuwali obecność pieniędzy, jakby...

- Czy mógłbym zobaczyć pańskie monety, sir? - odezwał się Meksykanin. Trudno było przewidzieć, co dalej robić. Te oczy, a raczej zapadnięte oczodoły, świdrowały go ze wszystkich stron. Czuł, jak go otaczają. Jego i azbestowy woreczek, który miał przy sobie. Kurczę się, pomyślał zdumiony. Dlaczego? Czuł się zawiedziony i słaby, ale nie czuł się winny. To były jego pieniądze. Wiedział o tym i oni też wiedzieli. A jednak ich oczy sprawiały, że się kurczył. Pomyślał, że cokolwiek zrobi: pójdzie do budki pana Pracy, czy nie, nie ma znaczenia dla tych ludzi. Do diabła! Tamci żyli swoim życiem, a on swoim. I to do niego należał woreczek z zaoszczędzonymi pieczołowicie pieniędzmi. Czy ci ludzie są w stanie mnie wchłonąć, zastanowił się. Wciągnąć mnie między siebie i zarazić bakcyliem beznadziejności? To ich problem, nie mój, odpowiedział sobie. Nie zamierzam tonąć w tym systemie, to była moja pierwsza decyzja, zignorować dwie przesyłki polecane i wybrać się w drogę z woreczkiem monet. To początek mojej ucieczki i nie będę zmieniał planów z powodu tych ludzi.

- Nie - oznajmił.

- Nie zabiorę żadnej - powiedział młodzieniec.

Joe Fernwright poddał się dziwnemu impulsowi. Otworzywszy worek, wydobyl jedną monetę i podniósł ją w stronę młodego Meksykanina. Gdy chłopiec odebrał ją od niego, pojawiły się kolejne wyciągnięte ze wszystkich stron dłonie. Krag wpatrzonych oczu zmienił się w krag dłoni. Ale nie było w nich chciwości; żadna z rąk nie próbowała chwycić za woreczek. Po prostu czekały. Czekały w

milczeniu popartym wiarą, tak jak niegdyś on przy tubie pocztowej. Potworne, pomyślał Joe. Ci ludzie sądzą, że uczynią im prezent, taki jakiego wcześniej oczekiwali od świata. Świat nic dla nich nie zrobił przez całe życie, a oni akceptowali to w milczeniu. Widzą we mnie palec boży. Ale nim nie jestem, pomyślał. Muszę się stąd zbierać. Nic nie mogę dla nich zrobić.

Mimo że myślał inaczej, sięgnął ręką do woreczka i zaczął wręczać ludziom monety, jedną po drugiej. Nad jego głową zagwizdał głośno policyjny patrolowiec i obniżył swój lot, przypominając wielką pokrywkę z dwoma pasażerami w jasnych uniformach i błyszczących hełmach. W rękach trzymali strzelby laserowe. Jeden z nich powiedział:

- Zejdźcie z drogi temu człowiekowi. Otaczający Joego tłum zaczął topnieć. Wyciągnięte ręce zniknęły, jakby pokryła je kurtyna mroku.

- Nie stój tutaj - powiedział do Joego drugi policjant służbowym tonem. - Ruszaj dalej. Zabieraj te monety, albo wypiszę ci mandat, po którym nie zostanie ci już ani jedna.

Joe ruszył.

- Za kogo się uważasz? - odezwał się pierwszy policjant z lecącego nad nim patrolowca. - Za jakąś prywatną organizację charytatywną?

Nic nie mówiąc, Joe szedł dalej.

- Prawo wymaga, byś mi odpowiedział - oznajmił policjant.

Sięgnąwszy do azbestowego woreczka, Joe wydobył jedną ćwiartkę. Podał ją w kierunku znajdującego się bliżej funkcjonariusza. Równocześnie ze zdumieniem zauważył, że zostało mu już tylko kilka monet.

Zdał sobie sprawę, że jego pieniądze przepadły! Została mu tylko jedna droga wyjścia, pomyślał. Tuba pocztowa i to, co przyniosła przez ostatnie dni. Może mi się podobać lub nie, ale po tym, co zrobiłem, klamka zapadła.

- Dlaczego podałeś mi tę monetę? - zapytał policjant.

- To napiwek - powiedział Joe i równocześnie poczuł, jak laserowy promień trafia go między oczy.

Na posterunku odezwał się do niego młody urzędnik o blond włosach, niebieskich oczach i szczupłej sylwetce, odziany w czysty uniform.

- Nie zamierzamy pana zapuszkować, Fernwright, choć z punktu widzenia prawa jest pan winien zbrodni przeciwko społeczeństwu.

- Przeciwko państwu - poprawił Joe, przysiadając i pocierając głowę, by uśmierzyć ból. - Nie przeciwko społeczeństwu - zdołał dodać. Zmrużył oczy i poddał się bólowi, którego źródło znajdowało się w miejscu, w które został trafiony.

- To, co mówisz - oznajmił młody urzędnik - samo w sobie jest przestępstwem i możemy cię za to posadzić. Możemy cię nawet przesłać do Politycznego Biura Kontroli jako wroga klasy pracującej, zaangażowanego w spisek przeciwko społeczeństwu i sługom tego społeczeństwa, takim jak my. Ale dotychczasowa niekaralność... - studiował akta Joego z zawodową pieczołowitością. - Zdrowy człowiek nie rozdaje monet nieznajomym. - Urzędnik policyjny przyjrzał się dokumentowi, który wyszedł ze szczeliny w jego biurku. - Nie ma wątpliwości, że działał pan spontanicznie.

- Tak - powiedział Joe. - Spontanicznie.

Nie czuł żadnych emocji; czuł tylko cielesny dyskomfort. Coraz gorszy. Przesłaniało to wszelkie inne uczucia, uniemożliwiało aktywność umysłową.

- A jednak zamierzamy skonfiskować pozostałe monety. Przynajmniej czasowo. A pan przez rok będzie pod kuratelą, przez cały czas zgłaszając się do nas raz w tygodniu i zdając pełne sprawozdanie ze swych działań.

- Bez procesu? - zapytał Joe.

- A chce pan mieć kłopoty? - Policjant spojrział na niego spode łba.

- Nie - odparł Joe. Ciągłe pocieranie głowy. Materiał z SUPP pewnie jeszcze nie dotarł do ich komputerów, pomyślał. Ale w końcu dojdą po nitce do kłębka. Złożą to w całość; łapówka dla policjanta, znalezienie notki w spłuczce. Jestem szalony. Bezczywność rzuciła mi się na mózg; tych siedem miesięcy mnie wykończyło. A teraz, gdy wykonałem ruch, gdy postanowiłem zwrócić się do pana Pracy, nie byłem w stanie zrealizować swego zamiaru do końca.

- Momencik - powiedział inny policjant - jest coś na niego z SUPP. Dopiero co przyszło z ich centralnego banku danych.

Joe rzucił się ku drzwiom posterunku. W stronę masy ludzkiej na zewnątrz. Jakby chciał się dać tam pogrzebać, zostać wchłonięty.

Zaraz wyrosło przed nim dwóch gliniarzy. Chcieli odciąć mu drogę; zbliżali się nienaturalnie szybko, jak na przyspieszonej taśmie wideo. A potem nagle byli pod wodą jak zwinne srebrne ryby. Dobry Boże, ścigali go między koralami i roślinami wodnymi! On sam nie czuł tej wody, nie czuł niczego. A przecięte posterunek policyjny zamienił się w otaczający go zbiornik wodny. Meble wyglądały jak zatopione wraki, do połowy zagrzebane w piasku. Policjanci przemykali obok niego gibkimi ruchami. Nie mogli go jednak dotknąć, ponieważ znajdując się w centrum, był poza zbiornikiem. Nie słyszał

zadnego dźwięku. Usta tamtych poruszały się, ale wokół Joego panowała cisza. Wypuszczając bąbelki, przemknęła obok niego mątwą, podobną do morskiego ducha. Wyrzuciła z siebie chmurę ciemności, jakby chciała wszystko przesłonić. Nie widział już oficerów policji; ciemność pokryła wszystko i stała się jeszcze bardziej mroczna. Dobrze, że chociaż mogę oddychać, pomyślał Joe.

- Hej - odezwał się i usłyszał swój własny głos. Po prostu nie jestem w wodzie jak oni, skonstatował. Mogę się zidentyfikować; jestem odrębny, wyizolowany. Ale dlaczego?

A jeśli spróbuję się poruszyć, pomyślał. Zrobił jeden krok, a potem następne. Odbił się od struktury mogącej być ścianą. Spróbuję w drugą stronę, zdecydował. Odwrócił się i ruszył. Bum! W panice pomyślał, że znajduje się w czymś na kształt trumny. Zadał sobie pytanie, czy go przypadkiem nie zabili, gdy próbował dobiec do drzwi. Wyciągnął ręce w ciemność i poczuł, że ktoś wpycha mu coś do prawej dłoni. Małe, prostokątne, z dwoma okrągłymi pokrętłami.

Radio tranzystorowe.

Włączył je.

- Cześć, ludziska - zabrzmiał w ciemności cienki, wesoły głosik. - Tu Gary Karns z sześcioma telefonami przed sobą i dwudziestoma obwodami przełączającymi, bym mógł wysłuchać was wszystkich, wszystkich dobrych ludzi, którzy chcą o czymś pogadać. Mój numer to 394-950-911111, więc dzwońcie ludziska, mówcie na dowolny temat, co tylko przyjdzie wam do głowy: dobrego, złego, niesamowitego, interesującego czy nudnego. Zadzwońcie tylko do Cary Karnsa pod 394-950-911111 i cała publiczność usłyszy, co macie do powiedzenia, pozna wasze opinie, fakty, które znacie, a o których powinni dowiedzieć się inni. - Z głośnika radia dobiegł dźwięk telefonu. - Halo, już mamy dzwoniącego! - oznajmił Cary Karns. - Tak, sir. To znaczy tak, madame.

- Panie Karns - powiedział kobiecie głosik - na skrzyżowaniu Fulton Avenue i Clover powinien być znak stopu. Codziennie widuję tam małe dzieci w wieku szkolnym...

Jakiś inny twardy obiekt wpadł do lewej ręki Joego. Złapał go. Był to telefon.

Usiadł i ustawił go wraz z radiem tranzystorowym przed sobą, a potem dobył zapalniczki. Rozświetlała niewielki krąg, w którym dostrzegł oba przedmioty. Mimowolnie zauważył, że radio nazywa się „Zenit”. Sądząc z rozmiaru, było to dobre radio.

- Okay, ludziska - zaszczębiotał Gary Karns. - Numer 394-950-911111. Tam mnie znajdziecie, a dzięki mnie cały świat...

Joe zadzwonił. Wykręcił z bólem cały numer. Przytknął słuchawkę do ucha, przez moment słuchał sygnału „zajęte”, a potem usłyszał równocześnie z radia i ze słuchawki głos Cary Karnsa:

- Tak, sir, a może madame.

- Gdzie jestem? - powiedział Joe do telefonu.

- Witam! - rzekł Karns. - Mamy tu kogoś, jakąś biedną duszyczkę, która się zgubiła. Pańska godność, sir?

- Joseph Fernwright - powiedział Joe.

- No, panie Fernwright, to wielka rozkosz rozmawiać z panem. Pańskie pytanie brzmi: gdzie jestem? Czy ktokolwiek wie, gdzie jest pan Joseph Fernwright z Cleveland, jest pan z Cleveland, prawda, panie Fernwright, czy ktokolwiek wie, gdzie on jest w tym momencie? Myślę, że to ważne pytanie ze strony pana Fernwrighta; chciałbym otworzyć linię dla wszystkich, którzy mogą nam pomóc w choćby najogólniejszej lokalizacji naszego słuchacza. Więc niech ci inni, którzy nie wiedzą, gdzie jest pan Fernwright, nie dzwonią, póki go nie znajdziemy. Panie Fernwright, to nie powinno potrwać długo. Mamy dziesięciomilionową publiczność i potężny nadajnik. Chwileczkę! Jest telefon. - Lekko słyszalny dźwięk dzwoniącego aparatu.

- Tak, sir lub madame. Sir. Pańska godność.

Ze słuchawki Joego i z radia rozległ się męski głos:

- Nazywam się Dwight L. Glimmung z Pleasant Hill Road 301 i wiem, gdzie jest pan Fernwright. Jest on w mojej piwnicy. Lekko w prawo, kawałek za kominkiem. Jest w drewnianej skrzyni, którą przywieziono wraz z klimatyzatorem zamówionym przeze mnie przed rokiem w Peoples Sears.

- Słyszał pan, panie Fernwright? - krzyknął Cary Karns. - Jest pan w skrzyni u pana Dwighta L. ...Jak brzmiało pańskie nazwisko, sir?

- Glimmung.

- Piwnica pana Dwighta L. Glimmunga przy Pleasant Hill Road 301. A więc skończyły się pańskie kłopoty, panie Fernwright. Proszę tylko wyjść ze skrzyni i wszystko będzie w porządku.

- Nie chcę, żeby rozwałała skrzynię - powiedział Dwight L. Glimmung. - Może lepiej zejść do piwnicy i odblokuję kilka desek, żeby go wypuścić.

- Panie Fernwright - oznajmił Karns - tak dla zaspokojenia ciekawości radiosłuchaczy, proszę powiedzieć nam, jak się pan dostał do pustej skrzyni w piwnicy pana Dwighta L. Glimmunga przy Pleasant Hill Road 301? Jestem pewien, że pragnęliby to usłyszeć.

- Nie wiem - stwierdził Joe.

- A może pan Glimmung? Panie Glimmung! Chyba się rozłączył. Pewnie jest już w drodze do piwnicy, by pana wypuścić, panie Fernwright. Cóż to dla pana za szczęście, że pan Glimmung słuchał naszego programu! Inaczej pewnie tkwiłby pan w tej skrzyni do dnia Sądu Ostatecznego. A teraz posłuchajmy kolejnego rozmówcy; halo? - Telefon przy uchu Joego klik-nął. Przerwano połączenie. Dźwięki. Zewsząd dokoła. Trzaskanie i odginanie czegoś. Światło wdarło się do wnętrza skrzyni, gdzie siedział Joe Fernwright z zapalniczką, telefonem i radiem tranzystorowym.

- Wydostałem cię z posterunku policji w najlepszy sposób, na jaki było mnie stać - powiedział męski głos, który Joe znał już z radia.

- Dziwny sposób - powiedział Joe.

- Dziwny dla ciebie. Dla mnie dziwne były te rzeczy, które robiłeś od czasu, gdy się o tobie dowiedziałem.

- Takie jak oddanie monet? - zapytał Joe.

- Nie, to akurat rozumiałem. Bardziej uderzyło mnie siedzenie całymi miesiącami w kabinie służącej ci za warsztat i czekanie. - Odskokczyła następna deska i na Joego padło jeszcze więcej światła. Zamrugał. Próbował dostrzec Glimmunga, lecz ciągle nie potrafił. - Dlaczego nie poszedłeś do pobliskiego muzeum i anonimowo nie stłukłeś im paru sztuk porcelany... miałbyś robotę. A porcelana i tak byłaby jak nowa. Nic nie zostałyby zaprzepaszczone, a ty byłbyś aktywny i produktywny przez te wszystkie dni. - Opadła ostatnia deska i Joe Fernwright zobaczył w pełnym świetle istotę z Syriusza Pięć, formę życia opisywaną przez encyklopedie jako łagodną i splukaną do cna z pieniędzy. Zobaczył wielki krąg wody, obracający się wokół poziomej osi, a w nim, krążący wokół osi pionowej, krąg ognia. Nad tymi elementarnymi kręgami oraz za nimi rozwieszona była zwiewna materia. I coś jeszcze. W jądrze wirujących kręgów znajdowało się dziwne oblicze. Przyjemna, łagodna twarz brązowo-włosej nastolatki. Wisiała tam i uśmiechała się do niego. Zwykła twarz, łatwa do przeoczenia, ale miła. Była to, jak sądził Joe, maska Glimmunga. Przypadkowo wybrany i nie mający większego znaczenia obrazek, dzięki któremu Glimmung chciał nawiązać z nim kontakt. Ale co znaczył wodny krąg? Czy był bazą wszechświata? A krąg ognisty? Oba obracały się nieustannie, z doskonale zsynchronizowaną szybkością. Wspaniały i wiecznie samo-napędzający się mechanizm, pomyślał Joe. Z wyjątkiem oczywiście tej tandetnej zasłonki i niedojrzałej żeńskiej twarzyczki. Czuł się zdziwiony. Czy to, co widział, było manifestacją siły? Z pewnością brakowało temu aury dostojności, a jednak Joe miał wrażenie, że za młodą twarzą kryje się wiekowa istota. Co do jej statusu finansowego, to nadal byłoby go trudno określić. Przyjdzie na to jeszcze poczekać.

- Kupiłem ten dom siedem lat temu - powiedział Glimmung lub też jego głos - gdy istniał jeszcze rynek nieruchomości.

Szukając źródła głosu Joe dostrzegł coś, co zmroziło mu nie tylko krew, ale i jego całego, jakby spotkały się w nim woda i ogień, analogicznie jak u Glimmunga.

Ten głos. Dochodził ze starej, nakręcaniej „Victrola”, na której z niesłychaną prędkością obracała się płyta. Głos Glimmunga był nagrany na płytę.

- Tak, sądzę, że masz rację - powiedział Joe. - Siedem lat temu był czas na kupowanie. Czy stąd dokonujesz rekrutacji?

- Tu pracuję - odparł głos Glimmunga ze starej, nakręcaniej „Victrola”. - Pracuję też w wielu innych miejscach... w wielu systemach gwiazdnych. A teraz pozwól, że powiem ci pokrótce, na czym stoisz, panie Fernwright. Dla policji po prostu odwróciłeś się i wyszedłeś z budynku. Oni z jakiegoś powodu nie byli wówczas w stanie cię zatrzymać. Ale rozesłano za tobą listy gończe i teraz nie możesz już wrócić ani do domu, ani do pracy.

- Bo złapie mnie policja - powiedział Joe.

- A chciałbyś tego?

- Może tak musi być - ze stoickim spokojem stwierdził Joe.

- Nonsens. Wasza policja jest paskudna i okrutna. Chcę, żebyś zobaczył Heldscallę, taka jaka była przed zatonięciem. Znaaaaaaa... - i fonograf zatrzymał się. Joe z mieszanymi uczuciami, których nie był w stanie opisać, nakręcił go korbką. - Znajdziesz instrument do oglądania na stole, po prawej stronie - dokończył zdanie Glimmung, gdy płyta nabrała właściwych obrotów. - Jest to mechanizm do percepcji obrazu, pochodzący z twojej planety.

Joe poszukał i znalazł antyczną przeglądarkę stereoskopową, taką z roku około 1900 oraz komplet czar-no-białych przezroczy do niej.

- Nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego? - zapytał z wyrzutem. - Kawałek filmu czy choćby wideo. To coś wymyślono jeszcze przed samochodem - i wtedy zrozumiał. - Jesteś splukany - powiedział. - Smith miał rację.

- To kalumnia - odezwał się Glimmung. - Jestem po prostu oszczędny. To cecha odziedziczona po przodkach. Będąc produktem społeczeństwa socjalistycznego, jesteś przyzwyczajony do marnotrawstwa. Ja jednak wolę działać wedle zasady: ziarno do ziarnka...

- O, Chryste - zajęczał Joe.
- Jeśli masz mnie dość - powiedział Glimmung - po prostu podnieś igłę z płyty.
- A co się dzieje, gdy płyta dobiega końca? - zapytał Joe.
- Nigdy tak się nie dzieje.
- To nie jest prawdziwa płyta.
- Płyta jest prawdziwa. Rowki tworzą pętlę.
- A jak naprawdę wyglądasz? - zapytał Joe.
- A ty jak naprawdę wyglądasz? - odpowiedział pytaniem Glimmung.
- To zależy, czy oprzesz się na Kantowskim rozdziale fenomenów i noumenów, które tak jak Leibni-zowskie monady...
Przestał mówić, ponieważ fonograf znów stanął i płyta znieruchomiła. Nakręcając urządzenie, Joe pomyślał, że Glimmung pewnie nie dosłyszał jego ostatniej kwestii. I że pewnie zrobił to umyślnie.
- Umknął mi twój dyskurs filozoficzny - powiedział fonograf, gdy Joe przestał go nakręcać.
- Mówię o tym, że - ciągnął Joe - odbiór zjawisk następuje poprzez system percepcji odbiorcy.
Większość z tego, co widzisz, odbierając mnie -- wskazał na siebie z naciskiem - jest projekcją twego własnego umysłu. Dla innego systemu percepcyjnego byłbym zupełnie inny. Na przykład dla policji. Jest tyle punktów widzenia świata, ile stworzeń na nim żyje.
- Hmmm - mruknął Glimmung.
- Czy moje rozróżnienie jest dla ciebie jasne? - zapytał Joe.
- Czego tak naprawdę chcesz, panie Fernwright? Nadszedł dla ciebie czas wyboru, czas działania. Wzięcia udziału, bądź też nie, w wielkim wydarzeniu historycznym. W tej chwili, panie Fernwright, jestem w tysiącu miejsc, pomagając czy też próbując pomóc niezwykle liczbie inżynierów i artystów. Jesteś jednym z wielu. Nie mogę marnować dla ciebie więcej czasu.
- Czy jestem ważny dla projektu? - zapytał Joe.
- Druciarz jest ważny, oczywiście. Ty lub jakiś inny.
- A kiedy dostanę swoje trzydzieści pięć tysięcy crumbli? Z góry? - zapytał Joe.
- Dostaniesz je, gdyyyyyy... - zaczął mówić Glim, ale stara „Yictrola” znów stanęła, a wraz z nią płyta.
Co za gnojek, pomyślał Joe, nakręcając fonograf.
Gdy - powiedział Glimmung - gdy katedra zostanie wzniesiona, jak wieki temu. I tylko wtedy. To tak jak myślałem, powiedział do siebie Joe.
- Czy udasz się na planetę Płowmana? - zapytał Glimmung.
Joe zastanawiał się przez pewien czas. Myślał o swoim pokoju, warsztacie, utraconych monetach, policji. Próbował wszystko zbilansować. Co mnie tu trzyma, zapytał sam siebie. Rzeczy znane, zdecydował. To, do czego jestem przyzwyczajony. A przecież mogę przyzwyczać się do wszystkiego. Nawet polubić to. Teoria odruchów warunkowych Pawiowa jest prawdziwa. Trzymają mnie tu przyzwyczajenia. Nic więcej.
- Czy mógłbym dostać trochę crumbli z góry? - zapytał Glimmunga. - Chcę kupić kaszmirową kamizelkę sportową i parę czystych i nie zdartych butów.
Fonograf rozpadł się na części, które poleciały w różne strony, trafiając Joego w ręce i twarz. Pomiędzy kręgami ognia i wody pojawiła się wielka, rozwścieczona twarz. Łagodna dziewczynka zniknęła. Wyparło ją oblicze rażące wzrok jak słoneczna tarcza. Twarz ta klęła na niego w języku, którego nie znał. Aż się cały skurczył wobec tego wybuchu gniewu Glimmunga. Wszystkie obiekty materialne, przez które się do tej pory kontaktowali, rozleciały się na kawałki, a po nich zasłona i elementarne kręgi. Cała piwnica zaczęła pękać jak rozpadająca się ruina. Kawałki murów leciały na podłogę, a ona sama pękała jak wyschnięty klej.
Jezu, pomyślał Joe. A Smith mówił, że on jest nieszkodliwy. Teraz padały wokół niego całe fragmenty domu. Rąbnął go kawał rury i wtedy usłyszał tysiące głosów śpiewających pieśń przerażenia.
- Pójdę już - powiedział głośno. Zamknął ócz} i osłaniał rękoma głowę. - Masz rację. To nie żarty. Przykro mi. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.
Dłoń Glimmunga chwyciła go w pasie. Został podniesiony i ściśnięty jak rulon papieru. Przez moment dostrzegł rozwścieczone, płonące oko; jedno oko. PO
tem burza ognia ucichła. Uścisk wokół pasa zelżał. Obym tylko nie miał połamanych żeber, pomyślał. Chyba zrobię sobie badania lekarskie przed opuszczeniem Ziemi. Tak dla pewności.
- Przenieś się do głównego terminalu portu gwiazdowego w Cleveland - oznajmił Glimmung. - Będziesz miał wystarczającą ilość pieniędzy na bilet na planetę Płowmana. Skorzystaj z najbliższego połączenia, nie wracaj do domu po rzeczy osobiste, bo czeka tam na ciebie policja. Weź to. - Glimmung wcisnął mu coś do ręki. W świetle zmieniało kolory. Zlewały się one w jeden kształt, a potem rozszczepiały i zlewały w kolejny. I jeszcze jeden, i jeszcze jeden.
- To skorupa - powiedział Glimmung.
- Czy to kawałek zbitej wazy z katedry? - zapytał Joe. - Dlaczego od razu tego nie pokazałeś? -

Pojechałbym natychmiast, gdybym to widział, pomyślał... gdybym tylko miał pojęcie.
- To teraz już masz - oznajmił Glimmung. - Masz to, co będziesz składał z pomocą swego talentu.

Rozdział piąty

Człowiek jest upadłym aniołem, pomyślał Joe Fern-wright. Kiedyś wszystkie anioły były jednakowe. W czasach, gdy miało się szansę wyboru między dobrem a złem, łatwo było być aniołem. Ale potem coś się stało. Coś nawaliło, zepsuło się, pękło. I anioły stanęły już nie przed wyborem dobra czy zła, ale mniejszego zła. To zamieniło je w ludzi.

Rozparty na pluszowo-plastykowej ławie portu gwiazdowego w Cleveland, Joe czuł się słabo i niepewnie. Czekala go straszna robota. Straszna, bo stawiająca bardzo wysokie wymagania. Jestem jak pyłek, pomyślał. Miotają mną podmuchy wiatru, jak pyłkową piłką, miotają na wszystkie strony. Siła. Siła przetrwania, pomyślał, i przeciwstawiający się jej spokój niebytu. Co jest lepsze. Siła zawsze się w końcu wyczerpuje, więc może tu leży odpowiedź. Siła, przetrwanie to rzeczy przemijające, a spokój i niebyt są ponadczasowe. Istniały przed jego narodzeniem i będą istnieć po śmierci. Uzyskany wówczas okres na wykształcenie siły, to tylko epizod, krótki moment na napięcie mięśni w ciele, które wkrótce powróci do swego prawowitego właściciela.

Gdyby nigdy nie spotkał Glimmunga, nie pomyślałby o tym. Ale Glimmung dał mu posmak samoodna-wiającej się siły, czegoś nieskończonego. Glimmung był piękny jak gwiazdy. Był fontanną, łąką, pustą ulicą, nad którą zapada mglista noc. Niebo zgaśnie, mrok stanie się ciemnością, a Glimmung będzie świecił dalej, jakby zasilany go nieczyste myśli wszystkich wokół. Jak światło odsłaniające duszę wraz z jej ciemnymi stronami. Z pomocą swego światła, to tu, to tam, Glimmung ujawniał istnienie owych ciemnych stron.

Siedząc w poczekalni portu gwiazdowego, na nieprzyjemnym plastikowym krześle, Joe słuchał wycia silników startujących rakiet. Odwrócił głowę, by zobaczyć przez wielkie okno startującą LB-4, która potrząsnęła budynkiem wraz z wszystkim, co było w środku. A potem, w parę sekund już jej nie było. Wstał nagle i przeszedł poczekalnię w kierunku budki Księdza. Usiadłszy w środku włożył monetę do otworu i wykręcił przypadkowy numer. Znacznik zatrzymał się na Zeń.

- Wyznaj mi swe problemy - powiedział Ksiądz starym głosem z nutą współczucia. Mówił powoli, jakby mu się wcale nie spieszyło. Jakby był ponadczasowy.

Joe oznajmił:

- Nie pracowałem od siedmiu miesięcy, a teraz dostałem robotę poza systemem słonecznym. Obawiam się tego. Co będzie jeśli nie podołam? Jeśli już straciłem swe umiejętności?

Nadpłynął ku niemu pełen otuchy głos Księdza:

- Pracowałeś i nie pracowałeś. Nie robienie niczego jest najcięższą pracą.

Oto, co mnie spotyka za wykręcanie numeru zeń, powiedział sobie Joe. Zanim Ksiądz zdołał coś dodać, przełączył go na etykę purytańską.

- Bez pracy - powiedział Ksiądz o wiele dobitniejszym głosem - człowiek jest niczym. Przystaje istnieć.

Joe szybko wykręcił rzymski katolicyzm.

- Bóg w swej miłości przyjmie cię do siebie - oznajmił Ksiądz słodkim głosem. - W jego ramionach jesteś bezpieczny. On nigdy...

Joe wybrał Allacha.

- Zabij swego wroga - nakazał Kapłan.

- Nie mam wrogów - stwierdził Joe - z wyjątkiem własnego przemęczenia i strachu przed klęską.

- To są wrogowie - potwierdził Kapłan - których musisz pokonać w świętej wojnie; musisz okazać się mężczyzną, a prawdziwy mężczyzna to wojownik, który oddaje ciosy - głos Księdza grzmiał gniewem. Joe wytypował judaizm.

- Garniec marsjańskiej zupy gąsienicowej... - rozpoczął Ksiądz miękko, ale Joemu skończyły się pieniądze. Ksiądz przestał mówić.

Gąsienicowa zupa, zastanowił się Joe. Najbardziej pożywne jedzenie na świecie. Może to była najlepsza rada. Pójdę do restauracji na terenie gwiazdowego portu.

W restauracji usiadł na stołku i sięgnął po menu.

- Może tabaki albo papierosa? - zapytał mężczyzna siedzący obok.

Joe popatrzył na niego przerażony.

- Mój Boże. W miejscach publicznych nie wolno palić, a co dopiero tutaj - i nagle zdał sobie sprawę, do kogo mówi.

Obok niego siedział Glimmung w ludzkiej postaci.

- Nigdy nie zamierzałem sprawić ci trudności - powiedział Glimmung. - Jesteś dobrym fachowcem.

Mówiłem o tym. Wybrałem cię, ponieważ uważam, iż jesteś najlepszym specjalistą na Ziemi; to też już

mówiłem. Ksiądz miał rację; musisz coś zjeść i uspokoić się. Zaraz złożę zamówienie. - Glimmung skinął na robota, który roznosił jedzenie i równocześnie zapalił papierosa.

- Czy oni tego nie widzą? - zapytał Joe.

- Nie - odparł Glimmung. - I pewnie ten robot kelnerski także odwrócił się do Joego. - Ty zamów. Po zjedzeniu talerza gaśnicowej zupy i wypiciu bez-kofeinowej (zgodnie z prawem) kawy, Joe odezwał się:

- Nie sądzę, byś zrozumiał. Dla kogoś takiego jak ty...

- A jaki ja jestem? - zapytał Glimmung.

- Nie wiesz? - odparł Joe.

- Żadna istota nie zna siebie samej - powiedział Glimmung. - Ty siebie nie znasz; nic o sobie nie wiesz; nawet o podstawowych rzeczach. Czy pojmujesz, czym może być dla ciebie Podniesienie? Wszystko, co było twym potencjałem, co trwało w zawieszaniu, wszystko to zostanie uruchomione. Wszyscy, którzy w konspiracji przygotowują Podniesienie, wszyscy w to zamieszani, z setek planet rozrzuconych po Galaktyce, zaistnieją. Ty nigdy nie istniałeś, panie Fernwright. Ledwie egzystujesz. Być znaczy działać. A my zrobimy wielką rzecz, Joe Fernwright - głos Glimmunga grzmiał jak stal.

- Czy przybyłeś tu rozwiązać moje wątpliwości? - zapytał Joe. - Czy dlatego jesteś tutaj w porcie, by się upewnić, że nie zmienię zdania i nie wycofam się w ostatniej chwili?

Ale Joe wiedział, że nie o to chodziło; nie był aż tak ważny. Rozdarty między piętnastoma światami Glimmung nie zniżyłby się do tego, by odbudowywać wiarę w jakimś druciarzu z Cleveland.

Glimmung miał zbyt wiele do zrobienia; były pilniejsze sprawy.

- A właśnie, że twoja sprawa jest pilna - powiedział Glimmung.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie ma małych spraw. Tak jak nie ma małego życia. Życie jakiegoś owada, pająka jest tak wielkie jak twoje, a twoje tak wielkie jak moje. Życie to życie. Chcesz żyć tak samo, jak ja.

Przeszedłeś przez siedem miesięcy piekła, czekając dzień za dniem na to, czego potrzebujesz... tak jak czeka pająk. Pomyśl o pająku, panie Joe Fernwright. Pająk snuje swą pajęczynę. Potem robi sobie jedwabny domek na jednym z jej krańców, by widzieć, gdy wpadnie coś do jedzenia. Coś, co potrzebne jest mu do życia. Pająk czeka. Mija dzień. Dwa dni. Tydzień. On nadal czeka; nie może robić nic innego. Mały nocny łowca. Założmy, że coś wpada do sieci i pająk przeżywa. Albo nie nie wpada, a on czeka i myśli: „Nie złowię nic na czas. Jest już za późno”. I ma rację; umiera czekając.

- Ale dla mnie - powiedział Joe - to coś nadeszło na czas.

- Przybyłem ja - powiedział Glimmung.

- Czy wybrałeś mnie ze względu na... - zawahał się Joe - ze względu na litość?

- Nigdy - rzekł Glimmung. - Podniesienie wymaga wielkiego kunsztu, wielu kunsztów, wiedzy i rzemiosła, wielu rodzajów sztuk. Czy nadal masz ze sobą tę skorupę?

Joe wydobył z kieszeni wspaniałą malutki odłamek. Położył go na środku stolika, przy pustym talerzu po zupie.

- Są ich tysiące - oznajmił Glimmung. - Jak sądzę, masz jeszcze przed sobą około stu lat życia. Nie można tego ukończyć w ciągu stu lat; będziesz chodził pomiędzy tymi pięknymi skorupkami aż do dnia swej śmierci. I spełni się twoje marzenie; będziesz istniał prawdziwie, aż do końca. A istniejąc naprawdę, nigdy nie zginiesz. - Glimmung spojrział na zegarek marki Omega na swej ręce. - Za dwie minuty zapowiedzą twój odlot.

Gdy już przypięto go do fotela i skryto mu głowę w hełmie ciśnieniowym, zdołał się obrócić, by spojrzeć na towarzysza lotu siedzącego obok. Napis na identyfikatorze brzmiał: Mali Yojez. Dostrzegł jeszcze, że to dziewczyna, nieziemska, ale humanoidalna.

Wówczas odpalono silniki i rakieta zaczęła się wznosić.

Nigdy przedtem nie opuszczał Ziemi. Zdał sobie z tego dotkliwie sprawę, gdy na jego piersiach urósł niebysza ciężar. To-zupełnie-coś-innego-niż-podróż-z Nowego Jorku-do Tokio, powiedział sobie. Z wielkim wysiłkiem przechylił głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się nieziemskiej dziewczynie. Zrobiła się niebieska. Może to naturalne dla tej rasy, pomyślał Joe. A może ja też zrobiłem się niebieski. Może umieram, zdążył jeszcze powiedzieć sam do siebie, a potem włączył się ciąg pomocniczy i... zemdlął. Gdy się obudził, słyszał tylko dźwięki „Czwartej” Mahlera i przyciszone głosy. Jestem ostatnim, który przyszedł do siebie, uświadomił sobie smutno. Ciemnowłosa stewardesa pracowicie odkręcała jego hełm ciśnieniowy i zamknęła mu dodatkowy dopływ tlenu.

- Czujemy się lepiej, panie Fernwright? - zapytała, delikatnie rozczesując mu włosy. - Panna Yojez czytała ten materiał biograficzny, który przesłał nam pan przed lotem i jest bardzo zainteresowana poznaniem pana. No, teraz włosy są już w porządku. Nieprawdaż, panno Yojez?

- Jak się pan miewa, panie Fernwright? - zapytała go panna Yojez głosem, w którym pobrzmiwał obcy akcent. - Bardzo mi poznać pana miło. Na całej naszej długiej podróży byłabym zdumiona nie rozmawiać do pana, bo bardzo mamy wspólne dużo.

- Czy mogę prosić o materiał biograficzny panny Yojez? - poprosił Joe stewardesę. Otrzymał materiał od ręki i szybko go przejrzał.

Ulubione zwierzę: saimp. Ulubiony kolor: czerwony. Ulubiona gra: monopole. Ulubiona muzyka: koto, klasyczna i Kimio Eto. Urodzona w systemie Prox, co czyniło ją pewnego rodzaju pionierką swego gatunku.

- Sądzę - powiedziała panna Yojez - że zabieramy udział w tym samym przedsięwzięciu. Pana, ja i jeszcze paru na poprawkę.

- Pan i ja - poprawił Joe.

- Jest pan naturalny Ziemian?

- Spędziłem na Ziemi całe życie - odparł Joe.

- To pana pierwszy lot w kosmos?

- Tak - potwierdził Joe. Przyjrzał się rozmówcy i stwierdził, że jest atrakcyjna. Krótko przystrzyżone brązowe włosy ładnie kontrastowały z jasnoszarą skórą. W dodatku miała najcieńszą talię, jaką kiedykolwiek widział, a bluzka i spodnie z napyłanej pianki jeszcze bardziej to uwydatniały.

- Jest pani oceanobiologiem - powiedział, wczytując się w jej materiał biograficzny.

- W istocie. Mam ustalić głębokość zmian koralowych w... - zrobiła pauzę, a potem poszukała właściwego słowa w słowniczku - ...zatopionych artefaktach.

Ciekawiła go pewna rzecz, więc spytał:

- Jak objawił się pani Glimmung?

- Objawił się - odparła jak echo i zaczęła przeszukiwać słowniczek.

- Zmaterializował - wtrąciła bystro stewardesa. - Na pokładzie znajduje się obwód, który łączy nas z komputerem tłumaczącym na Ziemi. Przy każdym siedzeniu jest słuchawka i mikrofon. Oto pańskie, panie Fernwright. A te dla pani, panno Yojez.

- Moje zdolności do ziemskiej lingwistyki powracają - oznajmiła panna Yojez, rezygnując ze słuchawki. Do Joego zaś powiedziała: - Co pan...

- W jakiej postaci pojawił się pani Glimmung? - zapytał Joe. - Jak wyglądał fizycznie? Czy był wysoki, czy niski?

Panna Yojez odpowiedziała:

- Glimmung początkowo pojawia się w wodnym sztafażu, bo zwykle spoczywa na dnie oceanu swej planety, w... - poszperała w pamięci - ...pustce zatopionej katedry.

To tłumaczyłoby oceaniczną przemianę postępu policyjnego.

- No a potem, jak się pojawiał? - zapytał Joe. - Tak samo?

- Za drugim razem, jak przyszedł do moja - powiedziała panna Yojez - ukazał się jako pranie kosza. Czy rzeczywiście miała to na myśli, zastanawiał się Joe. Kosz prania? Potem pomyślał o Grze; nagle obudziła się w nim dawna pasja.

- Panno Yojez - powiedział - może moglibyśmy skorzystać z tłumaczenia komputerowego... to niesie wiele intrygujących możliwości. Proszę pozwolić sobie opowiedzieć o pewnym wypadku, jaki zdarzył się parę lat temu przy tłumaczeniu radzieckiego artykułu o inżynierii. Pojęcie...

- Proszę - powiedziała panna Yojez. - Nie nadążani za panem, a w dodatku inne rzeczy mamy do omówienia. Musimy wszystkich wypytać i ustalić, ilu Glimmung zatrudnił. - Włożyła słuchawkę do ucha, ustawiła sobie mikrofon i nacisnęła wszystkie guziki na konsolce tłumaczącej przed sobą. - Proszę, aby wszyscy, którzy lecą na planetę Płowmana pracować dla Glimmunga, podnieśli ręce.

- A zatem - ciągnął Joe - ten artykuł o inżynierii, po przetłumaczeniu na angielski przez komputer, zawierał dziwny, powtarzający się termin. Wodny napój. Co to u diabła ma znaczyć, pytali wszyscy. Doszli do wniosku, że nie wiadomo. No a w końcu... Panna Yojez przerwała:

- Z czterdziestu pięciu pasażerów, trzydzieści osób jest na garnuszku Glimmunga - zaśmiała się. - Może czas założyć związek zawodowy i pracować kolektywnie?

Groźnie wyglądający siwowłosy pan, siedzący z przodu, powiedział:

- To wcale nie jest taki zły pomysł.

- Ale on i tak bardzo dobrze płaci - zauważył mały facet z boku.

- Macie to na piśmie? - spytał siwowłosy. - Najpierw Glimmung narobił nam ustnych obietnic, a potem postraszył; przynajmniej mnie. Wyglądał niczym dzień Sądu Ostatecznego. To naprawdę zbiło mnie z pantafyku, a powinno zdziwić każdego, kto zna Har-pera Baldwina.

- No więc - powiedział Joe - w końcu dotarli do oryginalnej radzieckiej wersji i wyobraźcie sobie, co to było. Płyn hydrauliczny. A w angielskim zrobił się z tego wodny napój. Na podstawie owego zdarzenia postanowiłem wraz z paroma znamienitymi kolegami...

- Ustne zobowiązania nie wystarczą - przerwała mu kobieta w średnim wieku, o ostrych rysach twarzy, siedząca z tyłu - zanim podejmiemy pracę dla niego, powinniśmy mieć pisemne kontrakty. W zasadzie, jak się nad tym zastanowić, to znaleźliśmy się na tym statku na skutek zastraszenia.

- A jakiz dopiero groźny może stać się dla nas po wylądowaniu na planecie Płowmana - dodała panna Yojez.

Przez moment wszyscy pasażerowie milczeli.

- Nazywamy to po prostu Grą - powiedział Joe.

- W dodatku - zastanawiał się siwowłosy mężczyzna - musimy pamiętać, że jesteśmy tylko niewielką cząstką siły roboczej rekrutowanej przez Glimmunga w całej Galaktyce. To znaczy, możemy oczywiście działać kolektywnie, ale czy to ma jakieś znaczenie? Jesteśmy tylko kroplą w morzu. Albo też będziemy nią w sensie dosłownym, gdy Glimmung dorwie się do nas na tej planecie, co może nastąpić lada moment.

- A zatem musimy - oznajmiła panna Yojez - zorganizować się tutaj, żeby po dotarciu na planetę Płowmana, gdzie prawdopodobnie będziemy przebywać w jednym z najlepszych hoteli i gdzie skontaktujemy się z innymi rekrutami, móc stworzyć skuteczny związek.

Ocieęzały człowiek o czerwonej twarzy powiedział:

- Ale czy Glimmung nie jest czymś - wykonał nieokreślony ruch ręką - ponadnaturalnym? Jakąś nadistotą? Bóstwem?

- Bóstwa nie istnieją - zawyrokował mały człowieczek z lewej strony. - We wcześniejszym okresie mego życia wierzyłem w nie, ale frustracje, rozczarowania i zawiedzione nadzieje spowodowały, że przestałem.

Człowiek o czerwonej twarzy powiedział:

- Zważmy na to, czego Glimmung jest w stanie dokonać. Nie ma znaczenia, czy nazwiemy go bóstwem, czy nie. - Iz wigorem dodał: - w stosunku do nas Glimmung dysponuje boską naturą i potęgą. Na przykład może się równocześnie objawiać na dziesięciu czy piętnastu planetach w całej Galaktyce, a jednak nadal tkwi na planecie Płowmana. Tak, rzeczywiście, ukazał mi się w przerażającej formie, jak zauważył wcześniej dżentelmen siedzący z przodu. Ale dokonał czegoś autentycznego. Sprawił, że tu jesteśmy. U mnie policja zaczęła grzebanie w życiorysie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawił się Glimmung. Sprawy tak się poukładały, że miałem do wyboru: więzienie polityczne albo propozycja Glimmunga.

Na Boga, pomyślał Joe. Może Glimmung maczał palce także w policyjnej nagonce na mnie? A te gliny, które miałem na karku podczas rozdawania monet, mogły być sterowane przez Glimmunga! W tym momencie wielu ludzi zaczęło mówić równocześnie. Przysłuchując się im z uwagą, Joe wyłowił główny nurt ich dyskusji. Oni także mówili o ocaleniu z rąk policji przez Glimmunga. To wszystko zmienia, pomyślał Joe.

- Zmusił mnie do zrobienia czegoś nielegalnego - mówiła pewna matrona. - Musiałam wypisać czek dla jednej z organizacji dobroczynnych rządu. Czek cofnięto i dopadła mnie policja. Nie wiem, jakim cudem dostałam się po ucieczce na ten statek. Sądziłam, że służby specjalne SUPP-u zatrzymają mnie w porcie.

To dziwne, zreflektował się Joe. Służby specjalne mogły zatrzymać nas wszystkich. Glimmung nie wysłał nas na planetę Płowmana z pomocą jakiejś nadprzyrodzonej sztuczki, lecz normalnym rejsem. Co więcej, sam był w porcie, widocznie po to, aby nadzorować, czy się nie wycofamy. Czy to oznacza, zapytał sam siebie Joe, że między Glimmungiem a policją nie ma szczególnego antagonizmu? Próbował sobie przypomnieć obowiązujące przepisy na temat rzadkich zawodów. Przypomniawszy sobie, iż opuszczanie Ziemi przez kogoś, kogo umiejętności mogły mieć istotne znaczenie dla rządu lub społeczeństwa, było przestępstwem. Przypomniawszy sobie, że odprawiono go rutynowo. Po prostu spojrzeli na dokumenty i poprosili następną osobę. A ta następna osoba też była wysokiej klasy fachowcem w rzadko spotykanej branży, wylatującym na planetę Płowmana. I wyglądało na to, że wszystkich następnych też przepuszczono.

Mysząc tak, czuł się coraz mniej pewnie. Układ między Glimmungiem a policją sprawiał, że realnie nadal znajdował się w strefie działania władzy, tak jakby pozostał na posterunku. A może nawet gorzej. Na planecie Płowmana nie będzie chroniony prawem przysługującym oskarżonemu. Jak już ktoś to przed nim zauważył, na planecie Płowmana będą całkowicie we władzy Glimmunga, a ten zrobi z nimi cokolwiek zechce. W pewnym sensie będą narzędziami w jego rękach, a w ten sposób staną się znów ogniwami w łańcuchu społeczności podobnej do tej, od jakiej uciekli. Ta prawda dotyczyła ich wszystkich: setek, a może tysięcy ludzi docierających do planety Płowmana z całej Galaktyki. Jezu, pomyślał ze zgrozą, ale zaraz też przypomniał sobie o czymś, o czym Glimmung w humanoidalnej formie powiedział mu w restauracji portu gwiazdowego. Nie ma małych żywotów. Pomyślał też o małym nocnym łowcy, jak Glimmung nazwał pająka.

- Słuchajcie - powiedział Joe do mikrofonu silnym głosem, trzymając wciśnięte wszystkie guziki. Wszyscy wokół wyteżyli słuch, czy chcieli tego, czy nie.

- W porcie gwiazdowym Glimmung coś mi powiedział. Powiedział mi o życiu, które czeka na coś, co je podtrzyma, i że to coś pojawia się bardzo rzadko. Powiedział, że to Przedsięwzięcie, Podniesienie Heldscalli, będzie dla mnie ową rzeczą - w głębi umysłu Joego rosło przekonanie do tego, co mówił, aż stało się tak potężne, że mógł zagrzmiąć podobnie jak Glimmung.

- Wszystko to, co było uśpione, powiedział wtedy Glimmung, wszystko, co ma potencjał, zostanie

zaktualizowane. Czulem... - Joe zawahał się, próbując znaleźć właściwe słowo. - On wiedział... - podjął w końcu, a pozostali słuchali go w ciszy - ...wiedział wszystko o moim życiu. Znał mnie od środka, jakby był tam i mógł przejrzeć mnie na wylot.

- To telepata -- wyrwało się niewielkiemu człowieczkowi, a wszyscy inni skwitowali to zgodnym pomrukiem.

- Mam coś więcej - dodał Joe. - Policja dysponuje sprzętem do działania telepatycznego i cały czas go używa. Względem mnie zrobili to wczoraj.

Panna Yojez wtrąciła:

- Ja także tego doświadczyłam. - Teraz mówiła do wszystkich: - Pan Fernwright ma rację. Glimmung przeorał moje życie, przejrzał je na wylot, aż do tego momentu. I dostrzegł, że straciło swój sens. Z wyjątkiem jego propozycji.

- Ależ on konspirował z policją - zaczął siwowłoso, ale panna Yojez mu przerwała.

- Nie mamy pewności. Myślę, że panikujemy. Sądzę, że Glimmung zaplanował to Przedsięwzięcie, aby nas ocalić. Widział nas wszystkich, widział pustkę i nieuchronny kres naszej egzystencji i kochał nas, ponieważ jesteśmy żywymi istotami. Zrobił co mógł, by nas ocalić. Podniesienie Heldscalli to tylko pretekst, prawdziwym celem jesteśmy my wszyscy, całe tysiące istnień. - Zrobiła krótką pauzę. - Trzy dni temu próbowałam popełnić samobójstwo. Połączyłam przewód odkurzacza z wydechem mojego pojazdu, a potem, włożywszy drugi koniec do środka, zamknęłam drzwi i uruchomiłam silnik.

- I co, zmieniła pani zamiar? - zapytała dziewczyna o kukurydzianych włosach.

- Nie - odparła panna Yojez. - Wydech spalin wypchnął przewód z rury. Całą godzinę przesiedziałam w zimnie na próżno.

Joe zapytał:

- Chciałaby pani znów spróbować?

- Planowałam zrobić to dzisiaj - powiedziała. - Tym razem w taki sposób, by się udało.

Mężczyzna o czerwonej twarzy i rudych włosach o-znajmił:

- Słuchajcie tego, co chcę powiedzieć, bo warto. - Westchnął z bólem i rezygnacją. - Też zamierzałem się zabić.

- A ja nie - podjął siwowłoso, który wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Joe wręcz czuł siłę jego gniewu. - Przybyłem tu ze względu na słone wynagrodzenie. Wiecie kim jestem? - rozejrzał się wokół. - Jestem psychokinetikiem. Najlepszym psychokine-tykiem na Ziemi. - Wyciągnął od niechcenia dłoń i zaraz wylądowała na niej walizka ze schowka. Złapał ją i mocno chwycił.

Zupełnie tak jak chwycił mnie Glimmung, pomyślał Joe.

- Glimmung jest tutaj - oznajmił Joe. - Jest między nami. - A do siwowłosego mężczyzny dodał: - Ty jesteś Glimmungiem, a jednak wmawiasz nam, byśmy mu nie wierzyli. Właśnie ty.

Siwowłoso mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie, przyjacielu. Nie jestem Glimmungiem. Jestem Harper Baldwin, psychokinetyk i konsultant rządowy. Przynajmniej do wczoraj.

- Ale Glimmung jest gdzieś tutaj - powiedziała pulchna kobieta z lokami, która do tej pory zajmowała się w milczeniu robótką. - Ten facet ma rację.

- Panie Fernwright - zaoferowała stewardesa - może przedstawię państwa wzajemnie? Ta atrakcyjna dziewczyna obok pana Fernwrighta to panna Mali Yojez. A ten dżentelmen... - ciągnęła, ale Joe już jej nie słuchał. Nazwiska nie miały dla niego znaczenia, z wyjątkiem oczywiście siedzącej obok panienki. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut coraz bardziej przyciągała go jej efemeryczna uroda, rzadko spotykane, jakby smutne piękno. Jest zupełnie niepodobna do Kate, pomyślał. Wręcz przeciwnie, jest prawdziwie kobieca; Ka-te to sfrustrowany facet. A taka postawa działa na mężczyzn gorzej niż kastracja.

Po zakończeniu prezentacji odezwał się tubalnym głosem Harper Baldwin:

- Myślę, że tak naprawdę narzucono nam status niewolników. Zatrzymajmy się na chwilę nad kwestią, jak tu się znaleźliśmy? Metodą kija i marchewki. Czyż nie mam racji? - spojrzął na boki, szukając aprobaty.

- Planeta Płowmana - przemówiła panna Yo-jez - jest zdewastowana i zacofana. Wprawdzie jest tam aktywna i rozwijająca się cywilizacja o wysokim stopniu rozwoju, ale nie jest to cywilizacja w pełnym tego słowa znaczeniu. Są tam miasta. Istnieje prawo. Są sztuki piękne, począwszy od tańca, a na zmodyfikowanej formie czterowymiarowych szachów skończywszy.

- To nieprawda! - zaprzeczył gniewnie Joe. Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę, zdziwieni tonem, jakim przemówił. - Żyje tam tylko jedno wielkie stare stworzenie. Prawdopodobnie nieszkodliwe. Nic nie wiadomo o zaawansowanej cywilizacji miejskiej.

- Chwileczkę - powiedział Harper Baldwin. - Co do nieszkodliwości Glimmunga mam zupełnie inne zdanie. Skąd takie informacje, Fernwright? Z rządowej encyklopedii?

Joe niepewnie potwierdził:

- Tak. I trochę z drugiej ręki.

- Skoro encyklopedia opisuje Glimmunga jako nieszkodliwego - zastanawiała się panna Yojez - to chciałabym wiedzieć, co jeszcze o nim piszą. Jestem ciekawa, o ile nasza wiedza na temat planety Płowmana różni się od rzeczywistości.

Z rosnącym zażenowaniem Joe odezwał się ponownie:

- Glimmung jest uśpiony. Stary, a zatem zniedołężniały i nieszkodliwy. - Ale pojęcie nieszkodliwy jakoś i jemu nie pasowało do Glimmunga. Innym widocznie też nie.

Wstając, Mali powiedziała:

- Jeśli państwo wybaczyacie, to udam się na odpoczynek. Może sobie coś poczytam - po czym wyszła z przedziału pasażerskiego.

- Sądzę - oznajmiła kobieta z robótką, nie podnosząc znad niej wzroku - że pan Fernwright powinien pójść za panną Jakaś-tam i przeprosić ją.

Z czerwonymi uszami, czując mrowienie na karku, Joe Fernwright podążył za Mali Yojez.

Schodząc po trzech pokrytych dywanem schodkach, doznał dziwnego uczucia. Czuję się, jakbym siedł na szafot, pomyślał. A może jest to po raz pierwszy droga ku życiu? Proces narodzin?

Pewnego dnia odpowie sobie na te pytania. Ale jeszcze nie teraz.

Rozdział szósty

Odnalazł pannę Yojez, tak jak obiecywała, zatopioną w lekturze Ramparts, na jednej z wielkich i miękkich kanap. Nie patrzyła na niego, ale przyjął za pewnik, że wie o jego obecności. Zapytał więc:

- Skąd pani tyle wie o planecie Płowmana, panno Yojez? Chodzi mi o to, że pani wiedza nie wzięła się z encyklopedii, tak jak moja. To oczywiste.

Milczała i nadal czytała. Po krótkiej chwili Joe usadowił się obok niej. Wahał się; nie wiedział, co powiedzieć. Dlaczego jej stwierdzenia na temat planety Płowmana tak go zdenerwowały? Nie miał pojęcia. Było to dla niego równie irracjonalne jak dla reszty pasażerów.

- Mamy nową grę - powiedział w końcu. Nadal czytała.

- Przeczesał się archiwa w poszukiwaniu najzabawniejszych nagłówków. Prześcigamy się w tym. - Wciąż milczała. - Zacytuję pani najzabawniejszy nagłówek, jaki słyszałem - oznajmił. - Trudno było go znaleźć. Musiałem cofnąć się do roku 1962.

Panna Yojez uniosła głowę. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Była ledwie lekko zainteresowana; na tyle, na ile nakazywało jej dobre wychowanie. Nic więcej.

- I jak brzmiał ten pański nagłówek, panie Fern-wright?

- ELMO PLASKETT POGRAŻA GIGANTÓW - powiedział Joe.

- Kim był Elmo Plaskett?

- I o to chodzi. To człowiek znikąd; nikt nigdy o nim nie słyszał. I to czyni całą sytuację zabawną. Ten Plaskett pojawił się pewnego dnia, dopadł bazy...

- Koszykarz? - zapytała panna Yojez.

- Baseballista.

- Och, tak. Ta gra z lagą.

- Była pani na planecie Płowmana - zmienił temat Joe.

Przez moment nie odpowiadała, a potem stwierdziła po prostu:

- Tak.

Zauważył, że zwinęła magazyn w rurkę i trzymała go bardzo mocno obiema rękami. Na jej twarzy pojawiło się napięcie.

- Więc wie pani z pierwszej ręki, jak tam jest. A może spotkała pani Glimmunga?

- Tak naprawdę, to nie wiem. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego obecności... nie wiem.

Przepraszam. - odwróciła się.

Joe zaczął mówić coś jeszcze. A potem dostrzegł kącikiem oka coś, co wyglądało na maszynę SSA. Wstał na równe nogi i podszedł ją obejrzeć.

- Czy mogę w czymś pomóc, sir? - zapytała stewardesa. - Czy chciałby pan, abym oddzieliła to pomieszczenie od pozostałych, byście mogli uprawiać miłość z panną Yojez?

- Nie - zaprotestował. - Interesuje mnie raczej to... - Dotknął palcem pulpitu kontrolnego maszyny SSA. - Ile kosztuje użycie tej maszyny?

- Podczas lotu przysługuje jedna darmowa sesja

- odparła stewardesa. - Potem trzeba już wydać dwie oryginalne dziesiątki. Czy pragnie pan, bym uruchomiła maszynę dla obojga państwa?

- Nie jestem zainteresowana - odezwała się Mali Yojez.

- To nie w porządku wobec pana Fernwrighta - zauważyła z uśmiechem stewardesa. - Przecież on nie może skorzystać z maszyny sam.

- Nic pani nie traci - powiedział Joe.

- Pan i ja nie mamy razem przyszłości - odparła.
- Ale na tym właśnie polega cały dowcip z maszyną SSA - zaprotestował Joe. - Można dowiedzieć się...

- Wiem, czego można się dowiedzieć - powiedziała Mali Yojez. - Używałam tego wcześniej. Okay
- powiedziała raptownie. - No to niech pan sam się przekonaj, że nic z tego.

- Dzięki - odparł Joe.

Stewardesa zaczęła szybko przygotowywać maszynę SSA, udzielając równocześnie wyjaśnień:

- SSA to skrót od sub specie aeternitatis, to znaczy coś widzianego poza czasem. Wielu wyobraża sobie, że maszyna SSA widzi przyszłość, że ma zdolności pre-kognicyjne. To nieprawda. Mechanizm, a raczej komputer, zostaje połączony elektrodami z waszymi mózgami i po prostu zbiera wielkie ilości danych o was obojgu. Potem syntetyzuje te dane i na podstawie rachunku prawdopodobieństwa oblicza, co zaszłoby między wami, gdybyście byli na przykład małżeństwem albo żyli ze sobą.

Przepraszam, ale żeby podłączyć elektrody będą musiały wygolić wam kółko na głowie. - Wyjęła mały przyrząd z nierdzewnej stali. - Jaki okres was interesuje? - spytała, wycinając kółeczko na głowie Joego, a potem Mali Yojez. - Rok? Dziesięć lat? Macie wolny wybór, ale im krótszy odcinek wybierze, tym dokładniejsze będzie wskazanie.

- Rok - powiedział Joe. Dziesięć lat wyglądało na zbyt rozległy okres; pewnie nawet nie będzie już wówczas żył.

- Czy pani się zgadza, panno Yojez? - zapytała stewardesa.

- Tak.

- Zebranie, składowanie i obróbka danych zajmą komputerowi około kwadransa - oznajmiła stewardesa, podłączając im do głów elektrody. - Proszę siedzieć spokojnie i odprężyć się. Niczego państwo nie będziecie czuli.

Mali Yojez wygłosiła suchy komentarz:

- Ja i pan, panie Fernwright. Razem przez rok. Czeka nas wiele miłych chwil.

- Robiła to pani wcześniej z innymi mężczyznami? - zapytał Joe.

- Tak, panie Fernwright.

- I nie wypadło pomyślnie? Skinęła głową.

- Przykro mi, że panią uraziłem tam przy nich - powiedział z żalem Joe.

- Nazwał mnie pan... - Mali Yojez zajrzała do słownika - kłamcą. Wobec wszystkich. A przecież to ja tam byłam, nie pan.

- Chciałem tylko powiedzieć - zaczął, ale przerwała mu stewardesa.

- Komputer SSA zbiera teraz dane z waszych umysłów. Byłoby dobrze, gdybyście się teraz zrelaksowali i zaprzestali kłótni. Macie po prostu myśleć swobodnie... otworzyć swe umysły i pozwolić zbierać dane. Nie myślcie o niczym szczególnym.

To nic trudnego, pomyślał Joe. W tych okolicznościach. Może Kate miała rację co do mnie, zastanowił się. W dziesięć minut zdołałem zrazić do siebie Mali Yo-jez, mojego towarzysza podróży i atrakcyjną dziewczynę. Joe czuł się paskudnie. Wszystko co mam jej do zaproponowania to ELMO PLASKETT POGRAŻA GIGANTÓW. A może, pomyślał nagle, będzie ją interesować sklejanie porcelany.

Dlaczego nie porozmawiałem z nią o tym przy pierwszej okazji, zapytał sam siebie. W końcu jest to podstawa, dzięki której się tu znaleźliśmy: nasze rzemiosło, doświadczenie, wiedza, trening.

- Jestem druciarzem - powiedział na głos.

- Wiem - stwierdziła Mali Yojez. - Czytałam pański materiał biograficzny, pamięta pan? - Jej głos stał się nieco miłszy.

- Interesuje panią naprawa porcelany? - zapytał Joe.

- Jestem tym zafascynowana - odparła. - Dlatego właśnie... - wykonała nieokreślony gest i zajrzała do słownika - ...tak cudownie mi się z panem rozmawia. Proszę mi powiedzieć, czy porcelana jest potem równie doskonała jak nowa? Nie naprawiona, ale... jak pan mówi, uzdrowiona*.

Joe powiedział:

- Uzdrowiona ceramika jest dokładnie w takim stanie jak przed rozbiciem. Wszystko się łączy, wszystko przenika. Oczywiście nie może brakować żadnego kawałka, nie mogą wypełniać luk. - Zaczynam gadać tak jak ona, powiedział sam do siebie. To silna osobowość, a ja to podświadomie wyczuwam. Jak stwierdził Jung, istnieje archetyp anima, którego cechy mężczyźni doświadczają przy spotkaniu z kobietą. Archetypiczny wizerunek jest przenoszony z jednej kobiety na następną, nadając jej charyzmatyczną moc. Muszę na to uważać. W końcu, w moim związku z Kate ona grała rolę dominującą, a ja byłem stroną bierną. Nie zamierzam po raz wtóry popełniać tego samego błędu, powiedział sobie Joe. Błędu zwanego Katherine Hurlley Blaire.

- Komputer SSA pobrał dane - poinformowała Mali i Joego stewardesa. Zdjęła elektrody z ich głów. - Obróbka ich zajmie mu dwie do trzech minut.

- A jaką formę będzie miała ekstrapolacja? - zapytał Joe. - Taśmy perforowanej czy...

- Zostanie wam wizualnie zaprezentowany moment z waszego wspólnego życia za rok od dzisiaj -

padła odpowiedź. - Będzie to miało formę trójwymiarowego filmu, wyświetlanego na przeciwległej ścianie - stewardesa powoli wygaszała światła.

- Czy mogę zapalić? - zapytała ją Mali Yojez. - Tutaj nie obowiązuje już chyba ziemskie prawo.

- Palenie papierosów jest na statku zabronione przez cały lot - odpowiedziała - ze względu na wysoką zawartość tlenu w regenerowanej atmosferze.

Światła przygasły, wszystko wokół zatonęło w ciemności. Również siedząca obok dziewczyna. Minęła chwila, po czym w głębi maszyny SSA zmaterializował się świetlny kwadrat. Zamigotały kolory i obrazy. Joe ujrzał siebie przy pracy nad rekonstrukcją porcelany; przy kolacji; ujrzał Mali, jak rozczesuje włosy przy toalecie. Obrazy pojawiały się jeden po drugim, a potem nagle ustabilizowały się w jednolity przekaz.

W kolorze i trzech wymiarach zobaczył, jak spacerują z Mali, trzymając się za ręce, wzdłuż mrocznej plaży dziwnej pustej planety. Obserwująca ich kamera wykonała najazd i szerokokątnym obiektywem pokazała zbliżenia twarzy. Oba oblicza promieniowały miłością najczulszą z możliwych. Widząc to, zrozumiał natychmiast, że nigdy jeszcze życie nie miało mu do zaoferowania czegoś tak wspaniałego. Być może z nią było podobnie. Spojrzał w jej stronę, ale nie widział jej twarzy, nie widział, jak to przyjmowała.

- Jejku, ależ oboje wspaniale wyglądacie - stwierdziła stewardesa.

Mali Yojez powiedziała:

- Proszę nas teraz zostawić.

- Jasne - odparła stewardesa. - Przepraszam, że zostałam.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Są wszędzie - wytłumaczyła swe zachowanie Mali Yojez. - Przez cały lot. Nigdy nie pozostawią cię samego.

- Ale przecież pokazała nam, jak działa ten mechanizm - powiedział Joe.

- Do diaska, sama potrafię uruchomić maszynę SSA, robiłam to wiele razy. - Jej głos był napięty, jakby to, co widziała, nie miało znaczenia.

- Wygląda na to, że pasujemy do siebie - powie-! dział Joe.

- O, Chryste! - krzyknęła Mali Yojez i walnęła ręką w oparcie krzesła. - Tak było już przedtem. Ze mną i z Ralfem. Doskonale pod każdym względem. Lecz w rzeczywistości nie! - zacharczała, a jej gniew wypełnił niemal namacalnie całe pomieszczenie. Czuł, jak jego sąsiadka czerwienieje, intuicyjnie wyczuwał olbrzymią reakcję emocjonalną na projekcje z maszyny.

- Tak jak mówiła stewardesa - powiedział - maszyna SSA nie widzi przyszłości. Może jedynie zebrać dane z mojego i pani umysłu i ułożyć z nich najbardziej prawdopodobny zestaw wydarzeń.

- To po co jej używamy? - burknęła Mali Yojez.

- Może w charakterze polisy ubezpieczeniowej - odparł Joe. - Postępuje pani trochę tak, jakby winiła pani towarzystwo ubezpieczeniowe za to, że pani dom nie spłonął.

- To niedobra analogia.

- Przepraszam - powiedział Joe. Teraz i on był poirytowany.

- Czy sądzi pan - zapytała zgryźliwie Mali - że pójdę z panem do łóżka, po tej scenie, gdzie trzymaliśmy się za ręce? Tunuma mokimo hilo, kei dei bifo di-tikar sewat. - Ostatnie zdanie, wypowiedziane w ojczystym języku było bez wątpienia nie zbyt cenzuralne.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Hej, wy dwoje - zawołał Harper Baldwin - opracowujemy logistykę naszego zatrudnienia i jesteście nam potrzebni.

Joe wstał i w ciemności skierował się w stronę drzwi.

Spierali się przez dwie godziny i ani razu nie byli bliscy jakiegokolwiek konkluzji.

- Po prostu zbyt mało wiemy o Glimmungu - narzekał Harper Baldwin, który wyglądał już na zmęczonego. Zaraz potem napał na Mali Yojez. - Mam przeczucie, że wie pani o nim więcej niż ktokolwiek z nas, a już na pewno więcej niż pani ujawnia. Cholera, ukrywała pani nawet fakt pobytu na planecie Płow-mana. Gdyby nie Fernwright...

- Nikt jej o to nie pytał - powiedział Joe. - Dopiero gdy ja to zrobiłem, szczerze o wszystkim powiedziała.

Młodzieniec o chuligańskim wyglądzie zapytał:

- Jak pani sądzi, panno Yojez? Czy Glimmung próbuje nam pomóc czy też dla własnych potrzeb buduje społeczność zniewolonych naukowców? Bo jeśli tak, to lepiej zawróćmy ten statek przed dotarciem na planetę Płowmana - jego głos był piskliwy i nerwowy.

Siedząca obok Joego Mali Yojez pochyliła się ku niemu i powiedziała szeptem:

- Wynieśmy się stąd do kajuty, w której byliśmy.

Ta dyskusja do niczego nie prowadzi, a ja chcę z panem porozmawiać.

- Okay - zgodził się Joe z ochotą. Wstali i ruszyli na dół.

- Wynoszą się - zauważył Harper Baldwin. - Co takiego wciąż tam panią ciągnie, panno Yojez? Mali

przystanęła i powiedziała:

- Jesteśmy uczuciowo zaangażowani - po czym ruszyła dalej.

- Nie powinna pani im tego mówić - powiedział Joe, gdy zamknęły się za nimi drzwi. -

Prawdopodobnie uwierzyli.

- Ale to prawda - odparła Mali. - Nie używa się maszyny SSA, jeśli nie myśli się o kimś poważnie. W tym wypadku tą osobą jestem ja. - Usiadła na kanapie i wyciągnęła ku niemu ramiona.

Najpierw zamknął drzwi do kajuty. W świetle zaistniałych okoliczności zdawało się to rozsądne.

Te przyjemności są zbyt wspaniałe, pomyślał, zbyt wspaniałe do opisanie. Ktokolwiek tak kiedyś pomyślał, zrozumie o co mi chodzi.

Rozdział siódmy

Na orbicie wokół planety Płowmana statek zaczął odpalać silniki hamujące i zmniejszać prędkość.

Lądowanie miało nastąpić za pół godziny.

Tymczasem Joe Fernwright zabawiał się czytaniem „The Wall Street Journal”. W ciągu lat zorientował się, że właśnie ten dziennik, bardziej niż inne, poświęcał swą uwagę najbardziej aktualnym nowinkom. Czytanie go było jak podróż w przeszłość - na około pół roku.

Niedawno w pewnym domu opieki w New Jersey, zaprojektowanym specjalnie dla pacjentów geriatrycznych, wbudowano nowe obwody, które mają zapewnić płynną i pozbawioną opóźnień rotacją pomieszczeń. Gdy osoba zajmująca pomieszczenie umiera, elektroniczne detektory w ścianie rejestrują brak pulsu i pobudzają do działania odpowiednie obwody. Zmarły jest wciągany do azbestowej komory w ścianie, gdzie jego szczątki podlegają kremacji, aby nowy mieszkaniec pomieszczenia, również pacjent geriatryczny, mógł je zająć jeszcze przed południem.

Joe przestał czytać i zwinął gazetę. To już lepiej zostać tutaj, zdecydował. Skoro tak właśnie chcą nas traktować na Ziemi.

- Sprawdziłam nasze rezerwacje - stwierdziła sucho Mali. - Wszyscy mamy pokoje w hotelu „Olimpia” w największym mieście na planecie. Nazywa się ono Diamond Head. I jest ulokowane na cyplu wchodzącym 50 mil w Marę Nostrum.

- Co to jest Marę Nostrum? - zapytał Joe.

- Nasz ocean.

Pokazał jej artykuł w gazecie. Potem w milczeniu obejrzel go pozostali pasażerowie. Wszyscy spoglądali na siebie w oczekiwaniu reakcji.

- Podjęliśmy właściwy wybór - powiedział Har-per Baldwin. Inni skinęli głowami. - To mi wystarczy.

- Otrząsną się. - Oto jakie społeczeństwo stworzyliśmy.

Uzbrojeni po zęby członkowie załogi ręcznie odblokowali właz. Do środka wdarło się powietrze: zimne i dziwnie pachnące. Joe czuł, że ocean jest gdzieś blisko; jego zapach unosił się w powietrzu.

Oslaniając oczy przed promieniami słońca, dostrzegł zarysy w miarę nowoczesnie wyglądającego miasta, a za nim brązowoszare wzgórza. Ale ocean jest gdzieś w pobliżu, powiedział sobie. Mali ma rację; ta planeta jest zdominowana przez ocean. I to właśnie ocean posiada to, co nas interesuje.

Stewardesa z zawodowym uśmiechem zaprowadziła ich do otwartego luku i stojącego za nim trapu, który wiódł na wilgotną powierzchnię pasa startowego. Joe Fernwright wziął Mali za rękę i poprowadził ją na dół. Żadne z nich nic nie mówiło. Mali wydawała się zaabsorbowana sobą, jakby nie zauważała innych ludzi i budynków portu. Musi mieć złe wspomnienia, pomyślał Joe. Może coś się jej tutaj przytrafiło.

A czymże to wszystko jest dla mnie. To mój pierwszy lot międzyplanetarny, czy międzysystemowy, w życiu. Ziemia pod moimi stopami nie jest Ziemią. Przydarza mi się coś dziwnego i ważnego.

Wciągnął powietrze. Inny świat i inna atmosfera. To wszystko jest bardzo intrygujące.

- Tylko nie mów - odezwała się Mali - że to miejsce wydaje ci się niezemskie. Bardzo proszę.

- Nie pojmuję, o co ci chodzi - powiedział Joe. - Ono jest niezemskie. Jest zupełnie inne.

- Nieważne - odparła Mali. - Ralf i ja tak się kiedyś zabawialiśmy. Wiele lat temu. Mówiliśmy na to zabawa w dwuznaczne zdania. Ciekawe czy ją jeszcze pamiętam. Ralf wymyślał dwuznaczne zdania.

„Interes wydawcy spoczywa często w rękach korektora”. To jedno z jego zdań. „Pewne rośliny pojawiają się sporadycznie”. No może jeszcze coś. „Ciotka ciągle wisi na telefonie”. To ostatnie zawsze mi się podobało, wyobrażałam sobie gigantyczny telefon. „W roku 1945 odkrycie energii atomowej zelektryfikowało świat”. Łapiesz, o co chodzi? - Spojrzała na niego. - Nie łapiesz - stwierdziła. - Trudno.

- To wszystko zdania oznajmujące - odezwał się Joe. - Przynajmniej tak je odczytuję. A gdzie tkwi zabawa?

- „Zaproszenie saperów na festyn było niewypałem”. Jak ci się podoba to zdanie? Widziałam je w gazecie. Sądzę, że Ralf znajdował większość tego typu zdań w gazetach bądź w programach

telewizyjnych. Myślę, że wszystkie były prawdziwe - dodała. - Wszystko, co się tyczyło Ralfa, było prawdziwe. Na początku. I później też.

Podeszła do nich duża brązowa istota przypominająca szczura. Trzymała w ramionach coś, co wyglądało na stertę książek.

- Spiddlery - powiedziała Mali, wskazując na tę istotę i jej pobratymca asystującego Harperowi Baldwinowi. - Jedna z tutejszych form życia. W przeciwieństwie do Glimmunga. Znajdziesz tu... niech pomyślę - policzyła na palcach - spiddlerów, wuby, werje, klaki, troby i printerów. Pozostali z dawnych czasów... gdy starożytne Mglorzeczy już odeszły. On chce, żebyś kupił od niego książkę. Spiddler dotknął małego magnetofonu zamontowanego u pasa. Urządzenie odezwało się za niego:

- W pełni udokumentowana historia fascynującego świata - powiedziało po angielsku, a potem powtórzyło to w wielu innych językach, w każdym razie po angielsku już nie mówiło.

- Kup to - powiedziała Mali.

- Przepraszam? - zapytał Joe.

- Kup tę książkę.

- Znasz ją? O czym jest? Mali stwierdziła cierpliwie:

- W tym świecie jest tylko jedna książka.

- Przez świat rozumiesz tę planetę czy coś szerszego? - zapytał Joe.

- Na planecie Płowmana - powiedziała Mali - jest tylko jedna książka.

- I nie nudzi ich czytanie jej?

- Ona się zmienia - powiedziała Mali. Podała spiddlerowi dziesiątaka, który go bardzo ucieszył.

Dostała w zamian egzemplarz książki, który zaraz podała Joemu.

Dokonawszy pobieżnych oględzin, Joe stwierdził:

- Nie ma tytułu ani autora.

- Jest pisana - wyjaśniła Mali, gdy szli do budynków portu - przez grupę stworzeń lub istot, nie znam angielskiej nazwy, która zapisuje wszystkie zdarzenia na planecie Płowmana. Wszystkie. Duże i małe.

- A więc to jest gazeta.

Mali zawałała się. Odwróciła ku niemu twarz, a jej oczy płonęły.

- Ale ona jest spisywana przed tymi zdarzeniami - powiedziała najspokojniej jak potrafiła. -

Kalendowie tworzą historię; wprowadzają ją do wciąż zmieniającej się księgi bez tytułu, a w końcu

zdarzenie ma miejsce.

- Prekognicja - stwierdził Joe.

- To dyskusyjne. Bo co jest przyczyną, a co skutkiem? Kalendowie orzekli w swej ewoluującej księdze, że Mglorzeczy zginą. I zginęły. Czy zatem Kalendowie są tego sprawcami? Spiddlery tak sądzą, ale Spiddlery są bardzo zabobonne, więc mogą w to wierzyć.

Joe otworzył księgę w przypadkowym miejscu. Tekst nie był angielski, nie rozpoznał języka ani nawet alfabetu. Ale wertując księgę dalej, dotarł do krótkiego angielskiego fragmentu, otoczonego masą obcej pisaniny.

Dziewczyna Mali Yojez jest ekspertem od usuwania koralowych narośli z zatopionych artefaktów.

Inni osobnicy, którzy przybyli z różnych systemów całej Galaktyki, to geolodzy, bioinżynierowie, hydroinżynierowie, sejsmolodzy; jeden specjalizuje się w podwodnych operacjach z udziałem robotów, a inny, archeolog, jest mistrzem w lokalizacji pogrzebanych, starożytnych miast. Pewien zaś gastropoid, zdolny do...

W tym miejscu tekst przechodził w inny język, Joe zamknął książkę zdumiony.

- Może wspominają też o mnie? - zastanowił się głośno, gdy dotarli do ruchomego chodnika, wiodącego do terminalu portu gwiazdowego.

- Oczywiście - powiedziała spokojnie Mali. - Jeśli poszukasz wystarczająco długo, to znajdziesz. Jak to ci zrobi... przepraszam. Jak się wtedy czujesz?

- Dziwnie - powiedział wciąż zdumiony.

Naziemny pojazd służący za taksówkę zawiózł ich do hotelu. Joe Fernwright w czasie jazdy nadal przeglądał pozbawioną tytułu książkę. Był tym bardzo zajęty i ledwie zauważał mijane sklepy i przemyskające tu i ówdzie istoty. Miał świadomość obecności ulic, budynków i żywych stworzeń, ale bardzo mglistą, ponieważ natrafił na kolejny ustęp w języku angielskim.

Przedsięwzięcie wymaga oczywiście zlokalizowania, wydobywania i naprawy podwodnej struktury, która jest prawdopodobnie, zważywszy na ilość zaangażowanych ludzi, olbrzymia. Jest to niemal na pewno całe miasto, lub nawet cała cywilizacja z zamierzczłych czasów.

W tym miejscu, tak jak poprzednio, tekst zmieniał się w niezrozumiałą ciąg kropek i kresek, przypominający dwójkowy system notacji.

Joe odezwał się do swej sąsiadki z taksówki:

- Ludzie, którzy piszą tę książkę wiedzą o Podniesieniu Heldscalli.

- Tak - powiedziała krótko Mali.

- Zatem gdzie tu prekognicja? - zapytał Joe. - To jest dokładnie to, co się dzieje teraz, niemal w tej

minucie, no może z małym odchyleniem czasowym.

- Natrafisz na trop - powiedziała Mali - jeśli będziesz szukał wystarczająco długo. To jest w niej ukryte. Pośród wielu tekstów, które są tłumaczeniami jednego oryginału, jeden wers jest jak śruba. Śruba przechodząca z przeszłości, poprzez teraźniejszość, do przyszłości. Gdzieś w tej książce, panie Fernwright, zapisana jest przyszłość. Przyszłość Glimmunga, przyszłość nas. Wszyscy jesteśmy zanurzeni w czasie Ka-lendów, w ich czasie poza czasem.

- Ale ty wiedziałaś o tej książce, zanim spiddler ci o niej powiedział.

- Widziałam ją już wcześniej, gdy byliśmy tu z Ral-fem. Maszyna SSA wywróżyła nam szczęście, a książka Kalendów, ta księga, zapowiedziała, że Ralf... - zrobiła pauzę. - On popełnił samobójstwo. Najpierw chciał zabić mnie. Ale... nie był w stanie.

- I o tym mówiła Księga Kalendów?

- Tak. Pamiętam jak Ralf i ja przeczytaliśmy tekst o sobie i nie mogliśmy w to uwierzyć. Zdawało się, że mechanizm SSA to naukowa analiza danych, a ta księga to gadki starej ciotki, paru starych bab, widzących tragedię tam, gdzie maszyna dostrzegła szczęście.

- Czego mogło zabraknąć maszynie SSA?

- Brakowało jej pewnych danych. Syndromu Whit-neya. Psychologicznej reakcji Ralfa na amfetaminę, wywołującej paranoję oraz mordercze i wrogie nastawienie. On... - szukała słowa.

- Antidotum na apetyt - powiedział Joe. - Podobnie jak alkohol. - To dobre dla niektórych, pomyślał, a śmiertelne dla innych. A syndrom Whitneya nie wymaga przedawkowania, wyzwalają go nawet małe dawki, jeśli choroba jest uśpiona. Podobnie jest przy alkoholizmie, gdzie najmniejszy drink oznacza porażkę i destrukcję. - Cholerna szkoda - wymruczał.

Taksówka podjechała do chodnika. Jej kierowca, istota podobna do bobra z brzytwiastymi zębiskami, powiedział kilka słów w niezrozumiałym dla Joego języku. Mali jednak skinęła głową i wręczyła bobrowatemu stworowi pewną sumę metalowych pieniędzy ze swej sakiewki. Joe wyszedł na chodnik. Rozejrzał się wokół i powiedział:

- To tak, jakby cofnąć się w czasie o sto pięćdziesiąt lat - samochody jeżdżące po ulicach, oświetlenie łukowe... jak na Ziemi za prezydentury Franklina Roos-velta, pomyślał z rozbawieniem. To mu się podobało. Czas tutaj płynął wolniej. I ludności było mniej. Po ulicach poruszało się niewiele stworzeń. Posługiwały się nogami (czy też ich substytutami) albo jeździły samochodami.

- Teraz widzisz, czemu się na ciebie rozzłościłam - powiedziała Mali, widząc jego reakcję. - Za zniesławienie planety Płowmana, która była mym domem przez sześć lat. A teraz - wykonała gest dłonią - powróciłam tu. I robię dokładnie to, co robiłam wtedy; wierzę w niezawodność wyroczni SSA.

- Wejźmy do hotelu - postanowił Joe - i napijmy się czegoś.

Razem sforsowali obrotowe drzwi hotelu „Olimpia”. Wewnątrz znajdowały się drewniane posadzki, rzeźbione w drewnie dekoracje, polerowane mosiężne klamki i poręcze oraz gruby, czerwony dywan. No i antyczna winda, którą Joe natychmiast zauważył. Nieautomatyczna, jak się przekonał. Wymagała obsługi windziarza.

W pokoju hotelowym, wyposażonym w szafę, lustro, żelazne łóżko i płócienne rolety, Joe przysiadł w pękającym fotelu i zaczął studiować Księgę.

Do niedawna zajmowała go Gra. A teraz Księga. Ale to była inna fascynacja i im bardziej wczytywał się w Księgę, tym bardziej zdawał sobie z tego sprawę. Stopniowo przerzucając strony, składał spisany tam angielski tekst w całość. Poszczególne fragmenty uzupełniały się wzajemnie.

- Mam zamiar wziąć kąpiel - oznajmiła Mali. Zdążyła już otworzyć walizkę i wyłożyć swoje rzeczy na łóżko. - Czyż to nie dziwne, Joe Fernwright - zawołała - że musimy zajmować dwa pokoje? Jak wiek temu.

- Tak - odparł.

Weszła do jego pokoju ubrana jedynie w obcisłe majtki. Była naga od pasa w górę. Miała mały biust, lecz jędrne i smukłe ciało. Ciało tancerki, czy też ciała kobiety z Cro-Magnon, łowczyni, piechurki, osoby nawykłej do długich, ciężkich, często bezowocnych wędrówek. Nie było na niej ani odrobiny zbędnej tkanki, jak miał to okazję już wcześniej zauważyć na statku. Wtedy tylko jej dotykał, teraz mógł to wszystko ujrzeć. Jednakże, pomyślał ze strachem, Kate miała niezgorszą figurę. To go przygnębiło. Powrócił do lektury Księgi.

- Czy chciałbyś ze mną spać gdybym była cyklopem? - Mali wskazała na środek swego czoła. - Jedno oko tu. Jak Polifem, ten cyklop z „Odysei” Homera. Zdaje się, że wypalili mu to oko rozpalonym prętem.

- Posłuchaj tego - odezwał się Joe. Zaczął głośno czytać z Księgi. - Obecnie dominującą istotą na planecie jest coś, co zwiemy Glimmungiem. Ta mroczna, wielka istota nie pochodzi z tej planety, przybyła tu kilka wieków temu i zawiadnęła słabszymi gatunkami pozostałymi po wyginieciu tak zwanych Mglorze-czy. - Joe pokiwał na Mali, by podeszła popatrzeć. - Jednakże potęga Glimmunga jest mocno ograniczona tajemniczą Księgą, w której, jak się sądzi, zapisane jest wszystko, co było, jest

i będzie. - Zamknął książkę. - Ona mówi sama o sobie.
Podchodząc do krzesła Joego, Mali pochyliła się nad tekstem.
- Pokaż mi, chcę to zobaczyć - powiedziała.
- To wszystko. Tekst angielski tu się kończy. Biorąc od niego książkę, Mali zaczęła ją przeglądać.
Zmarszczyła brwi; jej twarz stała się napięta.
- No i jest o tobie, Joe - powiedziała w końcu. - Tak jak mówiłam. Jesteś wymieniony z nazwiska.
Szybko wziął od niej książkę.
Joseph Fernwright dowiaduje się, że Glimmung uważa Kalendów i ich Księgę za swych przeciwników.
Mówi się, że spiskuje, aby raz na zawsze pozbyć się Ka-lendów. Jednakże nie wiadomo, jak to robi.
W tym miejscu plotki są sprzeczne.
- Pozwól mi przerzucać kartki - powiedziała Mali.
Przejrzała kolejne stronicę, a potem z kamienną twarzą zrobiła pauzę.
- To w moim języku - powiedziała i pochyliła się nad Księgą. Przez długi czas studiowała znaleziony fragment i w miarę jak się weń wczytywała, jej twarz stawała się coraz bardziej spięta, choć widać było, że próbowała się rozluźnić.
- Tutaj napisali - rzekła w końcu - że Glimmung podejmuje się Podniesienia Heldscalli na suchy ląd. I że mu się nie uda. Jest mowa o tym, że większość rekrutów pomagających Glimmungowi zginie - kontynuowała - jeśli Podniesienie legnie w gruzach. Tóójic - poprawiła się. - Zostaną zabici, zniszczeni, okaleczeni. Będą starci w proch.
- Sądzisz, że Glimmung zna te fragmenty? - zapytał Joe. - Że mu nie wyjdzie i że my...
- Oczywiście, że wie. Jest o tym napisane we fragmencie, który czytałeś. Glimmung uważa Kalendów i ich książkę za wrogów i spiskuje, by się ich pozbyć i wydobywa Heldscallę, by ich zniszczyć.
- Nie tak było napisane - zaprzeczył Joe. - Napisane było, że nie wiadomo jednak, jak zamierza tego dokonać. Tutaj plotki są sprzeczne.
- Ale chodzi oczywiście o wydobycie Heldscalli. - Krążyła zdenerwowana po pokoju ze splecionymi ciasno rękami. - Sam tak twierdziłeś. Ludzie, którzy to piszą, wiedzą o wydobywaniu Heldscalli. Należy tylko złożyć ze sobą te dwa ustępy. Mówiłam ci, że tu jest przyszłość Heldscalli, Glimmunga. A my mamy przestać istnieć, umrzeć - przestała mówić i spojrzała na niego szyderczo. - W ten właśnie sposób wyginęły Mgłorze-czy. Rzuciły wyzwanie Księdze Kalendów. Mogą ci o tym powiedzieć spiddlery; one nadal o tym gadają.
- Lepiej powiedzmy o tym pozostałym ludziom, którzy są z nami w hotelu - stwierdził Joe.
Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyły się lekko i przez szparę zajrzał do pokoju z przepaszającym wzrokiem Harper Baldwin.
- Przykro mi, że wam przeszkadzam - wydukał - ale czytaliśmy tę książkę. - Wyjął kopię Księgi Kalendów. - Piszą tu o nas. Poprosiłem zarząd hotelu, by wezwano wszystkich gości na konferencję za pół godziny.
- Przyjdziemy tam - oznajmił Joe, a półnaga Mali Yojez skinęła zza jego pleców głową.

Rozdział ósmy

Pół godziny później blisko czterdzieści rodzajów istot siedziało w głównej sali konferencyjnej hotelu. Joe przyglądał się niezwykle różnorodności form życia. Ujrzał wiele takich, które na Ziemi stanowiły jego pokarm. Większości jednak nie znał. Glimmung musiał rzeczywiście przeczesać masę systemów gwiazdnych w poszukiwaniu talentów. Więcej niż Joe przypuszczał.
- Sądzę - odezwał się Joe do Mali - że powinniśmy być przygotowani na pojawienie się Glimmunga. Tutaj okaże się pewnie taki, jaki jest naprawdę.
Mali mruknęła:
- Glimmung waży czterdzieści tysięcy ton. Gdyby pojawił się tutaj taki, jaki jest naprawdę, rozwaliby budynek. Runąłby przez podłogę do piwnicy.
- No to pojawi się w innej formie. Na przykład ptaka. Na mównicy z mikrofonem pojawił się Harper Baldwin i poprosił o ciszę.
- Uspokójcie się, moi drodzy - powiedział, a jego słowa automatycznie przetłumaczono do słuchawek na odpowiednie języki.
- Masz na myśli coś na kształt kury? - zapytała Mali.
- Kura to nie ptak - odparł Joe - kura to drób, ptactwo domowe. Miałem na myśli raczej wielkoskrzydłego albatrosa.
- Glimmung nie przepada za ładną postacią - powiedziała Mali. - Raz ukazał mi się jako... - przerwała - ...zresztą nieważne.
- Nasze spotkanie dotyczy - kontynuował Harper Baldwin - książki, którą nam tutaj podsunęto. Ci,

k którzy znaleźli się na tej planecie wcześniej, prawdopodobnie już ją znają. Jeśli tak, to pewnie macie już na ten temat opinię...

Jakiś wielonogi gastropoid wstał i przemówił do mikrofonu:

- Oczywiście, że znamy tę Księgę. Spiddlery sprzedają ją przed portem kosmicznym.
- Nasze wydanie, jako że jest późniejsze, może zawierać więcej informacji, których nie czytaliście - powiedziała do mikrofonu Mali.
- Każdego dnia kupujemy nowe wydanie - skwitował gastropoid.
- A zatem wiecie, że Podniesienie Heldscalli się nie powiedzie - stwierdził Joe. - A także to, że zginiemy.
- Niezupełnie - odparł gastropoid. - Napisano, że pracownicy Glimmunga będą cierpieć, że nastąpi coś, co zmieni ich na zawsze.

Olbrzymia wazka przeleciała przez salę do Harper a Baldwina i wylądowała na jego ramieniu.

Przeciwstawiając się gastropoidowi oznajmiła:

- Nie ma jednak wątpliwości, że Księga Kalendów przewiduje niepowodzenie przy odbudowie Heldscalli.

Gastropoid w formie czerwonej galaretki usadowił się na metalowej ramie, która utrzymywała go w pozycji pionowej, by móc włączyć się do dyskusji. Mówiąc, pociemniał, zapewne ze wstydu:

- Tekst wydaje się twierdzić, że odbudowa świątyni się nie uda. Podkreślam, wydaje się twierdzić. Jestem sprowadzonym tu przez Glimmunga lingwistą. Pod wodą, w katedrze, znajdują się niezliczone dokumenty. Kluczowe zdanie: „Przedsięwzięcie się nie powiedzie”, powtarza się w Księdze dwadzieścia trzy razy. Czytałem wszystkie tłumaczenia i stwierdzam, że tekst ten najprawdopodobniej oznacza: „Po realizacji przedsięwzięcia nastąpi niepowodzenie”, doprowadzi ono do niepowodzenia, a nie, że będzie niepowodzeniem.

- Nie widzę różnicy - stwierdził Harper Baldwin, marszcząc brwi. - W każdym razie dla nas istotny jest fragment o tym, że zostaniemy zabici czy też okaleczeni, a nie samo niepowodzenie Podniesienia. Czy ta księga nigdy się nie myli? Stwór, który mi ją sprzedał, twierdził, że nie.

Różowa galaretka powiedziała:

- Stwory sprzedające Księgę mają czterdzieści procent z zysku. To oczywiste, iż utrzymują, że Księga mówi prawdę.

Uderzony niesprawiedliwością tego stwierdzenia Joe aż podskoczył.

- W taki sam sposób można by twierdzić, że wszyscy lekarze na świecie, z racji zarabiania pieniędzy na leczeniu, odpowiadają za choroby, które przechodzimy.

Roześmiana Mali usadowiła go na powrót w pozycji siedzącej.

- Nie sądzę, aby w ciągu ostatnich dwustu lat ktoś tak bronił spiddlerów. No to teraz mają już... no... szampana.

- Czempiona - warknął Joe, nadal czując ogarniające go ciepło. - Chodzi przecież o nasze życie - dodał. - To nie jest zwykła debata podatkowa na jakiś tam temat.

Przez pomieszczenie przetoczył się szmer rozmów. Rzemieślnicy i uczeni dyskutowali między sobą.

- Proponuję - zarządził Harper Baldwin - abyśmy działali wspólnie. Abyśmy stworzyli stałą organizację z przedstawicielami, którzy będą nas reprezentować przed Glimmungiem, broniąc naszych praw. Ale przedtem wszyscy, przyjaciele i współpracownicy, siedzący tu dzisiaj, czy też latający po tym pomieszczeniu, zgłosujemy, czy chcemy pracować nad Podniesieniem, czy nie. Może wcale tego nie chcemy. Może pragniemy wrócić do domu. Może powinniśmy powrócić do domu. Zobaczymy, co sądzi o tym kolektyw. A zatem, kto jest za rozpoczęciem pracy... - przerwał. Przez salę konferencyjną przetoczył się wielki rumor, głos Harpera Baldwina przestał być słyszalny. Wszelkie rozmowy stały się niemożliwe.

Przybył Glimmung.

To musi być jego prawdziwa postać, zdecydował Joe, przyglądając się i słuchając. Mieli do czynienia z Glimmungiem w całej krasie, a zatem...

Z dźwiękiem tysiąca złomowanych aut mieszanych jakąś wielką drewnianą łyką, Glimmung usadowił się na scenie w odległym krańcu sali konferencyjnej. Jego ciało prężyło się i drżało, a gdzieś w wnętrza zaczął dochodzić pomruk. Stawał się coraz głośniejszy, aż przeszedł w wycie. To jakieś zwierzę, pomyślał Joe. Pewnie uwięzione w pułapce. Próbuje się uwolnić, ale pułapka jest zbyt skomplikowana. W tym samym momencie cała sala wypełniła się morzem rojącym się od ryb, morskich ssaków i planktonu. A w centrum wszystkiego tkwiła bryłowata sylwetka Glimmunga.

- Obsłudze hotelu to się nie spodoba - powiedział półgłosem Joe. Dobry Boże, ta wielka masa rozedrganych macek, wypustek, wyrastających prawie z każdego cala olbrzymiego cielska... to wszystko zachwiało się, a potem z dzikim rykiem zarwało pod sobą podłogę. Bezkształtna masa zniknęła z pola widzenia, pozostawiając morskie resztki rozrzucone po całej sali. Z czegoś, co wyglądało jak nozdrza, wyleciały jeszcze w górę obłoki pary. Ale Glimmung zniknął. Tak jak przewidziała Mali, jego waga była zbyt wielka. Glimmung znajdował się teraz w piwnicy hotelu,

dziesięć pięter pod nimi.

Wstrząśnięty Harper Baldwin przemówił do mikrofonu:

- Wi... widocznie będziemy musieli zejść na dół, by z nim porozmawiać.

Podbiegło do niego kilka stworzeń, których z uwagą wysłuchał, a potem wyprostował się i dodał:

- Wydaje mi się, że jest raczej w piwnicy niż piętro niżej. On... - tu wykonał gwałtowny gest - bez wątplenia zleciał na sam dół.

- Wiedziałam, że tak się to skończy, jeśli będzie próbował się tu dostać. Cóż, musimy z nim dyskutować w piwnicy - powiedziała Mali i wstała na równe nogi, a za nią Joe. Dołączyli do zbierającego się przy windach tłumu.

Joe powiedział:

- Powinien był jednak przybyć jako albatros.

Rozdział dziewiąty

Gdy dotarli do piwnicy, Glimmung przywitał ich serdecznie:

- Nie będziecie potrzebowali urządzeń tłumaczących - poinformował. - Do każdego będę się zwracał telepatycznie w jego własnym języku.

Wypełniał niemal całą piwnicę, więc musieli pozostać w windach. Teraz zrobił się bardziej zwarty, skondensowany, ale nadal był olbrzymi.

Joe wziął głęboki, uspokajający oddech i powiedział:

- Czy pokryje pan straty hotelu, powstałe w wyniku wyrządzonych szkód?

- Mój czek - odparł Glimmung - nadejdzie jutro poranną pocztą.

- Pan Fernwright oczywiście żartował - nerwowo wtrącił Harper Baldwin - na temat zadośćuczynienia hotelowi.

- Żartował? - oburzył się Joe. - Na temat zarwania dziesięciu pięter w dwunastopiętrowym budynku?

Skąd wiemy, czy nie zginęli jacyś ludzie? Może być stu zabitych i dwa razy tylu rannych.

- Och, nie - zapewnił Glimmung. - Nikogo nie zabiłem. Ale pańskie zarzuty są słuszne, panie Fernwright.

Joe czuł w swym mózgu niepokojącą obecność Glim-munga. Tamten podróżował w tę i z powrotem po zakątkach jego umysłu. Czego mógł szukać, zastanawiał się Joe. I natychmiast w jego umyśle pojawiła się odpowiedź:

- Interesuje mnie pańska reakcja na Księgę Ka-lendów - powiedział Glimmung. Potem zaś przemówił do wszystkich: - Z ogółu zebranych tylko panna Yojez wiedziała o Księdze. Resztę z was będę musiał zbadać. To zajmie chwilkę.

Glimmung opuścił umysł Joego. Zabrał się za pozostałych.

Odróciwszy się, Mali powiedziała:

- Zamierzam zadać mu pytanie.

Teraz i ona wzięła głęboki, uspokajający oddech.

- Glimmung - powiedziała ostro - powiedz mi tylko jedno. Czy masz wkrótce umrzeć?

Wielka bryła drgnęła, a macki poruszyły się nerwowo:

- Czy tak jest zapisane w Księdze Kalendów? - zapytał Glimmung. - Nie. A byłoby, gdybym miał umrzeć.

- A zatem Księga jest nieomylna - stwierdziła Mali.

- Nie masz powodu, by sądzić, że jestem bliski śmierci - dodał Glimmung.

- Żadnego - powiedziała Mali. - Zadałam to pytanie, by się w czymś utwierdzić. Teraz już wiem.

- Gdy jestem załamany - ciągnął Glimmung - zaczynam rozmyślać o Księdze Kalendów i wydaje mi się, iż ich przewidywania co do porażki Podniesienia są słuszne. A zatem wyglądałoby na to, że niczego nie mogę dokonać. Katedra pozostanie wiecznie na dnie Marę Nostrum.

- Ale dzieje się tak tylko, gdy nie masz energii - zauważył Joe.

- Każda istota żyjąca - mówił Glimmung - przechodzi okresy ekspansji i okresy regresji. Mój rytm życia jest podobny do waszych. Jestem okazalszy, starszy, mogę robić rzeczy, których nawet wspólnie nie byłibyście w stanie dokonać. Ale są momenty, gdy słońce zachodzi; jak zapadanie zmroku przed nocą. Pojawiają się małe światełka, lecz są one daleko ode mnie. Tam, gdzie mam swe leże, brak jakiegokolwiek światła. Mógłbym oczywiście stworzyć wokół siebie życie, światło, aktywność, ale byłyby one jedynie przedłużeniem mnie samego. Rzecz jasna to wszystko zmieniło się wraz z waszym przybyciem. Grupa znajdująca się tu dzisiaj jest grupą docelową: panna Mali Yojez, pan Fernwright i pan Baldwin oraz przybyli z nimi są ostatnimi, na których czekałem.

Zastanawiam się, pomyślał Joe, czy kiedyś opuścimy tę planetę. Pomyślał o Ziemi i swoim życiu, pomyślał o Grze i o swoim pokoju z martwym, czarnym oknem, pomyślał o zabawnych rządowych pieniądzach, które dostawał pocztową tubą. Pomyślał o Kate. Już do niej nie będę dzwonił, przyszło

mu do głowy. Z jakiegoś powodu jestem tego pewien. Prawdopodobnie ze względu na Mali. Albo raczej ze względu na całą tę sytuację... Glimmung a i Podniesienie.

A przebijający podłogę Glimmung, lecący przez wszystkie piętra i lądujący w piwnicy? Zdał sobie sprawę, że to coś znaczy. I jeszcze coś zrozumiał. Glimmung znał swoją wagę. Jak powiedziała Mali, nie utrzymałaby go żadna podłoga. Glimmung zrobił to celowo.

Chciał byśmy się go nie bali, pomyślał Joe. A może, gdy w końcu zobaczyliśmy jaki jest naprawdę, powinniśmy się go bać. Bardziej niż przedtem. Niż przed całym tym zajściem.

- Bać się mnie? - nadpłynęła myśl Glimmunga.

- Bać się całego tego Przedsięwzięcia - powiedział Joe. - Ono daje niewielką szansę sukcesu.

- Ma pan rację - oznajmił Glimmung. - Rozmawiamy tu o szansach, o możliwościach. Możliwościach statystycznych. Może się uda, może nie. Nie mam pewności, co przyniesie przyszłość, ani ja, ani ktokolwiek inny, łącznie z Kalendami. Oto podstawa mojego stanowiska. Mój punkt wyjścia.

- Ale próbować bez skutku... - zaczął Joe.

- Czy to takie straszne? - przerwał mu Glimmung. - A teraz opowiem wam trochę o was samych, o waszych atutach, o wspólnej sile. Porażki spotykały was tak często, że zaczęliście się ich obawiać.

Tak też myślałem, no i tak też jest, pomyślał Joe.

- Oto co próbuję zrobić - mówił Glimmung. - Próbuję dociec, jaką posiadam moc. Nie istnieje żaden abstrakcyjny sposób zmierzenia czyjejś mocy. Można tego dokonać jedynie poprzez próbę realizacji jakiegoś zadania; w ten sposób wykazać prawdziwe ograniczenia swej pozornie nieograniczonej potęgi. Porażka da mi tyle samo wiedzy, co sukces. Czy rozumiecie to? Nie, chyba nie jesteście w stanie zrozumieć. Jesteście sparaliżowani. Ale właśnie dlatego was tu przywiodłem. Wiedza o samym sobie, oto co nas wszystkich czeka. Mnie i każdego z was osobno.

- Załóżmy, że się nie uda? - zapytała Mali.

- I tak zdobędziemy tę wiedzę - powiedział Glimmung zmieszany, jakby czuł dzielący ich dystans. -

Czyżbyście naprawdę tego nie rozumieli? - zwrócił się do wszystkich. - Ale rozumiecie nim to się skończy. Oczywiście jedynie ci, którzy będą chcieli przez to przejść.

- Czy nadal mamy możliwość wyboru? - wycedził jakiś grzybac.

- Każdy, kto chce powrócić do swego świata, może to zrobić - odparł Glimmung. - Zapewniam powrót pierwszą klasą. Ale ci, którzy zawrócą, znajdą się w takiej sytuacji, jaką pozostawili. A przecież nie możecie tak żyć. Gdy was odnalazłem, każde z was dokonywało raptownej lub powolnej autodestrukcji. Pamiętajcie. To już macie za sobą. Nie doprowadźcie do tego, byście musieli jeszcze raz przechodzić przez to samo.

Zapadła niewygodna cisza.

- Ja wracam - oznajmił Harper Baldwin. Kilku innych zbliżyło się do niego, zaznaczając w ten sposób, że też chce powrócić.

- A co z tobą? - zapytała Joego Mali.

- Za mną pozostała na Ziemi tylko policja - odpowiedział Joe. I śmierć, pomyślał. Podobnie jak w przypadku pozostałych. - Nie wracam - oznajmił. - Zamierzam spróbować. Chcę zobaczyć, czy jemu... czy nam się uda. Może Glimmung ma rację; może nawet porażka ma swoją wartość. Tak jak usłyszeliśmy; pokazuje nam ona granice własnych możliwości, wytycza nasze pole działania.

- Jeśli poczęstujesz mnie papierosem z tabaki - drżącym głosem przemówiła Mali - to też zostanę. Ale umieram z chęci palenia.

- To niewarte umierania - skwitował Joe. - Umrzycmy raczej, stawiając czoło Przedsięwzięciu. Nawet gdybyśmy mieli w jego trakcie spaść dziesięć pięter niżej.

- Reszta zostaje - stwierdził Glimmung.

- Zgadza się - zapiszczał jakiś jednokomórkowy cefalopoid.

- Myślę, że ja też zostanę - zachnął się Harper Baldwin.

Usatysfakcjonowany Glimmung oznajmił:

- No to zaczynamy.

Na podjeździe przed hotelem „Olimpia” stały zaparkowane ciężarówki. Każda miała kierowcę, a każdy kierowca wiedział, co ma robić.

Jakiś stwór o długim, szczurowatym ogonie podszedł do Mali i Joego, trzymając w owłosionych łapach tabliczkę.

- Wy dwoje macie jechać ze mną - oznajmił i wybrał jeszcze jedenaście osób z grupy.

- To wery - powiedziała Joemu Mali. - Nasz kierowca. Oni mogą rozwijać olbrzymie prędkości; mają znakomity refleks. Będziemy na miejscu w parę minuty.

- W parę minut - poprawił ją mechanicznie Joe, siadając na ławie z tyłu ciężarówki.

Inne formy życia ścisnęły się przy Mali i Joem, a kierowca hałaśliwie uruchomił silnik.

- Co to za turbina? - zapytał zdumiony hałasem Joe.

Siedzący obok niego grzeczny dwukomorowiec mruknął:

- To czterosuw. Cały czas bum, bum, bum.

- Górnoszaworowy - powiedział Joe i natychmiast zrobiło mu się weselej.
Tak, pomyślał, przekroczyliśmy pewną granicę. Znów jesteśmy w czasach Abrahama Lincolna, Daniela Boone'a i im współczesnych pionierów zachodu.
Ciężarówka odjeżdżała jedna za drugą, rozpraszając mrok żółtymi reflektorami, które z dala wyglądały jak oczy gigantycznych ciem.

- Glimmung będzie na czas - powiedziała Mali. - Gdy tylko tam dotrzemy. - Miała zmęczony głos. - On posiada możliwość natychmiastowego przemieszczania się dzięki autonomicznym pulsacjom emanującym z jego układu neonowego. Swobodnie może zmieniać miejsce pobytu bez straty czasu. - Przetarła oczy i westchnęła.

Pomocny dwukomorowiec przemówił powtórnie:

- To stworzenie obok pana, panie Fernwright, jest bardzo rozumne. - Wyciągnął pseudopodium dla Mali. - Panno Yojez, jestem Nurb K'ohl Dag z Syriusza Trzy. Wszyscy tutaj niecierpliwie oczekiwaliśmy przybycia waszej grupy, ponieważ wiedzieliśmy, że gdy dotrzecie do hotelu „Olimpia”, zakończy się nasze długotrwałe oczekiwanie na pracę. I na to wygląda. Dodatkowo cieszę się z możliwości poznania was i z tego, że mogliście mnie poznać, bo ze swej strony będę wyszukiwał i lokalizował porośnięte koralami obiekty, które potem wydobędę z Marę Nostrum i dostarczę wam.

- Jestem inżynierem odpowiedzialnym za małe artefakty i ich transport do waszego warsztatu na prośbę pana Nurb K'ohl Daga - oznajmiła karykatura pajęczaka w połyskującym czernią pancerzu z chityny.

- Nie robiliście żadnych prac przygotowawczych? - zapytała Mali. - Przez cały okres oczekiwania?

- Glimmung trzymał nas w pokojach - wyjaśnił dwukomorowiec. - Robiliśmy dwie rzeczy. Po pierwsze, czytaliśmy wszelkie dokumenty dotyczące historii Heldscalli. Po drugie, oglądaliśmy na monitorach obraz zatopionej budowli przekazywany z robotów skanujących. Niezliczoną ilość razy oglądaliśmy Heldscallę. A teraz będziemy mogli jej dotknąć.

- Chciałabym się przespać - powiedziała Mali. Oparła głowę na ramieniu Joego i przytuliła się do niego. - Obudź mnie, kiedy tam dotrzemy.

Pajęczak zwrócił się do Joego i dwukomorowca:

- Całe to Przedsięwzięcie... przypomina mi pewną sagę z Ziemi; o której musiałem się uczyć w szkole. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

- On ma na myśli historię Fausta - wyjaśnił Joemu dwukomorowiec. - Fausta uparcie dążącego do celu, zawsze niezadowolonego z osiągniętego wyniku. Glimmung pod pewnymi względami przypomina Fausta.

Poruszając nerwowo czułkami, pajęczak powiedział:

- Glimmung w każdym calu przypomina Fausta. „Fausta” Goethego, który najbardziej mi odpowiada. O zgrozo, pomyślał Joe. Jakiś chitynowy, wielonogi pajęczak i wielki dwukomorowiec spierają się o „Fausta” Goethego. Nigdy nie czytałem tej książki, a pochodzi z mojej planety, jest wytworem ludzkości, pomyślał ze wstydem.

- Pewne nieporozumienia - ciągnął pajęczak - wynikają z przekładu. Język oryginału jest już dawno martwym językiem.

- Niemiecki - wtrącił Joe. Przynajmniej tyle wiedział.

- Poczyłem pewne... - zamruczał pajęczak i sięgnął do plastikowej torby przewieszanej przez ramię; cztery odnoża pracowicie przeszukiwały jej zawartość. - Cholera - zaklął. - To, co potrzebne, jest zawsze na samym dnie. O, mam. - Wyciągnął pozgi-nany kawałek papieru, który zaczął cierpliwie rozwijać.

- Dokonałem własnego tłumaczenia na współczesny język, nazywany angielskim. Przeczytam panu główną scenę z części drugiej, dotyczącą chwili, w której Faust przerywa rozmyślenia nad tym, co zrobił i jest zadowolony. Czy mógłbym... czy jak to się mówi. Mogę, panie Fernwright?

- Jasne - powiedział Joe. Ciężarówka toczyła się dalej po wyboistej drodze, trzęsąc wszystkimi pasażerami. Mali wyglądała na mocno uśpioną. Nie myliła się co do zdolności wereja za kierownicą; pojazd pędził po nierównościach z zadziwiającą szybkością.

- Bagno otacza góry - odczytał pajęczak z rozłożonej płachty - zatruwając wszystko, co już stworzono. Odwodnić paskudne trzęsawisko; oto, co trzeba uczynić. To największe stojące przede mną zadanie. Stworzę przestrzeń dla wielu milionów, może niepewna, ale wolną do zasiedlenia. Zielona jest łąka i żyzna; ludzie i stada na prawie już większości nowej ziemi, na terenach zdobytych wysiłkiem najmożliwszych. To rajska kraina opierająca się powodzi, rozszerzająca się, zaborcza. Grupowa wola spieszy na ratunek. Tak i to... Dwukomorowiec przerwał recytację pajęczaka:

- Twoje tłumaczenie nie jest idiomatyczne. „Ludzie i stada na prawie już większości nowej ziemi”. To zdanie jest gramatycznie poprawne, ale żaden Ziemianin tak nie rozmawia. - Pomachał do Joego, szukając jego wsparcia. - Czyż nie tak, panie Fernwright?

Joe pomyślał. „Ludzie i stada na prawie już większości nowej ziemi”. Dwukomorowiec miał oczywiście rację, ale...

- To zdanie mi się podoba - oznajmił. Zadowolony pajęczak nieomal się udławił:
- I widzi pan, jak bardzo to przypomina nas i Glim-munga; całe to Przedsięwzięcie. To rajska kraina opierająca się powodzi. Powódź jest symbolem niszczycielskiej siły, pochłaniającej wszystko, co stworzą żywe istoty. Woda, która zalała Heldscalle; to powódź sprzed tysięcy lat, ale teraz Glimmung zamierza stawić jej czoło. Grupowa wola, co spieszy na ratunek, to my. Może Goethe był jasnowidzem, może przewidział Podniesienie Heldscalli.

Ciężarówka zwolniła.

- Jesteśmy na miejscu - poinformował werek. Nacisnął na hamulec i pojazd nieomal stanął dęba, a razem z nim pasażerowie. Mali otrząsnęła się i otworzyła oczy. Rozejrzała się na wszystkie strony w panice, nie mogąc zlokalizować, gdzie jest.

- Jesteśmy na miejscu - powtórzył Joe i przytulił ją do siebie. Oto początek, pomyślał. Na dobre i złe. Na dołą i niedołą. Aż do śmierci, która nas rozłączy. Dziwne, że przyszła mu do głowy akurat przysięga małżeńska. A jednak wydawała się tu pasować. Śmierć też, w jakiejś niewyczuwalnej formie, była blisko.

Podniósł się sztywno, pomógł Mali i razem z innymi zaczęli wysiadać z ciężarówki. Powietrze przesiąknięte było zapachem morza. Wziął głęboki wdech. To rzeczywiście już blisko, pomyślał. Morze. Katedra. I usiłujący je rozdzielić Glimmung. Tak jak niegdyś Bóg, pomyślał. Rozdzielający jasność od ciemności, czy jak tam było. I wodę od ładu.

- Bóg w Genesis też był bardzo faustowski - powiedział do pajęczaka. Mali ziewnęła.

- Dobry Boże; teologia w środku nocy. - Drżała i rozglądała się wokół w wilgotnym nocnym powietrzu. - Nic nie widzę. Jesteśmy w samym środku niczego.

Na nocnym niebie Joe dostrzegł zarys jakiejś kopuły. Oto ona, powiedział do siebie.

Przyjechały kolejne ciężarówki. Ze wszystkich wychodziły istoty różnych gatunków. Niektóre pomagały innym; czerwona galaretką, na przykład, miała kłopoty z zejściem, póki nie pomógł jej stwór przypominający groźną, przerośniętą kulę bilardową.

Nad nimi pojawił się wielki, oświetlony poduszkowiec, który powoli opadał pośrodku grupy.

- Witam - rozległ się głos. - Jestem waszym środkiem transportu do pracy. Wsiadajcie na mnie ostrożnie, a was tam zabiorę, jeśli łaska. Witam, witam.

I ja cię witam, pomyślał Joe i wraz z innymi wsiadł na pokład.

We wnętrzu kopuły geodezyjnej przywitało ich stadko robotów. Joe nie mógł uwierzyć. Androidy!

- Tutaj są legalne - powiedziała Mali. - Wreszcie zdaj sobie sprawę, że nie jesteś na Ziemi.

- Ale Edgar Mahan udowodnił, iż syntetyczne formy życia nie mogą istnieć - dziwił się Joe. - Życie musi brać się z życia, a zatem przy kontroli samopro-gramujących mechanizmów...

- Właśnie patrzysz na około dwadzieścia z nich - powiedziała Mali.

- Dlaczego wmawiano nam, że nie można ich stworzyć? - zapytał Joe.

- Ponieważ na Ziemi jest już i tak dość bezrobotnych. Rząd zafalszował dowody i dokumenty naukowe, by stwierdzić, że robotów zrobić się nie da. Poza tym trudno je zbudować i są drogie. Dziwi mnie widok aż tylu. Jestem pewna, że to wszystkie, jakie ma. To jest - poszukała słowa - prezentacja dla nas. Pokazówka. By zrobić wrażenie.

Jeden z robotów, widząc Joego, ruszył ku niemu.

- Pan Fernwright?

- Tak - odparł Joe. Rozejrzał się po korytarzach, drzwiach i górnym oświetleniu. Wszystko było solidnie wykonane, praktycznie i niezawodnie. Bez żadnych defektów. Było oczywiste, że pojazd dopiero wybudowano i jeszcze nigdy z niego nie korzystano.

- Jestem zadziwiająco szczęśliwy, że pana widzę - powiedział robot. - Na mojej klatce piersiowej ujrzy pan zapewne plakietkę ze słowem Willis. Zaprogramowano mnie do reagowania na instrukcje rozpoczynające się tym słowem. Na przykład, gdy zechce pan zobaczyć swój warsztat pracy, wystarczy powiedzieć: „Willis, zabierz mnie do warsztatu pracy”, a z przyjemnością pana tam powiodę. Z moją i miejmy nadzieję, pańską przyjemnością.

- Willis - zapytał Joe - czy są tu dla nas jakieś kwatery? Czy jest na przykład pokój dla pani Yo-jez? Ona jest zmęczona; powinna się wyspać.

- Dla pana i panny Yojez przygotowano trzypokojowy apartament - oznajmił Willis. - To wasza prywatna kwatery.

- Co? - zapytał Joe.

- Trzypokojowy apartament.

- To znaczy prawdziwy apartament? Nie zwykły pokój?

- Trzypokojowy apartament - powtórzył z cierpliwością robot Willis.

- Zabierz nas tam - nakazał Joe.

- Nie - powiedział Willis. - Musi pan powiedzieć: „Willis, zabierz nas tam”.

- Willis, zabierz nas tam.

- Tak, panie Fernwright. - Robot poprowadził ich holem ku windom.

Po przyjrzeniu się apartamentowi, Joe położył Mali do łóżka. Zasnęła jak dziecko. W ich apartamencie nawet łóżko było wielkie. Wyposażył go ktoś z dobrym gustem, a meble wyglądały na solidną robotę. Ledwie mógł w to uwierzyć. Rzucił okiem na kuchnię, na pokój dzienny...

I właśnie tam, na stoliku do kawy, natknął się na dzbanek z Heldscalli. Wiedział o tym, gdy tylko go zobaczył. Usiadłszy na sofie, uważnie sięgnął po znalezione cacko.

Miało głęboki, żółty odcień. Nigdy przedtem nie widział tak głębokiej żółci; górowała nad żółcią płytek z Delft, a nawet nad żółcią Royal Albert. To skierowało jego myśli na słynną chińską porcelanę. Czy są tu złoża takiej skały osadowej, zapytał sam siebie. A jeśli tak, to jaki procent materiału stanowi kaolinit? Sześćdziesiąt? Czterdzieści? I czy ich złoża skaleni są tak dobre jak złoża na Morawach?

- Willis? - odezwał się Joe.

- Tak wasza miłość.

- Tak wasza miłość? - zapytał ze zdziwieniem Joe. - Czemu nie „tak, proszę pana”?

- Właśnie studiuję historię Ziemi, wasza miłość - powiedział robot.

- Czy na planecie Płowmana istnieją złoża skaleni?

- Cóż, mości Fernwright. Nie wiem. Zdaje mi się, iż możesz pan zapytać centralne liczydło...

- Nakazuję ci mówić poprawnie - powiedział Joe.

- Pierwej powiedzcie Willis, panie. Skoro pragniecie, bym...

- Willis, mów poprawnie.

- Tak, panie Fernwright.

- Willis, czy możesz zabrać mnie do miejsca pracy?

- Tak, panie Fernwright.

- Okay - powiedział Joe. - Zabierz mnie tam.

Robot otworzył ciężkie stalowo-azbestowe drzwi i stanął obok nich, pozwalając Joemu wejść do wielkiego, ciemnego pomieszczenia. Światła na suficie zapaliły się automatycznie po przekroczeniu progu.

W odległym kącie Joe dojrzał stół do pracy z pełnym wyposażeniem. Trzy zestawy naprawcze. Bezodblisko-we oświetlenie sterowane z pedałowej konsoli. Samonastawne szkła powiększające, o przekrojach większych niż piętnaście cali. Igły we wszystkich możliwych rozmiarach. Po lewej stronie dostrzegł kartony zabezpieczające, takie, o których jedynie czytał, ale nigdy nie widział na własne oczy. Podszedł, podniósł jeden i upuścił go eksperymentalnie. Potem patrzył, jak karton powoli opada, by wreszcie łagodnie osiąść na ziemi.

Były tam też zamknięte pojemniki z glazurą. Nie brakowało żadnej barwy ani odcienia. Stały w czterech rzędach na półkach. Z ich pomocą mógł dobrać kolor dla każdego kawałka porcelany, jaki pojawi się na jego ławie. I coś jeszcze. Podszedł bliżej i przyjrzał się z podziwem. Antygravitator, urządzenie niwelujące na niewielkiej platformie planetarne ciężenie, niezbędny każdego konserwatora porcelany. Nie będzie musiał podpierać skorup przy klejeniu, po prostu pozostaną w tych miejscach, gdzie je zawiesi. Z pomocą takich środków mógł pracować czterokrotnie wydajniej niż kiedyś, w czasach swej największej prosperity. I wszystkie fragmenty znajdują się dokładnie na swoich miejscach. Nic się nie zsunie, nie przemieści ani nie odpadnie w trakcie naprawy.

Zauważył również duplikator, potrzebny w razie gdyby nie dysponował wszystkimi kawałkami. Mógł więc także reperować niekompletne szczątki. Ten aspekt sztuki naprawy porcelany nie był znany odbiorcom, ale istniał.

Nigdy w życiu Joe nie posiadał tak znakomicie wyposażonego warsztatu.

Zgromadzono już w nim pewną liczbę potłuczonych wyrobów, zabezpieczonych odpowiednio w pudłach. W zasadzie mogę już zaczynać, pomyślał Joe. Nacisnę jedynie pół tuzina guziczków i zaczynam robotę. Podszedł do ułożonych rzędem igłowych topników, wziął jeden i zważył w dłoni. Doskonale wyważony, uznał. Produkt najlepszej klasy. Otworzył jeden z kartonów i przyjrzał się szczątkom. Natychmiast wzbudziły jego zainteresowanie. Odłożył igłę i wyciągnął je, przypatrując się każdemu z podziwem. Wyglądało to na pękata, niską wazę. Może trochę zabawną. Odłożył skorupy do kartonu i odwrócił się, chcąc przenieść je w pole antygravitatora. Pragnął już zacząć pracę. To było całe jego życie. Nigdy nie spodziewałem się, pomyślał, że będę mógł używać...

Zamarł. Poczul, jakby coś chwyciło go za samo serce. I mocno ścisnęło.

Na wprost niego stała jakaś czarna postać, wyglądająca jak zaprzeczenie wszelkiego życia. Przyglądała mu się zapewne już od dłuższego czasu, lecz teraz, gdy na nią spojrział, powinna była zniknąć. Ale pozostała. Poczekał jeszcze chwilkę. Bez zmian.

_ Co to... to jest? - zapytał robota, który nadal tkwił w drzwiach.

- Musi pan najpierw powiedzieć Willis - przypomniał robot. - Musi pan powiedzieć: „Willis, co...”

- Willis - powiedział - co to jest?

- Kalend - odparł robot.

Rozdział dziesiąty

To coś wygląda, jakby ledwie ocierało się o życie, o naszą rzeczywistość, pomyślał Joe. On tkwi w wielu rzeczywi-ściach naraz. My wszyscy stanowimy żywą masę, która nieustannie przepływa przez ich ręce. Płyniemy, niesieni dziwnym prądem, aż do zimnej otchłani grobów. Do Willisa zaś powiedział:

- Czy możesz skontaktować się z Glimmungiem?

- Musi pan powie...

- Willis - powiedział Joe - czy możesz skontaktować się z Glimmungiem ?

Po drugiej stronie ławy stał niemy Kalend. Nie był tak cichy jak sowa, która absorbuje wszelkie szmery puchem swych skrzydeł; był mechanicznie cichy, jakby wyłączono mu głos. Czy on tu jest naprawdę, zastanawiał się Joe. Kalend wyglądał na istotę materialną, nie miał w sobie nic z ducha. Naprawdę tu jest, odpowiedział sobie Joe. Naszedł mnie w miejscu pracy, nim zdołałem umieścić pierwszą skorupę w przestrzeni antygravitatora. Zanim włączyłem gorącą igłę topnika.

- Nie mogę skontaktować się z Glimmungiem - stwierdził Willis. - On teraz śpi: właśnie ma czas drzemki. Obudzi się za dwanaście godzin, a wtedy się z nim skontaktuję. Ale zostawił w gotowości wiele serwomechanizmów, w razie gdyby były potrzebne. Czy chce pan, bym uruchomił któryś z nich?

- Powiedz mi, co mam robić, Willis, powiedz, co mam do cholery zrobić?

- Z Kalendem? Nigdzie nic się nie mówi na temat robienia czegokolwiek z Kalendami. Czy chce pan, abym zasięgnął dokładniejszych informacji? Istnieje pewien komputer, do którego mógłbym się podłączyć, może dokona analizy możliwości pańskiego zachowania w relacjach z Kalendem i sformułuje pewne interakcje...

- Czy oni są śmiertelni? - zapytał Joe. Robot trwał w ciszy.

- Willis, czy można ich zabić?

- Trudno powiedzieć - oznajmił robot. - To nie są zwykłe istoty. A przy tym wszystkie wyglądają jednakowo, co utrudnia orzekanie w tej kwestii.

Kalend położył kopię Księgi na stole obok Joego Fernwrighta i czekał, aż ten ją weźmie.

Joe w ciszy sięgnął po Księgę, potrzymał ją chwilę, a potem odczytał z zaznaczonej strony:

To, co Joe Fernwright znajduje w zatopionej katedrze, sprawia, że zabija Glimmunga i na zawsze powstrzymuje wydobywanie Heldscalli.

To, co znajduje w katedrze, powtórzył sobie Joe. Tam, pod wodą. Pod powierzchnią morza. Coś, co na mnie czeka...

No to powinienem zejść pod wodę najszybciej jak to możliwe, pomyślał. Czy Glimmung mi pozwoli, zastanawiał się. Zwłaszcza po przeczytaniu tego, a pewnie właśnie w tej chwili też to czyta. Z pewnością na bieżąco śledzi wszelkie zmiany tekstu... Dzień za dniem. Z godziny na godzinę. Jeśli jest sprytny, to prędzej sam mnie zabije, pomyślał Joe. Zanim zejść pod wodę, może nawet już za chwilę. Stał i czekał na cios ze strony Glimmunga.

Cios nie nadszedł. Zgadza się, przypomniał sobie. Glimmung śpi.

A z drugiej strony, może nie powinienem schodzić pod wodę, rozważał. Co doradziłby Glimmung?

Może to powinno zdecydować; jeśli Glimmung zechce, by zszedł pod wodę, to zejść, jeśli nie zechce, to nie. Dziwne, że mą pierwszą reakcją było pragnienie zejścia pod wodę, pomyślał. Jakbym nie mógł doczekać się odkrycia, które zniszczy Glimmunga i zablokuje Podniesienie. Perwersyjna reakcja. Względ we własną podświadomość. Może w ten sposób dowiedziałem się czegoś więcej o sobie?

Czegoś, co odsłonili Kalendowie i ich Księga? Kalendo-wie wmawiają mi to wszystko, uznał. Oto ich zasada działania. Oto jak ich przepowiednie się spełniają.

- Willis - zapytał - jak dostać się do Held-scalli?

- Z kombinezonem i maską albo przez komorę ciśnieniową - odparł robot.

- Czy możesz mnie tam zabrać? - zapytał Joe. - Znaczy, Willis...

- Chwileczkę - przerwał robot. - Jest do pana jakiś oficjalny telefon. - Przez chwilę milczał, a potem dodał: - Od pani Hildy Reiss, osobistej sekretarki Glimmunga. Ona chce z panem rozmawiać. - W tułowi roboty rozwarły się drzwiczki i wyjechał z nich telefon. - Proszę podnieść słuchawkę - powiedział Willis.

Joe podniósł słuchawkę.

- Pan Fernwright? - odezwał się pytająco spokojny i kompetentny żeński głos. - Mam do pana pilną prośbę od pana Glimmunga, który obecnie śpi. Wolałby jednak, aby pan nie schodził teraz do Katedry. Chce, aby pan poczekał, aż ktoś będzie mógł panu towarzyszyć.

- Mówi pani, że to prośba... - powiedział Joe - ...czy też mam rozumieć, iż chodzi o rozkaz... Czy Glimmung zakazuje mi schodzić pod wodę?

- Wszystkie instrukcje pana Glimmunga - powiedziała panna Reiss - przekazywane są w formie próśb. On nie rozkazuje, on jedynie prosi.

- A więc jest to rozkaz - stwierdził Joe.

- Sądzę, że pan zrozumiał, panie Fernwright - podsumowała panna Reiss. - Jutro skontaktuje się z panem Glimmung. Do widzenia.
Telefon zamilkł.

- A więc to rozkaz - powiedział Joe.

- Zgadza się - przytaknął Willis. - W ten sposób Glimmung załatwia wszystkie swoje sprawy, jak zauważyła mądrze sekretarka.

- Ale gdybym spróbował zejść pod wodę...

- Nie może pan - tępo stwierdził robot.

- Mogę - rzekł Joe. - Mogę to zrobić i zostanę wylany.

- Może pan to zrobić - poprawił go robot - i zostanie pan zabity.

- Zabity, Willis? Jak i przez kogo? - Czuł się przerażony i zły. Ta mieszanka emocji rozstrajała mu nerwy. Przyspieszyła bicie serca, perystaltykę i oddech. - Przez kogo? - powtórzył.

- Najpierw musi pan powiedzieć, a zresztą, do cholery z tym... - powiedział robot. - Jest wiele groźnych form życia. Wiele niebezpieczeństw.

- Ale to normalne przy tego typu zadaniach - upierał się Joe.

- Przypuszczałem, że pan to powie. Ale zadanie tego typu...

- Schodzę pod wodę - oznajmił Joe.

- Znajdzie pan tam okropny stan rozkładu. Taki, jakiego nie potrafi pan sobie nawet wyobrazić. Podwodny Świat, w jakim spoczywa Heldscalla, to cementarysko, gdzie wszystko gnije i popada w ruinę. Dlatego właśnie Glimmung chce wydobyć katedrę. Nie jest w stanie znieść jej tam w dół; i pan też tego nie znieś. Proszę poczekać aż będziecie mogli zejść tam razem. Tylko parę dni, a tymczasem niech pan klei porcelanę i najlepiej niech pan o wszystkim zapomni. Glimmung nazywa to miejsce Podwodnym Światem. I ma rację. Ten świat rządzi się własnymi prawami, zupełnie odmiennymi od naszych; prawami, zgodnie z którymi wszystko musi ulec rozpadowi. To świat rządzony absolutną entropią i niczym więcej. Świat, w którym nawet osobniki tak silne jak Glimmung w końcu tracą całą swą moc. To oceaniczny grób i wchłonie nas wszystkich, jeśli nie podźwigniemy katedry.

- Nie może być aż tak źle - stwierdził Joe, ale gdy to mówił, przeszedł go zimny strach. Robot popatrzył na niego enigmatycznie.

- Zważywszy, że jesteś robotem - powiedział Joe - nie powinieneś być w to emocjonalnie zaangażowany. Nie ma w tobie życia.

- Żadna struktura - odparł robot - nawet sztuczna, nie lubi procesu entropii. To koniec wszystkiego i dlatego wszystko się mu opiera.

- A Glimmung chce zatrzymać ten proces? - zapytał Joe. - Skoro to nieuchronny koniec, to mu się nie uda; jest skazany na porażkę. Nic nie zdoła zrobić i proces będzie trwał dalej.

- Tam pod wodą - dodał Willis - proces rozkładu to jedyna zachodząca reakcja. Ale tu, po wzniesieniu katedry, będą działać inne siły, nie mające tego samego kierunku. Siły naprawy i odrodzenia. Budowania, tworzenia i kreowania form, a nawet, jak w pańskim przypadku, restaurowania. Dlatego jest pan tak potrzebny. To pan i panu podobni powstrzymacie procesy rozpadu swoimi zdolnościami kreatywnymi. Czy pan rozumie?

- Chcę zejść tam na dół - upierał się Joe.

- Jak pan uważa. Może pan założyć aparat do nurkowania i samotnie zejść nocą w głąb Marę Nostrum. Zanurzyć się w świecie rozkładu i ujrzeć go na własne oczy. Zabiorę pana na jedną z platform na Marę Nostrum; może pan z niej zejść, ale beze mnie.

- Dzięki - powiedział Joe. Chciał, aby zabrzmiało to ironicznie, ale wypadło słabo i robot niczego nie zauważył.

Platforma posiadała trzy hermetycznie zamykane kapsuły. Każda z nich była wystarczająco duża, by pomieścić różne formy życia wraz ze sprzętem. Joe z podziwem przyglądał się mistrzowsko wykonanej konstrukcji, liczył, że została stworzona przez roboty. Kapsuły wyglądały jak nowe i pewnie takie były. Instalacje wybudowano dla niego i pozostałych specjalistów, a teraz czekały na użycie. Na tej planecie przestrzeń nie wydawała się w cenie tak jak na Ziemi. Kapsuły były wielkie... takimi pewnie chciał je widzieć Glimmung.

- Nadal nie chcesz zejść tam ze mną? - zapytał robota.

- Nigdy.

- Pokaż mi sprzęt do nurkowania - poprosił Joe. - I objaśnij, jak go używać. Przekaż mi wszystko, co powinienem wiedzieć.

- Pokażę panu minimalny... - zaczął robot, ale zaraz przerwał. Na największej platformie lądował statek. Willis przyjrzał mu się uważnie.

- Za mały, jak na Glimmunga - zamruczał. - To musi być jakaś mniejsza forma życia.

Statek wylądował i znieruchomiał. Potem otworzył się właz. Teraz było widać, że to taksówka. Wyszła z niej Mali Yojez.

Zjechała w dół windą i podeszła wprost do Joego i robota Willisa.

- Glimmung odbył ze mną rozmowę - oznajmiła. - Powiedział mi, co tu robicie. Chciał, abym udała się z tobą, Joe. Wątpił, czy zdołasz znieść to sam, to znaczy, czy uda ci się psychicznie wytrzymać to, co tam zastaniesz.

- A tobie się uda? - zapytał Joe.

- On sądzi, że oboje będziemy się mogli wzajemnie wspierać i że mamy szansę na sukces. Poza tym, mam w tej dziedzinie większe doświadczenie. O wiele większe.

- Droga pani - odezwał się Willis - czy Glimmung chciał, abym i ja poszedł z wami?

- O tobie nie wspominał - powiedziała Mali.

- To dobrze - ucieszył się robot. - Bardzo mi się tam nie podoba.

- Wkrótce się to zmieni - zapewniła go Mali. - Nie będzie już żadnego „tam”. Będzie tylko tutejszy świat, w którym rządzą inne prawa.

- To się jeszcze okaże - powiedział sceptycznie robot.

- Pomóż nam zejść - poprosił Joe.

- Ten Podwodny Świat to miejsce, o którym zapomniała Amalita - oznajmił robot.

- Kto to jest Amalita? - zapytał Joe.

- Bogini, dla której wzniesiono katedrę. Gdy odbudujemy Heldscallę, Glimmung będzie mógł wezwać Ama-litę, jak w czasach przed katastrofą. Amalita uległa Boreli tylko na pewien czas, ale całkowicie. Przypomina mi to ziemski wiersz Bertolta Brechta „Topielica”. Zobaczmy, czy pamiętam... „I stopniowo Bóg o niej zapomniał, najpierw o rękach, potem o nogach i ciele, aż była...”

- A cóż to za bóstwa? - zapytał Joe. Do tej pory nikt o nich nie wspominał, choć obecność takowych była logiczna i oczywista. Katedra to miejsce kultu, a ktoś lub coś musi być tego kultu obiektem. - Wiesz coś więcej na ten temat? - zwrócił się do Mali.

- Mogę panu służyć pełną informacją - wtrącił się robot.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to Amalita może usiłować poprzez Glimmunga wnieść katedrę? - zapytała Mali. - Żeby znów zaczęto ją czcić na tej planecie?

- Hmm - zastanowił się mocno Willis. Joe nieomal słyszał jak obwody androida iskrzą od myślenia. W końcu Willis odezwał się: - No cóż, była mowa o dwóch bóstwach. Jednakowoż znów nie usłyszałem...

- Willis - powiedział Joe - powiedz mi o Ama-licie i Boreli. Jak długo ich czczono i na ilu planetach? A także, gdzie rozpoczął się kult?

- Mam tu broszurę - powiedział robot - która dokładnie to wszystko opisuje. - Wsunął dłoń do schowka na swej piersi i wyciągnął z niego odpowiedni zwój. - Napisałem ją w czasie wolnym - wyjaśnił. - Za pozwoleniem, skorzystam z niej teraz. W ten sposób nie będę przeciążał sobie pamięci. Na początku Amalita była sama. Działo się tak około pięćdziesięciu tysięcy ziemskich lat temu. Potem poczuła seksualne pożądanie. Ale nie mogła znaleźć dla niego obiektu. Czowała miłość, lecz nie miała kogo kochać. Czowała nienawiść, lecz nie miała kogo nienawidzić.

- Czowała apatię, lecz nie miała względem kogo być apatyczna - powiedziała Mali zimno.

- Ale zajmijmy się najpierw pożądaniem - stwierdził robot. - Jak dobrze wiadomo, najbardziej pożąda się owocu zakazanego. Im większe tabu, tym większe podniecenie. A zatem Amalita stworzyła sobie siostrę, Borel. Następnym podniecającym aspektem miłości jest kochanie kogoś z natury złego, kogo w razie braku uczucia można by się obawiać. Amalita sprawiła więc, by jej siostra była zła. Zaczęła ona natychmiast niszczyć to, co przez wieki stworzyła tamta.

- Na przykład Heldscallę - zamruczała Mali.

- Tak, moja pani - zgodził się robot. - Kolejnym potężnym stymulatorem miłości jest kochanie kogoś potężniejszego od siebie. Więc Amalita sprawiła, by jej siostra była w stanie górować nad nią. Potem próbowała się jej przeciwstawić, ale Borel była już zbyt potężna; tak jak tego chciała Amalita. I w końcu ostatnia rzecz. Obiekt miłości sprawia, że zniżamy się do jego poziomu, gdzie królują wyznaczone przezeń nieetyczne prawa. Doświadczamy tego przy wydobywaniu Held-scalli. Każde z was będzie musiało zejść do Podwodnego Świata, którym nie rządzą już prawa Amality. Nawet Glimmung w końcu zanurzy się w oceanie przesiąkniętym nieprzychylną mocą Boreli.

- Mnie Glimmung zdawał się bogiem - stwierdził Joe. - Jest taki potężny.

- Bogowie nie spadają przez dziesięć pięt do piwnicy - zauważył robot.

- Tak, to logiczne - przyznał Joe.

- Należy zastosować następujące kryteria - ciągnął robot. - Po pierwsze nieśmiertelność. Amalita i Borel ją mają, Glimmung nie. Po drugie...

- Jesteśmy ich świadomi - powiedziała Mali. - Nieskończona potęga i nieskończona wiedza.

- Czytała pani moje notatki - stwierdził robot.

- Chryste! - zdziwiła się Mali.

- Wspomniała pani o Chrystusie - ciągnął robot. - To interesujące bóstwo, ponieważ jego potęga jest ograniczona, dysponuje tylko częścią wiedzy i jest śmiertelny. Nie spełnia żadnego z kryteriów

- Jak więc pojawiło się chrześcijaństwo? - zapytał Joe.

- Pojawiło się - odparł robot - ponieważ Chrystus martwił się o innych ludzi. Martwić się, to właśnie tłumaczenie greckiego agape i łacińskiego caritas. Chrystus niczym innym nie dysponował, nikogo nie był w stanie ocalić, nawet siebie samego. A jednak jego troska o innych...

- Lepiej daj nam to swoje opracowanie - poprosiła Mali. - Przeczytamy je w wolnym czasie. A teraz schodzimy pod wodę. Przygotuj nasz sprzęt, tak jak prosił pan Fernwright.

- Istnieje podobne bóstwo - powiedział robot - na Becie dwanaście. To bóstwo nauczyło się umierać każdorazowo, gdy umiera jakakolwiek inna istota na tej planecie. Nie może umierać za nie, ale może umierać z nimi. A potem, gdy rodzi się nowa istota, ono też się odradza. Przechodzi więc przez niezliczone śmierci i narodziny. Podziwu godne, w porównaniu do Chrystusa, który umarł tylko raz. To również zawarłem w swym opracowaniu. Wszystko w nim zawarłem.

- A zatem jesteś Kalendem - stwierdził Joe. Robot spojrział na niego. Patrzył długo i uważnie i milczał.

- A twoja broszura - dokończył Joe - to Księga Kalendów.

- Niezupełnie - powiedział w końcu robot.

- Co to znaczy? - spytała Mali.

- To znaczy, że opierałem różne swoje opracowania na Księdze Kalendów.

- Dlaczego? - zapytał Joe. Robot zawahał się, a potem wyznał:

- Kiedyś mam nadzieję zostać pisarzem.

- Przygotuj nasz sprzęt - powiedziała zniecierpliwiona Mali.

Nagle Joego nawiedziła dziwna myśl. Prawdopodobnie wynikała z dyskusji o Chrystusie.

- Martwić się - powiedział na głos, powtarzając jak echo słowa robota. - Sądzę, że wiem, o co ci chodziło. Gdy byłem na Ziemi, przydarzyła mi się dziwna rzecz. Niby nic szczególnego. Wyjąłem z kredensu rzadko używaną cukierniczkę. Znalazłem w niej martwego pająka. Umarł z głodu. Niewątpliwie wpadł do cukier-niczki i nie mógł się z niej wydostać. Sedno w tym, że utkał sobie w tej pułapce pajęczynę. Na samym dnie. Najlepszą na jaką go było stać w tych okolicznościach. Gdy znalazłem go martwego i ujrzałem tę beznadziejną pajęczynę, wiedziałem, że nie miał szans. Nawet gdyby czekał wiecznie, nie złowiłby żadnej muchy. Czekał aż do śmierci. Próbował jak najlepiej, ale był w beznadziejnej sytuacji. Zawsze się zastanawiałem, czy wiedział, że ona jest beznadziejna. Czy tkając pajęczynę, zdawał sobie sprawę, że będzie bezużyteczna?

- Mała życiowa tragedia - stwierdził robot. - Codzienne zdarzają się takich miliardy. Niektóre są zauważane przez Boga, jak wykazują w swym opracowaniu.

- Ale ja zrozumiałem, o co ci chodzi - powiedział Joe. - Odnośnie do martwienia się czy raczej troski, tak to lepsze słowo. Czułem, że jestem tym zatroskany. To mnie martwiło. Caritas. Czy też po grecku, jak to było... - Nie mógł sobie przypomnieć słowa.

- Czy możemy już schodzić? - zapytała zniecierpliwiona Mali.

- Tak - odparł Joe. Pewnie nic nie rozumiała. A robot, o dziwo, zrozumiał. To dziwne, pomyślał Joe. Dlaczego on rozumiał, a ona nie? Może zawsze byliśmy w błędzie; caritas to nie uczucie, ale forma wyższej aktywności myślowej, zdolność wyczuwania otoczenia, zauważania i, jak to określił robot, martwienia się. Pojmowanie, oto z czym mamy do czynienia, zdał sobie sprawę Joe. Myślenie nie jest przeciwstawiane uczuciom; pojmowanie to pojmowanie.

- Czy mogę dostać kopię twojego opracowania? - powiedział głośno Joe.

- Dziesięć centów - oznajmił robot, podając zwój Joemu.

Joe wyjął dziesiątka i wręczył Willisowi, a do Mali powiedział:

- Teraz już możemy schodzić.

Rozdział jedenasty

Robot dotknął guzika. Rozsunęły się drzwi w ścianie i Joe dostrzegł komplety akwalungów. Maski tlenowe, płetwy, piankowe kombinezony, wodoodporne reflektory, pasy z balastem, butle z tlenem i helem, wszystko. Były też instrumenty, których przeznaczenia nie znał ani nawet się nie domyślał.

- Ze względu na państwa brak doświadczenia w nurkowaniu - powiedział robot - sugeruję skorzystanie z komory ciśnieniowej... Ale skoro chcecie... - wzruszył ramionami. - ...Decyzja należy do was.

- Mam wystarczające doświadczenie - oznajmiła Mali. Zaczęła wyciągać sprzęt ze schowka i już wkrótce urosła przed nią pokaźna sterta. - Bierz dokładnie to samo, co ja - poleciła Joemu - i zakładaj to na siebie w taki sposób i w takiej kolejności jak ja.

Założyli pianki i Willis poprowadził ich do komory.

- Kiedyś - oznajmił robot, odkręcając wielką pokrywę w podłodze komory - zamierzałem napisać broszurę na temat nurkowania w morzu. W każdej religii zakłada się, że kraina śmierci znajduje się pod ziemią. W rzeczywistości mieści się w oceanie. Ocean - wyciągnął olbrzymią śrubę - jest rzeczywistą krainą mroku, z której przed miliardami lat wyszło życie. Na waszej planecie, panie

Fernwright, w wielu religiach zawarty jest błąd, tak jak w przypadku greckiej bogini Demeter i jej córki Kory, które ponoć wyszły z ziemi.

- Do twojego pasa przymocowane jest urządzenie alarmowe na wypadek awarii systemu tlenowego - objaśniła Joemu Mali. - Gdybyś zaczął tracić powietrze, gdyby poluzowały się albo pękły przewody, albo kończył się tlen, uruchom to urządzenie przyciskiem na pasku - pokazała na swój własny pas. - Jego zadaniem jest ograniczenie procesów metabolicznych, minimalizuje też zapotrzebowanie na tlen. Tak skutecznie, że zdążysz wypłynąć na powierzchnię, nim doznasz uszkodzenia mózgu czy też innej kontuzji związanej z brakiem tlenu. Wypływając na powierzchnię, będziesz oczywiście nieprzytomny, ale maska jest tak zaprojektowana, by wpuszczać powietrze automatycznie; reaguje na warunki zewnętrzne. Potem mogę wypłynąć ja i doholować cię do platformy.

- Na mnie już pora - powiedział Joe, próbując przypomnieć sobie cytat. - „W grobowej ciszy, smutne narcyzy się kołyszają”.

- „Strzeże ich mały leśny skrzat, też pogrzebany tam od lat” - dodał android. - To mój ulubiony kawałek. Czy sądzi pan, że opuszcza się do grobu? Że czeka tam pana śmierć? Że schodzenie do głębi równoznaczne jest z umieraniem? Proszę odpowiedzieć co najwyżej dwudziestoma pięcioma słowami.

- Pamiętam, co powiedział mi Kalend - oznajmił chłodno Joe. - Coś, co znajdę w Heldscalli, spowoduje, że zabiję Glimmunga. A zatem kieruję się ku śmierci, może nie swojej, lecz czyjejs. Mam na zawsze powstrzymać wydobycie Heldscalli. - Te słowa same cisnęły mu się na usta. Wiedział, że nie potrafi powstrzymać napływających złych myśli. Może będzie musiał żyć z tym stygmatem do końca swych dni.

- Dam panu szczęśliwy amulet - powiedział robot i znów sięgnął do swego schowka. Wydobyl z niego małe zawiniątko, które podał Joemu. - To talizman symbolizujący czystość Amality.

- Czy odeprze złe siły? - zapytał Joe.

- Musi pan powiedzieć Willis, czy... - zaczął robot.

- Willis - poprawił się Joe - czy ten amulet pomoże nam na dole?

Po chwili pauzy robot odpowiedział:

- Nie.

- Więc dlaczego mu to dałeś? - gorzko zapytała Mali.

- Żeby... - zawahał się robot - ...nieważne - powiedział, po czym pograżył się w zadumie.

- Zejdziemy w tandemie - oświadczyła Mali, łącząc się linką z pasem Joego. - Będziemy mieć dwadzieścia stóp wolnej linki. To powinno wystarczyć. Nie mogę ryzykować rozdzielenia się z tobą. Moglibyśmy się już więcej nie zobaczyć.

Robot bez słowa podał Joemu plastikowe pudło.

- A to na co? - zapytał Joe.

- Bardzo prawdopodobne, że znajdzie pan na dole jeden czy dwa zniszczone porcelanowe obiekty.

Będzie pan chciał wydobyc ich szczątki.

- Ruszajmy - powiedziała Mali.

Wzięła zasilaną helem latarkę, spojrziała na Joego i skoczyła na nogi. Dwudziestostopowa linka zaczęła się napinać i pociągnęła go za sobą. Pasywnie zanurzył się w głębinie.

Otwór, przez który się opuścił, małał nad jego głową. Dobył własną latarkę i pozwolił ciągnąć się coraz głębiej, gdzie woda była zupełnie czarna. W dole jarzyła się wątlmym światłem latarka Mali jak fosforyzująca ryba głębinowa.

- Czy u ciebie wszystko w porządku? - usłyszał przy uchu głos Mali. Zdał sobie sprawę, że to interkom.

- Tak - odparł.

Obok przepływały różne dziwne ryby. Patrzyły nań i płynęły dalej, przepadając w mroku poza kręgiem światła.

- Nawiedzony robot - odezwała się Mali. - Mój Boże, musieliśmy zmitrężyć na rozmowie z nim ze dwadzieścia minut.

Ale teraz, pomyślał Joe, już jesteśmy na miejscu. Opuszczamy się coraz niżej w wody Mare Nostrum. Zastanawiam się, myślał, ile jest na świecie takich teologicznie zainfekowanych robotów. Może Willis to wyjątek... nasłany przez Glimmunga gaduła, który miał nam przeszkodzić w zejściu w głębinę.

Włączyło się ogrzewanie kombinezonu; teraz już nie czuł zewnętrznego chłodu. Był za to wdzięczny.

- Joe? - przemówiła ponownie Mali. - Czy nie przyszło ci do głowy, że Glimmung nasłaał mnie, bym ściągnęła cię w dół i zabiła? Glimmung wie, co zostało przepowiedziane. Czyż takie zachowanie nie byłoby z jego strony rozsądne? I oczywiście? Czy nie pomyślałeś o tym?

Prawdę powiedziawszy, nie pomyślał. A gdy uczynił to teraz, ponownie poczuł wszechogarniający chłód oceanu. Chłód, który wdzierał się w jego wnętrzości i serce. Czuł, jak zamarza, jak kurczy się do rozmiarów niepozornej istoty, nie będącej już człowiekiem. Strach, który mu towarzyszył również nie był ludzki. Był to strach małego zaszczutego zwierzaka. Jakby ewolucja odwróciła swój bieg i zacierała teraz jego osobowość. Boże, pomyślał. Czuję na sobie pokłady strachu

zbierane przez miliony lat.

- Aż drugiej strony - ciągnęła Mali - tekst przedstawiony ci przez Kalenda może być ukrytym fałszerstwem. Mógł to być jedyny egzemplarz takiej Księgi, spreparowany wyłącznie dla ciebie.

- Skąd wiesz o Kalendzie i tym nowym tekście? - zapytał Joe.

- Glimmung mi powiedział.

- A zatem musiał czytać to samo. Fałszerstwo odpada. Gdyby tak się stało, nie byłoby cię tutaj.

Roześmiała się, nie komentując tego. Nadal opuszczali się w dół.

- A zatem chyba miałem rację - stwierdził Joe. W świetle jego latarki pojawił się fragment jakiejś dużej żółtej konstrukcji. Po jego prawej stronie Mali również skierowała na nią swoją latarkę. Było to olbrzymie... jak arka zbudowana dla wszystkich żyjących istot. Arka, która na zawsze zatonała na dnie Marę Nostrum. Arka nieudanego przymierza.

- Co to jest? - zapytał.

- Szkielet.

- Ale czego? - Joe przybliżył się do szkieletu, próbując go lepiej oświetlić. Mali uczyniła to samo. Była tak blisko, że widział jej twarz przez szybki maski. Gdy przemówiła, jej głos był przyciszony, jakby pomimo swej wiedzy i doświadczenia, nie spodziewała się takiego odkrycia.

- To Glimmung - powiedziała - szkielet pradawnego, archaicznego, wymarłego przed wiekami gatunku. Strasznie porośnięty koralami. Leży tu zapomniany co najmniej od stuleci. Mój Boże!

- Czy to znaczy, że nie wiedziałas o jego istnieniu? - zapytał.

- Może Glimmung wiedział. Ja nie. Ale... - zawahała się - ...sądzę, że to szkielet Czarnego Glimmunga.

- Co to znaczy? - dociekał Joe, czując jak ogarnia go coraz większe przerażenie.

- To prawie niemożliwe do wytłumaczenia - powiedziała Mali. - Tak jak z antymaterią. Można o tym rozmawiać, ale w gruncie rzeczy trudno to sobie wyobrazić, a jeszcze gorzej wyłożyć słowami. Istnieją Glimmungi i Czarne Glimmungi. Zawsze w proporcji jeden do jednego. Każdy Glimmung ma swe przeciwieństwo, swoje alter ego. Wcześniej czy później w swym życiu Glimmung musi zabić Czarnego albo ten zabije jego.

- Dlaczego? - zdziwił się Joe.

- Ponieważ tak właśnie jest. To zupełnie jakbyś pytał: po co są kamienie. Tak ewoluowali. W tym wypadku na zasadzie wykluczania się przeciwieństw. Jak w chemii. Widzisz, Czarne Glimmungi są nie do końca istotami żywymi. Ale nie są też biochemicznie obojętne. Są jak nieuformowane kryształy. Ich podstawową motywacją jest dezintegracja formy, zwłaszcza w kontakcie z Glimmungiem.

Niektórzy zresztą utrzymują, że nie tylko. Mówią, że... - przerwała, wpatrzona w coś przed sobą.

- Nie - powiedziała. - Nie to. Jeszcze nie teraz. Nie za pierwszym razem.

Pchany prądami ciemnych wód, płynął ku nim jakiś strzęp materii.

Miał humanoidalny kształt, jakby kiedyś, dawno temu, poruszał się na wyprostowanych nogach. Teraz wygiął się i przygarbił, a nogi zwisały jakby były pozbawione kości. Joe obserwował, jak to coś powoli, lecz nieubłaganie, pod pływa coraz bliżej. Wkrótce już było widać twarz.

Joe poczuł, jak jego świat wali się w gruzy.

- To twoje ciało - powiedziała Mali. - Musisz zrozumieć, że tutaj czas nie płynie tak po prostu...

- Jest niewidome - wybąkał Joe. - Jego oczy... zgniły. Nie ma ich. Czy może mnie widzieć?

- Jest świadome twojej obecności. Chce... - zawahała się.

- Czego chce? - nalegał, obróciwszy ku niej dziko wykrzywioną twarz.

- Chce z tobą porozmawiać - odpowiedziała i zamilkła. Teraz jedynie go obserwowała. Nic nie robiła. Nie pomagała mu, zupełnie jakby jej tu nie było, pomyślał. Jestem sam, z tym czymś.

- Co powinienem robić? - zapytał.

- Nie... - znowu zamilkła, po czym nagle powiedziała: - Nie słuchaj tego, co to będzie mówić.

- To znaczy, że może mówić? - zdziwił się. Był w stanie pogodzić się z tym, co ujrzał. Zachować przytomność w zetknięciu z własnym martwym ciałem. Ale w nic więcej nie był w stanie uwierzyć. Ten twór nie jest rzeczywisty; to przykład mimikry jakiejś oceanicznej formy życia; czegoś, co go zobaczyło i przybrało jego kształt.

- Powie ci, byś stąd odszedł - powiedziała Mali. - Byś opuścił jego świat, ocean. Byś na zawsze porzucił Heldscallę, nadzieje Glimmunga, jego Projekt. Patrz, już próbuje wydobyć z siebie jakieś słowa.

Zniekształcona połowa twarzy poruszyła się; dojrzał połamane zęby, a potem z otchłani będącej niegdyś jego ustami wydobył się dźwięk. Jakby dobiegające z oddali dudnienie czegoś położonego o pięćset mil stąd, czegoś o wielkiej wadze. Bezwładnego, trudnego do poruszenia. A jednak to coś próbowało się z nim porozumieć. Dudnienie nie ustawało. W końcu, jakby w zwolnionym tempie, dotarło do Joe'go jedno słumione słowo. I kolejne.

- Zostań - powiedziały rozwarte usta. Wpłynęła w nie mała rybka i po chwili z nich wypłynęła. -

Musisz... iść dalej. Naprzód. Wznies. Wznies Heldscallę.

- Czy ty żyjesz? - zapytał Joe.
- Tu na dole nic nie żyje w znanej nam formie - wtrąciła się Mali. - To po prostu szczątki... z rozłożonymi niemal do końca bateriami.
- Ale to jeszcze nie miało miejsca - powiedział Joe, - To dopiero przyszłość.
- Tu w dole nie ma przyszłości - zaprzeczyła.
- Ale mnie się jeszcze nic nie stało. Żyję. A patrzę na to okropieństwo, na tę poruszającą się zgniliznę. Nie mogłaby się do mnie odzywać, gdyby była mną samym.
- To oczywiste - przyznała Mali. - Ale między wami nie ma wyraźnej linii podziału. Część tego jest w tobie, tak jak i część ciebie zawarta jest w tym czymś. Istniejecie obaj i ty jesteś jednocześnie sobą i nim. „Każde dziecko jest czymś rodzicem”, pamiętasz? Ale sądziłam, że twoje alter ego nakaze ci odejść. Zamiast tego, to coś chce, żebyś pozostał. Właśnie przybyło ci o tym powiedzieć. Nie rozumiem. Nie możemy mieć zatem do czynienia z Czarnym Fernwrightem. Przynajmniej nie w takim sensie jak ci tłumaczyłam. Jest w stanie rozkładu, ale nie myśli negatywnie. Czy mogę go o coś zapytać?

Nic nie powiedział i Mali przyjęła to za zgodę.

- Jak umarłeś? - zapytała zwłoki. Odsłonięta kość szczękowa poruszyła się w wodzie i przekazała mocno zniekształconą odpowiedź:

- Glimmung nakazał nas zabić.

- Nas? - przstraszyła się Mali. - Ilu nas? Czy wszystkich?

- Nas - zwłoki wyciągnęły szczątki rąk ku Joe-mu. - Nas dwóch. - Po czym zamilkły. Stopniowo zaczęły odpływać w dal. - Ale nie jest tak źle. Mam zrobioną przez siebie trumnę; ona mnie ochrania. Wechodzę do środka i zamykam wieko tak, że wiele naprawdę niebezpiecznych ryb nie ma do mnie dostępu.

- To znaczy, że próbujesz bronić swojego życia? - zapytał Joe.

- Ale twoje życie jest już skończone.

Joe nie rozumiał. To nie miało sensu, było dziwne i niesamowite. Pomyślał o rozkładających się zwłokach, swoich zwłokach, mających tu w dole coś na kształt egzystencji i troszczących się o siebie...

- Podnoszenie stopy życiowej umarłych - powiedział w pustkę Joe.

- To klątwa - stwierdziła Mali.

- Co? - zapytał.

- To nie pozwoli ci odejść. Pokazuje ci, jak to się skończy, a jednak ty nie odejdziesz. Potem, gdy będziesz już tym - wskazała na zwłoki - pożałujesz, że tego nie zrobiłeś. Dziś jeszcze, dziś w nocy. Albo jutro rano.

- Zostań - przemówiło odpływające ciało.

- Dlaczego? - zapytał Joe.

- Gdy Heldscalla zostanie podniesiona, ja udam się na spoczynek. Czekam na to i jestem zadowolony, że w końcu przybyłeś. Czekałem od wieków. Zanim przybyłeś tutaj mnie uwolnić, tkwiłem w pułapce czasowej. - Trup wykonał ruch ręką, ale przy okazji tego ruchu złamała się ona i jej kawałki opadły w mroczną toń. Dłoń miała teraz tylko dwa palce i obserwujący ją Joe poczuł nudności. Gdybym tak mógł cofnąć zegar i nie przybyć tutaj, pomyślał. Ale trup utrzymywał coś wprost przeciwnego; że to przybycie oznaczało wyzwolenie. Dobry Jezu, pomyślał Joe. Niedługo będę tak wyglądał; fragmenty mojego ciała poodpadają, bądź zostaną odgryzione przez groźne ryby. Będę musiał chować się w trumnie na dnie oceanu, a ryby zjedzą mnie kawałek po kawałku.

A może to nieprawda, pomyślał. Może to nie moje zwłoki; ilu ludzi miało okazję pogadać z własnymi, bełkoczącymi trupami? To sprawka Kalendów, stwierdził. Ale to też nie miałyby sensu, ponieważ, wbrew oczekiwaniom Mali, ponaglano go do pozostania i podjęcia pracy.

Przyszedł mu na myśl Glimmung. To jego trik, jego sztuczka, mająca na celu złapanie mnie na haczyk. To jasne.

- Dzięki za radę. Wezmę ją sobie do serca - zawołał za zwłokami.

- Czy mój trup jest tutaj także? - chciała wiedzieć Mali.

Żadnej odpowiedzi. Szczątki Joego popłynęły gdzieś w dal. Czy powiedziałem coś złego, pytał sam siebie. Do licha, cóż można powiedzieć własnym zwłokom? Powiedziałem, że wezmę to sobie do serca; o co więcej mógłbym to zapytać? Czuł się dziwnie zdenerwowany, już nie przestraszony, ale wewnętrznie poruszony. Wywołanie takiego napięcia nie było w porządku. Powiedziano mu, że musi realizować wyznaczoną mu pracę. A potem pomyślał o klątwie.

- Śmierć - powiedział do Mali, gdy zbliżyli się ku sobie. - Śmierć i grzech są ściśle ze sobą związane. To znaczy, że skoro przekleństwo dotyczy katedry, dotyczy ono i nas.

- Ja wracam - Mali ruszyła w górę, przebijając nogami. - Nie chcę znaleźć się zbyt blisko tego czegoś - wskazała ręką.

Odrzucił się we wskazanym kierunku. Daleko po prawej stronie dostrzegł wielką konstrukcję, której nie potrafił rozpoznać. Usłyszał także jej pracę; tępe, niskie dudnienie. Towarzyszyło im ono przez

cały czas, ale w formie niższej, znajdowało się poniżej dolnego progu słyszalności. Może czuł je wtedy jako wibracje; może nadal tak to czuł.

- A to co? - zapytał, odwracając głowę w kierunku Mali.

- Czerpak - powiedziała Mali. - Jonowy czerpak zastąpi stary typ, który być może już widziałeś.

- Czy cała katedra zostanie wyniesiona czerpakiem? - zapytał Joe. Mali siłą rzeczy, a raczej wiążącej ich linki, nadal była w pobliżu.

- Tylko jej podstawa - odparła.

- Reszta jest cięta na bloki?

- Wszystko z wyjątkiem podstawy, wykonanej z jednej wielkiej płyty agatu pochodzącej z Deneb Trzy. Gdyby pociąć ją na bloki nie byłaby potem w stanie wytrzymać ciężaru konstrukcji. Stąd czerpak. - Znów się cofnęła. - Niebezpiecznie jest podpływać tak blisko. Musiałeś już przecież widzieć

czerpaki przy pracy; wiesz na jakiej zasadzie działają. Proszę! Wracajmy na powierzchnię. Tutaj jest niezwykle ciekawie, ale do cholery, takie zbliżanie się do tej maszyny jest niebezpieczne.

- Czy wszystkie bloki są cięte? - zapytał.

- O Boże - niecierpliwiła się Mali. - Nie, wcale nie. Tylko parę pierwszych. Czerpak nie podnosi jeszcze czegoś; na razie zajmuje tylko pozycję do właściwej pracy.

- Jaka będzie prędkość wynoszenia? - zapytał.

- Jeszcze nie zdecydowano. Słuchaj, nie jesteśmy jeszcze do tego przygotowani. Ty mówisz już o wynoszeniu, a czerpak nie jest jeszcze usadowiony. To nie twoja działka, nie masz wiedzy na ten temat. Czerpak porusza się horyzontalnie z prędkością sześciu cali na dwudziestosześciogodzinny dzień, co w gruncie rzeczy równa się staniu w miejscu.

- Lepiej od razu powiedz, że chcesz, bym czegoś nie zobaczył.

- Masz fioła - odcięła się Mali.

Szperając reflektorem na prawo od czerpaka, coś zauważył. Wielką, nieprzezroczystą masę, wznoszącą się ku górze, na tle której pływały ryby, a ona sama porośnięta była ukwiałami i koralami. Obok zaś, tam gdzie pracował czerpak, piętrzył się identyczny kształt. Heldscalla.

- Tego właśnie nie miałem zobaczyć - powiedział do Mali.

Były tam dwie katedry.

Rozdział dwunasty

- Jedna z nich - stwierdził Joe - jest czarna. To Czarna Katedra.

- Ale nie ta, którą wydobywają - odrzekła Mali.

- Czy on jest pewien? - zapytał Joe. - Czy nie popełnił błędu? - Wiedział intuicyjnie, że to zabiłoby Gilmunga. Byłoby końcem wszystkiego i końcem ich wszystkich. Sama świadomość istnienia Czarnej Katedry, jej widok, sprawiły, że poczuł tchnienie śmierci. Jego serce zlodowaciało. Bez ładu i składu zaczął kręcić reflektorem. Jakby bał się, że nie będzie potrafił odnaleźć powrotnej drogi.

- Teraz już wiesz - powiedziała Mali - dlaczego chciałam wracać.

- Wracam z tobą - oznajmił.

Nie chciał zostać tu dłużej. Tak jak Mali, ciągnęło go na powierzchnię, do realnego świata nad wodą. W tamtym świecie nie było nic takiego jak tutaj... i nigdy nie powinno być, pomyślał. Nie tego przecież oczekiwał.

- Ruszajmy - powiedział do Mali i popłynął w górę. Z każdą sekundą był coraz dalej od przerażających głębin i tego, co w sobie kryły. - Daj mi rękę. - Odwrócił się, wyciągnął dłoń...

I wówczas to zobaczył. W promieniach swej latarki zobaczył dzban.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Mali, gdy przestał płynąć do góry.

- Muszę zawrócić - oznajmił.

- Nie pozwól się wciągnąć. Tak właśnie działa to potworne otoczenie. Płynmy ku górze. - Wyrwała swą rękę z jego dłoni i jak strzała pomknęła w kierunku powierzchni. Kopała nogami tak, jakby chciała z siebie strząsnąć jakąś substancję, która przywarła do niej tam na dole.

- Płyn sama - oświadczył Joe i zaczął opuszczać się niżej, nie spuszczać wzroku z dzbana. Cały czas kierował nań światło latarki. Dzban obrosły już trochę koralami, ale większość powierzchni pozostawała odkryta. Jakby czekał na niego, pomyślał. Jakby próbowano go tu ściągnąć w najlepszy z możliwych sposobów... podsuwając na przynętę coś, co uwielbiam.

Mali najwidoczniej zmieniła zdanie, bo powoli opuściła się za nim w dół.

- Co... - zaczęła, ale zauważyła dzban i jedynie przełknęła ślinę.

- To krater - powiedział Joe. - Bardzo wielki.

Rozróżniał już bijące ku niemu kolory, które wiązały go z tym miejscem mocniej niż sznury czy oplatające go wodorosty. Tonął. Pograżał się coraz bardziej.

- Co możesz mi o nim powiedzieć? - zapytała Mali. Byli już niemal na miejscu. Ramiona Joego

rozwarły się, jakby działały poza jego wolą - Czy to...

- To nie jest zwykła porcelana - powiedział Joe. - Wypalano ją w temperaturze powyżej pięciuset stopni. Może nawet w temperaturze tysiąca dwustu pięćdziesięciu stopni. Na szkliwie jest wiele zanieczyszczeń. - Dotknął znaleźiska. Opukał je, ale korale mocno się trzymały. - To kamionka, nie porcelana - zdecydował. - Jest nieprzezroczysta. Biel glazury sprawia wrażenie, że posłużono się tlenkami metali ciężkich. Jeśli tak, to mamy do czynienia z majoliką*. Takie szkliwo generalnie nazywa się emalią puszkową. Tak jak w przypadku ceramiki z Delft - potarł powierzchnię dzbanu. - Z tego co czuję, możemy mieć do czynienia z fajansem pokrytym nieprzezroczystym szkliwem. Widzisz? Wzór został wygrawerowany, odsłaniając znajdujący się pod spodem kolor. Tak jak już mówiłem, jest to krater... ale możemy się tutaj spodziewać psykterów** i amfor. Trzeba tylko zdjąć warstwę korali i zobaczyć, co jest pod spodem.

- Czy to dobry dzban? - zapytała Mali. - Mnie wydaje się on wyjątkowy. Myślę, że jest bardzo piękny. Ale w opinii eksperta...

- Jest wspaniały - powiedział Joe. - Czerwoną glazurę uzyskano prawdopodobnie utlenioną miedzią, robiono to w specjalnych piecach. Mamy tu też żelazo. Spójrz na tę czerń. I oczywiście pochodząca od antymonu żółć. Wspaniała żółć. - Kolor glazury jest dla mnie niezwykle ważny, pomyślał. Te żółcie, błękity. Nigdy się nie zmienię.

Zupełnie jakby ktoś chciał, bym to tutaj znalazł, zastanowił się. Wciąż pocierał dzban, podziwiając go bardziej dotykiem niż wzrokiem. Błękity z tlenków miedzi, powiedział do siebie. Tylko tego brakuje znalezionemu dzbanowi. Czy to Glimmung kazał go tu położyć?

Do Mali zaś powiedział:

- Czy ostatnio usuwano z tego korale? To dziwne, ale nie pokrywają całego dzbanu.

Przez moment Mali obmacywała dzban, badając jego powierzchnię oraz powierzchnię znajdujących się pod nim korali. Równocześnie Joe przypatrywał się wzornictwu naczynia. Była na nim przedstawiona złożona scena; scena o jeszcze większym stopniu złożoności niż w przypadku stylu istoriato z Urbino. Co pokazywała? Przypatrywał się i rozmyślał. Nie był w stanie obejrzeć całego wzoru. Ależ przecież miał wprawę w wypełnianiu luk. Co to może być, pytał samego siebie. Jakaś historia, ale czego?

- Nie podoba mi się ilość czerni na tym dzbanie - powiedziała Mali. - Wszystko, co jest czarne, podważa tu na dole moje poczucie bezpieczeństwa. - Odplynęła na pewną odległość. - Czy teraz możemy już wracać? - zapytała. Była coraz bardziej spięta. - Nie zamierzam pozostawać tu dłużej i ryzykować życia dla jakiegoś przeklętego dzbanu. Te rzeczy nie są aż tak ważne.

- A co wykazały twoje oględziny? - zapytał Joe.

- Korale zostały usunięte z części powierzchni w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. - Odłamała jeszcze kawałek koralu, odsłaniając kolejny fragment rysunku. - Będę mogła skończyć tę robotę w kilka minut, gdy zabiorę odpowiednie narzędzia.

Teraz widział więcej. Pierwsza płytka pokazywała mężczyznę siedzącego w małym, pustym pomieszczeniu. Na następnej był statek międzygwiazdny. Na trzeciej płytce znajdował się ten sam mężczyzna wyciągający z wody wielką czarną rybę. To właśnie jej czerń tak przeraziła Mali. Reszta była zasłonięta. Korale przesłaniały wzór. Ale historia miała ciąg dalszy. Wyciągnięcie ryby to nie był koniec. Pozostała do odsłonięcia jeszcze jedna lub nawet dwie płytki z malunkami.

- To styl płomienisty - oznajmił sucho Joe. - Jak wcześniej wspominałem, szkliwo uzyskano z tlenionej miedzi. W paru miejscach wygląda nawet jak tzw. glazura „martwolistna”. Gdybym nie miał pewności, sądziłbym...

- Ty paskudny pedancie - nieomal krzyknęła Mali. - Ty marna kreaturo. Odplywam stąd. - Uderzyła w wodę płetwami, rozpięta łącząca ich linkę i jak strzała ruszyła w górę. Wkrótce zniknęła mu z oczu i widział jedynie migoczące światełko jej latarki. Został sam na sam z dzbanem i Czarną Katedrą. Wokół panowała cisza i bezruch. Wokół nie było żadnej ryby, jakby celowo unikały Czarnej Katedry. To mądre, pomyślał. Mali też jest mądra.

Po raz ostatni spojrział na martwą konstrukcję, która nigdy nie tętniła życiem. Potem pochylił się, odłożył latarkę i złapał dzban rękami. Dzban rozpadł się na wiele kawałków, które podryfowały w różne strony, niesione oceanicznymi prądami. Na miejscu zostało tylko kilka skorup.

Joe chwycił pozostały fragment i zaczął go ciągnąć. Początkowo obrastające go korale trzymały mocno, ale potem stopniowo puściły. Fragment znalazł się w dłoniach Joego, który natychmiast ruszył z nim w górę.

Mocno dzierzył oswobodzone dwie ostatnie płytki z malowidłami.

W końcu znalazł się na powierzchni. Zsunął maskę i unosząc się na wodzie, obejrzał rysunki w świetle latarki.

- Co tam masz? - zawołała pływająca ku niemu Mali.

- Resztę dzbanu - wydyszał.

Pierwsza płytka pokazywała jak wielka czarna ryba pożera mężczyznę, który ją złowił. Druga i

ostatnia powtórnie ukazywała wielką rybę. Tym razem pożerała ona Glimmunga, tego Glimmunga. Zarówno mężczyzna, jak i Glimmung znikali w gardle ryby, by zostać strawionymi w jej żołądku. Przesławiali istnieć. Pozostawała tylko czarna ryba, która pochłaniała wszystko.

- Ten kawałek dzbanu... - zaczął, lecz natychmiast przerwał. Było coś, czego nie zauważył przy pierwszych oględzinach. Teraz właśnie to przyciągnęło jego uwagę, wręcz siłą przykuło jego wzrok. Na ostatnim rysunku, nad głową ryby znajdował się dymek ze słowami w jego ojczystym języku. Odczytał je, utrzymując się z trudem na falującej wodzie.

Życie tej planety znajduje się pod wodą, nie na lądzie.

Nie trzymaj z tłustym nieudacznikiem mieniącym się Glimmungiem. Istnieją głębie, gdzie możesz znaleźć prawdziwego Glimmunga.

W rogu był jeszcze drobny dopisek.

Wiadomość do użytku publicznego.

- To jest obłąkane - powiedział Joe, gdy Mali podpłynęła bliżej. Chciał wyrzucić fragment dzbanu, pozwolić mu opaść w mroczne głębie, poza zasięg wzroku.

Mali przywarła do niego i przez ramię odczytała tekst w dymku.

- Dobry Boże - powiedziała ze śmiechem. - To jak te ciasteczka z wróżbami na Ziemi.

- Ciasteczka z przepowiednią - poprawił Joe.

- Kiedyś na Ziemi, w San Francisco, w chińskiej restauracji, ktoś pokazał mi karteczkę z takiego ciastka. „Wystrzegaj się obstrukcji”. - Znów roześmiała się ciepłym, gardłowym śmiechem i obróciła się do niego twarzą. Wówczas uspokoiła się i powiedziała bardzo poważnie: - To coś będzie do końca walczyć, żeby utrzymać Heldscallę tam, w dole.

- To ona sama nie chce się podnosić - odparł Joe. - Sama katedra chce tam pozostać. A ten odłamek jest jej częścią. - Odrzucił fragment dzbanka, który natychmiast pochłonęła otchłań i powtórnie zwrócił się do Mali: - To katedra przemówiła do nas - stwierdził, choć jemu samemu wcale nie spodobała się ta myśl.

- A może ten należał do Czarnej...

- Nie - powiedział - nie należał. - Wszyscy, łącznie z Glimmungiem, musieli być tego świadomi. - I nie sądzę, by Glimmung coś o tym wiedział. Okazuje się, że to nie tylko sprawa Księgi Kalendów i ich przepowiedni, nie jest to także wyłącznie problem inżynierii hydraulicznej.

- To dusza - cicho odezwała się Mali.

- Co? - zapytał gwałtownie.

- Nie to miałam na myśli - odparła Mali po chwili.

- No i bardzo dobrze - rzekł Joe. - Bo to nie jest istota żywa. - Nawet wiadomość z dzbanu mnie nie przekona, powiedział sobie. To tylko pozory życia. Inercja. Jak w wypadku każdego obiektu fizycznego, który trudno wprowadzić w ruch na skutek bezwładności. Pod nami leży niewyobrażalna masa, która może nas złamać tylko przy próbie jej poruszenia. Żadne z nas już się wtedy nie podźwignie, nawet Glimmung. I...

Katedra pozostanie tam w dole, pomyślał. Tam, gdzie jest obecnie. Do końca świata, jak mawiają w kościele. Ale cóż to za dziwna katedra, która wydrapuje wiadomości na pokrytych muszelniami dzbanach. Musi przecież istnieć jakiś lepszy sposób na skontaktowanie się z nami. A jednak... te notki Glimmunga w spluczce na Ziemi były równie dziwaczne. To jakies ogólnoplane-tarne odchylenie, zdecydował. Lokalny zwyczaj, utrwalany przez wieki.

- Ona wiedziała, że znajdziesz ten dzban - stwierdziła Mali.

- Skąd?

- Z Księgi Kalendów. Ukrytej gdzieś w jej fundamentach.

- Ależ przecież i oni się mylą - oznajmił Joe. - Twierdzili, że w Heldscalli znajdę coś, co spowoduje, że zabiję Glimmunga. Więc może tylko zgadują i tym razem im nie wyszło. - Ale jednak nie do końca, pomyślał. Znalazłem przecież dzban.

Może pewnego dnia bieg zdarzeń sprawi, że zabiję Glimmunga. Musi tylko upłynąć wystarczająca ilość czasu. Wszystko jest możliwe, pomyślał. Może tak właśnie działa Księga Kalendów.

Działa... lub nie działa.

To tylko kwestia prawdopodobieństwa, pocieszył się. Nauka i nic więcej. Teoria Bernoulliego, teoria Bayesa--Laplace'a, rzuty monetą, wróżenie z kart, narodziny, a już na pewno zmienne losowe. A nad tym wszystkim cień Rudolfa Carnapa i Hansa Reichenbacha, Koła Wiedeńskiego, logiki symbolicznej i filozofii neopozyty-wistów. Grząski grunt, na którym czuł się dość niepewnie. Podobny jednakże do Księgi Kalendów.

- Wracajmy do bazy - powiedziała drżąca Mali i skierowała się ku światłom zapalonym dla nich przez Willisa. Robot już na nich czekał.

Amalita nas nie dosięgła, pomyślał Joe, gdy płynęli w stronę światła. Był za to wdzięczny. Sprawdziły się słowa Willisa... i Mali. To miejsce przyprawiało o dreszcze. Jego własny trup... nadal widział go oczyma wyobraźni, jego wystające kości żuchwy, poruszane prądami Podwodnego Świata. Pełnego

śmierci i rozkładu.

Dotarli do oświetlonej rampy z trzema hermetycznymi kapsułami, gdzie czekał już Willis.

Robot zdawał się zdenerwowany, gdy oboje z Mali zdejmowali piankowe kombinezony.

- W samą porę proszę pana i pani - rzekł, zbierając ich sprzęt. - Nie posłuchaliście mnie i zostaliście tam zbyt długo. - Po chwili poprawił się: - Byliście nieposłuszni wobec Glimmunga.

- Coś nie tak? - zapytał Joe.

- Och, ta cholerna stacja radiowa - oświadczył Willis, ślęcząc nad aparatem tlenowym Mali. Jego mocne ramiona z łatwością uniosły jego ciężar. - Proszę sobie tylko wyobrazić - wziął z rąk Mali kombinezon i ruszył, by złożyć wszystko do szafek - siedzę sobie tutaj, czekając na państwa, i słucham radia. Grają właśnie „Dziwiątą” Beethovena. Potem reklama na temat podpasek. Potem kawałek z „Parsifala” Wagnera. Potem o maści na odciski. Potem chorał z kantaty Bacha „Jesu Du Meine Seele”. Zaraz po nim reklamówka na temat pastylek czyszczących sztuczne szczęki. I „Stabat Ma-ter” Pergolesiego. Następnie reklamówka pieluchomaj-tek. Potem „Sanctus” z „Requiem” Verdiego. Reklamówka środka na przeczyszczenie. I „Gloria” Haydna. I reklama tabletek łagodzących bóle menstruacyjne. Potem chorał z Pasji Świętego Mateusza. Następnie reklama karmy dla psów. Potem...

- Nagle robot przestał mówić. Przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

Joe też to dosłyszał. Zdawało się, że Mali również. Obróciła się i ruszyła w kierunku wejścia do budowli. Wyjrzała na zewnątrz.

Joe poszedł w jej ślady. Willis również.

Na tle nieba wisiał wielki ptak, zawierający w sobie dwa kręgi: wodny i ogniowy. Pomiędzy kręgami jawiła się twarz młodej dziewczyny, częściowo przesłonięta woalką. Glimmung, taki jaki objawił się Joemu za pierwszym razem, lecz teraz wtłoczony w formę wielkiego ptaka. Orła, który zbliżając się, ciął powietrze swymi szponami. Joe cofnął się nieco, by stać bezpiecznie za wejściem.

Wielki ptak nadal leciał ku nim, a kręgi wirowały jak oszalałe.

- To nasz staruszek - powiedział Willis bez cienia lęku. - Prosiłem go o przybycie. A może to on mnie prosił? Zapomniałem. W każdym razie rozmawialiśmy ze sobą, choć niewiele już z tego pamiętam. Ja i moi koledzy mamy właśnie ten problem.

- On ląduje - stwierdziła Mali.

Ptak zatrzymał się w powietrzu, balansując ogonem i wpatrując się żółtymi oczami w Joego i tylko w niego. Potem z wielkiego dzioba wyleciały wykrzyczane w mrok nocy słowa. Słowa ostre i dzikie, pełne wyrzutu:

- Ty - krzyczał ptak. - Nie chciałem, żebyś schodził w głąb oceanu. Nie chciałem, byś zobaczył co jest pogrzebane na dnie. Jesteś tutaj tylko specem od naprawiania porcelany. Co widziałeś? Co robiłeś? - te ptasie skrzeki miały w sobie coś z szaleństwa, coś z przytłaczającej nagłości. Glimmung przybył tu, bo nie mógł czekać ani chwili dłużej na wieści z platformy. Musiał natychmiast wiedzieć, co stało się na dnie oceanu.

- Znalazłem dzban - powiedział Joe.

- Dzban kłamał! - krzyknął Glimmung. - Zapomnij co mówił; słuchaj mnie. Czy rozumiesz?

- Dzban mówił tylko, że...

- Tam w dole są tysiące kłamliwych dzbanów - przerwał mu Glimmung. - Każdy ma swoją fałszywą historyjkę do przekazania jakiemuś naiwniakowi.

- Wielka, czarna ryba - powiedział Joe. - Widziałem wielką, czarną rybę.

- Nie ma żadnej ryby. Tam na dole wszystko to mrzonki, prócz Heldscalli. W każdej chwili mogę ją wydobyć. Mogę zrobić to sam, bez twojej pomocy czy pomocy kogokolwiek innego. Mogę wydobyć wszystkie dzbany, mogę po kolei uwolnić je od koralu, a jeśli się pozbijają, to ponaprawiać lub znaleźć kogoś innego do tej roboty. Czy mam cię odesłać do twojej klitki, byś dalej zabawiał się Grą? Żebyś podlegał dalszej degradacji? Żebyś stawał się workiem łajna bez mózgu i ambicji? Czy tego chcesz?

- Nie - odparł Joe - Nie tego.

- Wracasz na Ziemię! - wrzasnął Glimmung, dziko dziobiąc powietrze.

- Przepraszam, nie... - zaczął Joe, ale ptak przerwał mu z furją.

- Zawrócę cię do skrzyni w mojej piwnicy - zadeklarował Glimmung. - Możesz tam tkwić, póki policja nie wpadnie na twój trop. Więcej nawet, zdradzę im, gdzie jesteś. Dopadną cię i zetrą w pył. Czy to rozumiesz? Czy nie dotarło do ciebie, że jeśli mi się przeciwstawisz, to cię odesłę? Nie jesteś mi potrzebny. Jeśli o mnie chodzi, to już nie istniejesz. Przykro mi, że tak się na ciebie wydzieram, ale taki już jestem, kiedy się wkurzę. Będziesz musiał mnie przeprosić.

- Wydaje mi się, że przesadzasz - oznajmił Joe. - Cóż takiego zrobiłem? Zszedłem na dół; znalazłem dzban...

- Znalazłeś dzban, którego nie miałeś widzieć - oczy ptaka wierceły w nim dziurę. - Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłeś? Zmusiłeś mnie do działania. Teraz muszę działać. Nie mogę czekać!

- Ptak wzbił się do góry, obrócił i skierował ku morzu, nie ku Joemu. Potem runął w dół z wielką szybkością, trzepocząc skrzydłami, by zawisnąć nad morzem. - Teraz już nie pomoże ci nawet Gary

Karns i jego sześć telefonów - ryczał, nurzając się we mgle, która urosła nad wodą jak fale. - Publiczność radiowa nic o tobie nie wie! Nie dba o ciebie! - Opuszczał się coraz niżej... Z morza podniósł się jakiś kształt.

Rozdział trzynasty

- O, Boże - powiedziała stojąca przy Joem Mali. - To ten Czarny. Idzie mu na spotkanie. Z morza wznosił się Czarny Glimmung, by w powietrzu napotkać autentycznego Glimmunga. Pióra polecały we wszystkich kierunkach, gdy oba stwory rzuciły się na siebie z wysuniętymi szponami. Potem niemal natychmiast opadły jak kamień w wodę. Na powierzchni zatrzymały się na chwilę i Joemu zdawało się, że właściwy Glimmung walczy o swobodę. Oba Glimmungi zniknęły w głębinach Marę Nostrum.

- Czarny wciągnął go - wyszeptała Mali przerażonym głosem.

- Czy możemy coś zrobić? - zapytał Joe robota. - Pomóc mu jakoś? Uwolnić? - Joe zdał sobie sprawę, że Glimmung tonie. To go zabije.

- Wynurzy się - powiedział android.

- Tego nie możesz być pewny - stwierdził Joe. - Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej? - dociekał Joe. - Czy Glimmung był już kiedyś wciągnięty pod wodę? - Joe pomyślał, że zamiast wydobyć Heldscallę, Glimmung sam zostanie zatopiony... by na zawsze połączyć się z Czarnym Glimmungiem i Czarną Katedrą.

Tak jak moje zwłoki, pozbawiona życia kukła, pływająca bezwładnie jak jakiś śmieć i kryjąca się w trumnie.

- Mogę odpalić raketę HB - powiedział robot. - Ale taka głowica zabije i jego.

- Nie - zaprzeczyła Mali.

- Kiedyś jednak już tak było - zreflektował się Willis. - Na czasy ziemskie - przekalkulował - pod koniec 1936 roku. Mniej więcej w czasie trwania letniej olimpiady w Berlinie.

- I udało mu się powrócić? - spytała Mali.

- Tak, moja pani - odparł Willis - a ten Czarny opadł powtórnie na dno, gdzie pozostawał aż do teraz. Przybywając tu, Glimmung skalkulował sobie ryzyko sprowokowania Czarnego. Dlatego powiedział: „Sprowokowałeś mnie do tego”. Pan to zrobił. Został zmuszony do walki tam w dole. Skierowawszy latarkę na powierzchnię wody, Joe zobaczył, że coś się z niej wynurza, jakiś obiekt, który odbija światło.

- Czy masz motorówkę? - zapytał Willisa.

- Tak, mój panie - odparł robot. - Czy chce pan tam płynąć? A jeśli się wynurzą?

- Chcę zobaczyć, co to jest - oświadczył Joe, ale już i tak się domyślał.

Robot niechętnie się oddalił, by uruchomić motorówkę.

W trzy minuty później cała trójka płynęła po wzburzonej powierzchni Marę Nostrum.

- Widzę to! - zawołał Joe. - Kilka jardów w prawo. - Cały czas utrzymywał obiekt w świetle latarki. Wyciągnął rękę i sięgnął po niego.

Była to duża butelka. A w niej notka.

- Kolejna wiadomość od Glimmunga - stwierdził kwaśno Joe, odkorkowując butelkę i wyjmując zwitek. Karteczka opadła na dno łodzi, ale szybko ją podniósł i odczytał w świetle latarki. Obserwujcie rozwój wydarzeń w tym miejscu. Serdeczności. Glimmung. PS Jeśli nie będzie mnie do rana, zawiadomcie wszystkich, że Projekt jest odwołany. Wracajcie na swoje planety o własnych siłach. Wszystkiego dobrego. G.

- Dlaczego on to robi? - zapytał robota Joe. - Dlaczego wysyła liściki w butelkach, kontaktuje się przez programy radiowe, albo...

- To szczególna metoda kontaktu interpersonalnego - wyjaśniał robot w drodze powrotnej na platformę. - Odkąd go znam, zawsze rozrzucał przezroczyste, owalne rzeczy z informacjami w różne strony świata. A jak, wedle pana, powinien się komunikować? Przez satelitę?

- Mógłby - powiedział Joe, który czuł, jak ogarnia go fala przygnębienia. Zamknął się w sobie i drżąc z zimna, czekał, aż dotrą na miejsce.

- On umrze - stwierdziła cicho Mali.

- Glimmung? - zapytał Joe. Skinęła głową. W przyćmionym świetle jej twarz wyglądała nieco upiornie.

- Czy kiedykolwiek opowiadałem ci o Grze? - zapytał Joe.

- Przykro mi, ale teraz...

- Wygląda to następująco. Bierze się tytuł książki, najlepiej dobrze znany, i wprowadza się go głosem do komputera w Japonii, który tłumaczy go na japoński. Potem...

- Czy do tego zamierzasz powrócić? - spytała Mali.

- Tak, do tego - odparł.

- Powinno mi być ciebie żal - powiedziała Mali. - Ale nie jest. Ty ściągnąłeś na nas to wszystko. Zniszczyłeś Glimmunga, który chciał cię ocalić od pustej egzystencji. Chciał przywrócić ci godną pracę w heroicznym przedsięwzięciu, angażującym setki istot z wielu planet.

- Ale szanowny pan musiał zejść w głębinę - stwierdził robot.

- Dokładnie tak - przyznała Mali.

- Zmusiła mnie do tego Księga Kalendów - wyjaśnił Joe.

- Wcale nie - zaprzeczył robot. - Podjął pan decyzję zejścia do Marę Nostrum, zanim jeszcze zjawił się Kalend i dał panu do przeczytania fragment Księgi.

- Człowiek musi stawać na wysokości zadania - stwierdził Joe.

- A cóż to znaczy? - zapytała Mali.

- To taka figura stylistyczna - wyjaśnił Joe. - Chciałem przez to powiedzieć, że tak jak w wypadku alpinistów, człowiek wspina się na szczyt tylko dlatego, że ten szczyt istnieje. - I w ten sposób, pomyślał, zabiłem Glimmunga. Tak jak przepowiedziała Księga. Kalend miał rację. Kalendowie zawsze mają rację. Podczas gdy my siedzimy sobie w łodzi, tam w dole umiera Glimmung. Gdyby nie ja, gdyby nie moje zejście do Marę Nostrum, nadal by żył. Oni mają rację. To moja wina, tak jak powiedział na koniec sam Glimmung. Przed bitwą ze swym czarnym odpowiednikiem.

- Jak się czujesz, Joe? - spytała go Mali. - Teraz, kiedy już wiesz, za co jesteś odpowiedzialny?

- No cóż - stwierdził Joe - sądzę, że teraz powinniśmy śledzić cegodzinne raporty. - Nawet dla niego nie brzmiało to przekonująco, więc ucichł. Cała trójka w ciszy dobiła do doku, gdzie Willis zabezpieczył łódź.

- Cegodzinne raporty - odezwała się sardonicznie Mali, gdy schodzili na stały grunt. Wokół świeciły jasne reflektory, sprawiając, że Mali i Willis wyglądali jak makabryczne kukielki imitujące nienaturalnie ludzkie ruchy. Albo, pomyślał Joe, jakby to były ich zwłoki, po zabiciu również przeze mnie. Ale przecież roboty nie występują w postaci zwłok, zdecydował. To wszystko wina oświetlenia i mojego wyczerpania. Nigdy jeszcze nie czuł się aż tak wyzuty z sił. Przy każdym kroku z trudem łapał powietrze. Zupełnie jakby własnym sumptem usiłował wydobyć Glimmunga na powierzchnię, gdzie tamten mógłby się czuć bezpieczny.

Glimmung na to zasługuje, pomyślał.

- To interesująca historia - odezwał się Joe, by zmienić temat - jak Glimmung skontaktował się ze mną po raz pierwszy. Siedziałem w swojej klitce, nie mając nic do roboty, gdy zaświeciła się lampka informująca o poczcie. Nacisnąłem na guzik i rurą zjechał...

- Patrz - przerwała mu Mali. Jej głos był cichy, lecz pełen pasji. Wskazała na wodę, a Joe oświetlił to miejsce latarką. - Aż się gotuje od walki. Czarny Glimmung pochłania Glimmunga; Czarna Katedra pochłania katedrę; Amalita i Borel odchodzą w zapomnienie, a z nimi Glimmung. Nikt nie ocaleje, nie zostanie, nic nie wypłynie na powierzchnię. - Odwróciła się plecami i ruszyła w głąb platformy.

- Chwileczkę - powiedział robot. - Myślę, że jest jakiś telefon do szanownego pana. Tak jak poprzednio, oficjalny. - Android ucichł na moment, po czym mówił dalej: - To osobista sekretarka Glimmunga. Chce jeszcze raz z panem rozmawiać. - Drzwiczki na jego piersi rozwarły się i na tacy wyjechał telefon. - Proszę podnieść słuchawkę - poinstruował robot.

Joe podniósł słuchawkę, czując, jak spoczywający mu na ramionach ciężar wgniata go w ziemię. Z trudem utrzymywał słuchawkę przy uchu.

- Pan Fernwright? - rozległ się oficjalny, kobiecy głos. - Jeszcze raz mówi Hilda Reiss. Czy Glimmung jest tam z panem?

- Powiedz jej - nalegała Mali. - Powiedz jej prawdę.

- Jest na dnie Marę Nostrum - odrzekł Joe.

- Nie myli się pan, panie Fernwright? Czy dobrze pana zrozumiałam?

- Zszedł do Podwodnego Świata - powiedział Joe. - Zupełnie nagle. Nikt z nas tego nie oczekiwał.

- Nie sądzę, abyśmy się dobrze rozumieli - stwierdziła panna Reiss. - Czyżby chciał pan powiedzieć...

- Walczy z całą swoją mocą - powiedział Joe. - Sądzę, że w końcu pojawi się przed nami. Twierdzi, że będzie wysyłał co godzinę raporty. Nie wydaje mi się więc, by było się czym martwić.

- Panie Fernwright - odcięła się panna Reiss - Glimmung wysyła takie raporty jedynie w sytuacji zagrożenia.

- Hmmm - mruknął Joe.

- Czy pan mnie rozumie? - warknęła panna Reiss.

- Tak. - Joe skinął głową.

- Czy zszedł pod wodę dobrowolnie, czy został wciągnięty?

- Jedno i drugie - oznajmił Joe. - Nastąpiła konfrontacja - gestykulował, próbując znaleźć właściwe słowa - między nimi dwoma. Ale Glimmung zdaje się trzymać rękę, czy też nibynóżkę na pulsie.

- Proszę pozwolić mi z nią pomówić - wtrąciła się Mali. Wyszarpnęła mu z rąk telefon i powiedziała do słuchawki: - Tu Mali Yojez. - Chwila ciszy. - Tak, panno Reiss. Wiem o tym. O tym także wiem.

No cóż, jak mówi pan Fernwright, on może wyjść z tego zwycięsko. Nie możemy tracić wiary, jak mówi Biblia. - Znów chwila nasłuchiwania. Potem spojrzenie na Joego i przysłonięcie ręką słuchawki. - Ona chce, żebyśmy spróbowali przesłać Glimmungowi wiadomość.

- Jaką wiadomość? - zapytał Joe.

- Jaką wiadomość? - powtórzyła Mali do telefonu.

- Żadnych wiadomości - powiedział Joe do Wil-lisa. - To mu się na nic nie przyda. Nic nie możemy zrobić. - Czuł się zupełnie bezradny, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Poczucie bliskości śmierci, które prześladowało go w chwilach depresji, stało się wyjątkowo dokuczliwe. Czuł jak martwieją mu wnętrzności, nerwy i serce. Poczucie winy otoczyło go niczym ciężki, atlasowy płaszcz. Zawisł nad nim wstyd równie wielki jak wstyd Adama przed Bogiem. Czuł nienawiść do samego siebie za skutki swych czynów, za narażenie swego dobroczyńcy i całej jego planety na niebezpieczeństwo. Jestem Judaszem, powiedział do siebie. Kalen-dowie mają rację, przybyłem tu, by skazać tę planetę swą obecnością. Glimmung musiał o tym wszystkim wiedzieć, a jednak mnie tu ściągnął. Może dlatego, że tego potrzebowałem. Zrobił to ze względu na mnie. Chryste, a teraz jest już po wszystkim. Oto jak mu odplaciłem: śmiercią.

Mali odłożyła słuchawkę. Odwróciła znieruchomiłą twarz w kierunku Joego i przez długi czas wpatrywała się w niego bez zmrużenia powiek. Patrzyła na niego w wielkim skupieniu, po czym pochylała głowę, jakby przetykała ślinę.

- Joe - powiedziała - panna Reiss twierdzi, że powinniśmy się poddać. Odejść stąd i wrócić do hotelu „Olimpia” po nasze rzeczy. A potem - zrobiła chwilę przerwy - porzucić planetę Płowmana i wrócić do własnych światów.

- Dlaczego? - zapytał Joe.

- Bo nie ma już nadziei. Z chwilą gdy Glim-mung... - wykonała konwulsyjny gest - ...nie żyje, nikt na tej planecie nie będzie miał szans. A zatem powinniśmy... no wiesz... zabrać się stąd.

- Ale wiadomość w butelce mówiła, żeby czekać na codzienne raporty - stwierdził Joe.

- Nie będzie żadnych raportów.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Zmrożony strachem Joe zapytał:

- Czy ona też wyjeżdża?

- Tak, ale najpierw panna Reiss pomoże zabrać się innym do portu. Czeka tam już międzysystemowy statek gotowy do załadunku. Ona ma nadzieję umieścić na nim wszystkich w ciągu najbliższej godziny. - Do Willisa zaś Mali dodała. - Zamów mi taksówkę.

- Musi pani powiedzieć: Willis, zamów taksówkę - oświadczył robot.

- Willis, zamów mi taksówkę.

- Odchodzisz? - zapytał Joe. Czuł się zdziwiony, a w dodatku pozbawiony sensu dalszego istnienia.

- Tak nam kazano - odparła po prostu Mali.

- Kazano nam czekać na codzienne raporty - upierał się Joe.

- Ty cholerny głupcze - powiedziała Mali.

- Zamierzam tu pozostać - rzekł.

- No to zostań. - Zwróciła się do Willisa: - Czy dzwoniłeś po taksówkę?

- Musi pani powiedzieć...

- Willis, czy dzwoniłeś po taksówkę?

- Wszystkie są zajęte - odparł robot. - Zbierają ludzi z najodleglejszych zakątków naszego globu i wiozą do portu.

- Daj jej pojazd, którym tu przybyliśmy - nakazał Joe.

- Czy aby na pewno nie chce pan wyjechać? - zapytał robot.

- Na pewno - odparł Joe.

- Zdaje się, że cię rozumiem - powiedziała Mali. - Przez ciebie stało się to wszystko; cały ten kryzys. Sądzisz więc, że wyjazd i próba ocalenia własnej skóry byłyby niemoralne.

- Nie - odpowiedział, po czym zgodnie z prawdą wyznał: - Jestem zbyt zmęczony na powrót do domu. Przekalkulowałem sobie ryzyko. Jeśli Glimmung powróci, będziemy mogli kontynuować wznoszenie Held-scalli. Jeśli nie... - Wzruszył ramionami.

- Bohaterstwo - powiedziała Mali.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu zmęczenie. Ruszaj do portu. Koniec może nastąpić lada moment, jak sama dobrze wiesz.

- Cóż, to właśnie mówiła mi panna Reiss - stwierdziła Mali usprawiedliwiająco. Widać było, że się zastanawia. - Gdybym została... - zaczęła, ale Joe natychmiast jej przerwał:

- Nie zostajesz. Ani ty, ani nikt inny. Z wyjątkiem mnie.

- Czy mogę się wtrącić? - zapytał Willis. - Nikt mu nie przerwał, więc ciągnął dalej: - Glimmung nigdy

nie zakładał, że ktokolwiek ma z nim umierać. Widać to z przeznaczonych dla was instrukcji od panny Reiss. Bez wątplenia nakazał usunąć wszystkich z planety na wypadek swej śmierci. Czy pan to rozumie, szanowny panie?

- Rozumiem - oznajmił Joe.

- Czy odjedzie pan wraz z panią?

- Nie - powiedział Joe.

- Ziemianie są znani ze swej głupoty - oświadczyła Mali. - Willis, zawieź mnie prosto do portu; rzeczy pozostawię w apartamencie. Ruszajmy.

- Do widzenia, szanowny panie - powiedział do Joego Willis.

- Połam nogi - odparł Joe.

- Co to znaczy? - spytała Mali.

- Nic. Takie archaiczne stwierdzenie - odszedł od nich obojga i wpatrzył się w butelkę z wiadomością na motorówce. Ja też mogę je połamać, pomyślał. - I tak nigdy nie lubiłem tego stwierdzenia - oznajmił w pustkę. Żeby tylko Glimmung miał szczęście. Tam w Marę Nostrum, gdzie to ja powinienem walczyć zamiast niego z Czarnymi Istotami, które nigdy nie były żywe. To tylko ożywione trupy. Trupy z niezłym apetytem.

- Przeklęty apetyt - powiedział głośno. Został sam. Słyszał odległy pomruk startujących rakiet. Odlecieli.

- Z „Księżniczki Idy” - powiedział do siebie - śpiewane przez Cyryla w drugim akcie w ogrodach zamku Adamant.

Zamilkł, a potem nasłuchiwał. Już nie słyszał rakiet. Do cholery, pomyślał. Niezły bigos. I to z mojej winy. Księga uczyniła ze mnie kamień wywołujący lawinę, jak u Arystotelesa. Kamień uderza o kamień, a ten potraça kolejny. Oto treść życia.

Czy Mali i Willis wiedzieliby, kogo cytuję? Mali nie, ale Willis znał Yeatesa. Pewnie znał też W. S. Gilberta. Yeates. Przyszło mu do głowy coś takiego:

P: Czy lubisz Yeatesa?

O: Nie wiem. Nigdy nie próbowałem.

Na chwilę w jego umyśle zagościła pustka, a potem to:

P: Czy lubisz Szekspira?

O: Nie wiem. Nigdy nie jadłem szeku z pira.

Wymyślał te rzeczy z rodzącym się w głowie poczuciem beznadziejności. Zwariowałem, pomyślał. Mój mózg wypełniony jest bzdurami, ból mnie ogłupił. A co się dzieje tam w dole? Spojrzał na wodę. Była gładka i czysta, nie wiadomo co kryło się w otchłani. Niczego nie był w stanie wywnioskować, gdy nagle...

Niecałe pół kilometra od platformy woda zaczęła burzyć się gwałtownie. Coś wielkiego zjawilo się pod powierzchnią, przebiło ją, i uwolniło się. Olbrzymi obiekt rozpostarł skrzydła, którymi bił bezradnie; bił nimi wolno, jakby był wyczerpany. Potem wzniósł się w niebo niezdatnym lotem.

Młócił powietrze jak oszalały, a jednak wzniósł się tylko kilka stóp nad powierzchnię.

Glimmung? Joe wyteżał wzrok w kierunku nadlatującego. Tamten machał skrzydłami, aż znalazł się przy jednej z kapsuł platformy. Jednak nie wylądował; pracowicie leciał dalej, aż zniknął w mrokach nocy.

Równocześnie włączył się automatyczny alarm i nagrany, tubalny głos zaczął powtarzać przez wszystkie głośniki:

- Uwaga! Uaktywnił się fałszywy Glimmung! Należy działać zgodnie z procedurą ratowniczą, punkt trzeci! Uwaga! Uaktywnił się... - dudnił bez przerwy.

Ten wynędzniały, poobijany stwór, który wyłonił się z morza, nie był Glimmungiem.

Rozdział czternasty

Przyszła mu do głowy najgorsza możliwość. Glimmung został pokonany. Zdał sobie z tego sprawę, gdy usłyszał alarm i trzepot olbrzymich, pracowicie łopoczących skrzydeł. To coś miało jakąś misję. Udawało się w określonym kierunku. Dokąd, zastanawiał się Joe. Nawet nie lądując, obciążało planetę okropnym piętnem swej obecności. Jego samego również. Na razie jednak nie zainteresowało się nim, więc przysiadł, skulił się i zamknął oczy.

- Glimmung - powiedział głośno.

Odpowiedzi nie było.

To coś leci do portu, zdecydował. Widział, z jaką determinacją to robiło. Glimmung zdołał to osłabić, ale nie zdołał zniszczyć. A teraz leżał na dnie Marę Nostrum i najprawdopodobniej umierał.

Muszę zejść tam na dół. Zanurkować jeszcze raz i sprawdzić, czy mogę coś dla niego zrobić.

Szaleńczo zaczął zbierać sprzęt do nurkowania. Znalazł butle z tlenem, maskę, płetwy, latarkę; znalazł

pas z łożanym balastem. Pracował jak oszalały. W momencie, gdy wciskał się w kombinezon, zdał sobie sprawę, że robi to bezcelowo. Było za późno.

Nawet jeśli go znajdzie, pomyślał, nie będę w stanie mu pomóc. Nie dam rady go wyciągnąć. A kto go uleczy? Ja? Ani ja, ani nikt inny.

Poddał się. Zaczął rozpinąć kombinezon i pas. Na wpeł sparaliżowane palce nie dawały sobie rady z zamkiem. Rozebranie się przekraczało jego możliwości.

Paskudne zrzędzenie losu, pomyślał. Glimmung na dnie oceanu. Czarny Glimmung, ten fałszywy, szybuje po niebie. Wszystko się poodwracało, a niebezpieczna sytuacja przekształciła się w katastrofę. Dobrze przynajmniej, że Czarny nie próbował mnie dopaść, pomyślał. Poleciał w poszukiwaniu większej zdobyczy.

Joe spojrział na wodę, oświetlił miejsce, gdzie zatonął Glimmung. W świetle latarki błyszczały fragmenty połamanych piór. Powiększała się plama jakiejś olejistej cieczy. Krew, pomyślał. Jeśli to krew Czarnego to dobrze, gorzej jeśli to krew Glimmunga.

Ociężałe zdołał doczłapać się i wślizgnąć do motorówki. Popłynął w obserwowane przed chwilą miejsce. Wyłączył silnik. Szłam plamił burty łodzi. Ale nie zauważył nic nowego. Jednak pozostał na miejscu i słuchał szumu fal bijących w dali o brzeg. Eksperymentalnie włożył dłoń do wody. Szłam miał w świetle latarki czarny kolor. Była to jednak krew. Mnóstwo świeżej krwi. Krwi śmiertelnie rannego stworzenia, które nie miało szans na ocalenie.

Umrze w wyniku wykrwawienia najpóźniej za parę dni. A może już za parę godzin.

Z głębin oceanu wypłynęła butelka. Natychmiast dostrzegł ją w świetle latarki, podpłynął ku niej, uruchomiwszy silnik, i wyjął ją na pokład.

Jakaś kartka. Odkorkował butelkę i wytrząsnął zawartość na dłoń. Odczytał tekst w świetle latarki.

Dobre nowiny! Wyplenilem opozycję i teraz dochodzę do siebie.

Z niedowierzaniem przypatrywał się tym słowom. Czy to żart? Zastanawiał się. Pozorowany heroizm w takiej sytuacji? Dzban tak właśnie określił Glim-munga, jako pozoranta. Sama notka może być także oszustwem, może nie pochodzić od Glimmunga. Tak jak słowa na dzbanie mogą być produktem katedry, a nie jej negatywu, ale właśnie tej Heldscalli, którą chciał ratować Glimmung. Wyplenilem opozycję, powtórzył sobie w myślach, jeszcze raz czytając notkę. Coś się tutaj nie zgadza, zdecydował. To właśnie wróg Glimmunga, choć może poważnie okaleczony, uleciał w niebo. A on sam nie potrafił się dźwignąć z dna oceanu i mimo tej notki, zdawał się bardziej poszkodowany.

Na powierzchnię wypłynęła druga butelka, mniejsza od poprzedniej. Wyłowił ją i wyjął wiadomość.

Poprzedni komunikat nie jest oszustwem. Jestem dobrego zdrowia i mam nadzieję, że ty też. G. PS Nikt już nie musi opuszczać planety. Zawiadom ich, że nic mi nie jest i powiedz, by pozostali na razie w swych kwaterach. G.

- Ale już jest za późno - powiedział głośno Joe. - Właśnie wyjeżdżają. Za długo czekałeś, Glimmung.

Zostałem tylko ja i roboty; mam na myśli głównie Willisa. A to nie za wiele. Nic w porównaniu z tłumem, jaki tu zebrałeś dla podniesienia Heldscalli. Twój Projekt nie doczeka końca.

Co więcej, ta notka też mogła być oszustwem. Próbą powstrzymania ludzi przed opuszczeniem planety na rozkaz panny Reiss, podjętą przez samą katedrę. Jednak notkę opatrzone autentycznym kręgiem w stylu Glimmunga. Jeśli obie notki były fałszerstwami, to należało podziwiać ich autora.

Wziąwszy ostatnią karteczkę do ręki, Joe napisał na jej odwrocie coś w rodzaju odpowiedzi.

Skoro jesteś dobrego zdrowia, dlaczego zostajesz tam w dole? Podpisano Zmartwiony Pracownik.

Wepchnął liścik do jednej z butelek, dołożył odważnik z pasa łożanego, zakorkował przesyłkę i wrzucił ją do wody. Natychmiast zatonęła. A zaraz potem wynurzyła się z głośnym pluskiem. Wyłowił ją i otworzył.

Obecnie niszczę Czarną Katedrę. Wrócę na stały ład, jak tylko skończę. Podpisano Udzielny Władca.

PS Zbierz pozostałych. Będą potrzebni. G.

Wypełniając bez przekonania polecenie, Joe podpłynął do doku. Znalazł wideofon, a było ich kilka i poprosił o połączenie z wieżą portu gwiazdowego.

- Kiedy odleciał ostatni statek? - zapytał wieżę.

- Wczoraj.

- A więc statek międzysystemowy nadal jest u was?

- Tak.

To dobre wieści, a zarazem nieprawdopodobne, pomyślał Joe, i powiedział:

- Glimmung chce, by zatrzymać ten statek i wysłać jego pasażerów z powrotem do kwatery.

- Czy ma pan upoważnienie do występowania w imieniu Glimmunga?

- Tak - odparł Joe.

- Proszę to udowodnić.

- Udzielono mi ustnych wskazówek.

- Proszę to udowodnić.

- Jeśli pozwoli pan statkowi odlecieć - powiedział Joe - wówczas Heldscalla nigdy nie zostanie

podniesiona. A Glimmung cię zniszczy.

- Ale jak pan to udowodni?

- Proszę mi pozwolić porozmawiać z panną Reiss - rzekł Joe.

- Kim jest panna Reiss?

- Jest na pokładzie statku. To prywatna sekretarka Glimmunga.

- Od niej również nie przyjmuję rozkazów. Jestem autonomiczny.

- Czy ta wielka czarna rzecz ze skrzydłami przyleciała do was?

- Nie.

- W każdym razie - powiedział Joe - leci. Powinna pojawić się w każdej chwili. Wszyscy na pokładzie statku umrą, jeśli nie każesz im go opuścić.

- Neurotyczna panika nie przekona mnie - o-znajmiła wieża, ale jej głos nie brzmiał już tak pewnie.

Nastąpiła chwila ciszy, Joe wyczekiwał niecierpliwie dalszego ciągu.

- Wydaje mi się - rzekła wieża - że coś widzę.

- Wypuść pasażerów ze statku - nakazał Joe - zanim będzie za późno.

- Ale będą bezradni jak krowięta - upierała się wieża.

- Kocięta - poprawił Joe.

- Wyraziłem się jasno, mimo że użyłem złej metafory - o-znajmiła wieża. Ale teraz jej głos brzmiał już bardzo niepewnie. - Może mógłbym połączyć pana z kimś na statku.

- Pospiesz się - krzyknął Joe. Ekran telefonu pokazał gmatwaninę kolorów, a potem w jej miejsce pojawiła się twarz Harpera Baldwina.

- Panie Fernwright - jego głos wyrażał zdenerwowanie - właśnie opuszczamy statek. Rozumiem, że fałszywy Glimmung zmierza w naszym kierunku. Czy mamy wystartować?

- Rozkazy się zmieniły - stwierdził Joe. - Glimmung żyje i czuje się dobrze. Pragnie, żebyście wszyscy przybyli do oceanicznego centrum. Najszybciej jak to możliwe.

Ekran wypełniła zimna, praktyczna twarz, niemal kobieca.

- Tu Hilda Reiss. W takiej sytuacji jedyną alternatywą jest ewakuowanie planety Płowmana. Sądziłam, że pan to zrozumiał. Mówiłam pannie Yojez...

- Ale Glimmung chce, żebyście przybyli tutaj - powiedział Joe. Co za cholerna służbistka. Wyciągnął notkę Glimmunga przed obiektyw kamery. - Poznaje pani to pismo? Jako jego sekretarka powinna pani.

Marszcząc czoło, zaczęła czytać:

- Nikt już nie musi opuszczać planety. Zawiadom ich, że nic mi nie jest i powiedz...

Joe przytrzymał przed ekranem drugą notkę.

- Zbierz pozostałych - odczytała panna Reiss. - Rozumiem. Tak, to oczywiste - spojrzała na Joe - w porządku, panie Fernwright. Zatrudnimy were-jów jako kierowców i jak najszybciej przybędziemy do pana. Może pan nas oczekiwać za dziesięć, piętnaście minut. Z wielu powodów mam nadzieję, że uwolniony fałszywy Glimmung nie zniszczy nas po drodze. Do widzenia. - Odłożyła słuchawkę.

Ekran pociemniał.

Dziesięć minut, pomyślał Joe. Z Czarnym Glimmun-giem nad głową. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się znaleźć jakichś werejów. Nawet wieża, produkt zupełnie syntetyczny, zmartwiła się sytuacją. Nadzieja, że dotrą do niego, była nikła.

Minęło pół godziny. Nie było ani śladu poduszki, żadnego znaku zbliżającej się grupy. Dopadł ich, powiedział sobie Joe. Przepadli. Tymczasem Glimmung walczy z Czarną Katedrą w Marę Nostrum. Wszystko decyduje się właśnie teraz.

Dlaczego nie przybywają, martwił się. Czy naprawdę dopadł ich Czarny Glimmung? Czy są już trupami pływającymi w wodzie, czy może schnącymi na brzegu kupkami kości? A Glimmung? Co z nim? Nawet jeśli tu przybędą, wszystko zależy od zwycięstwa Glimmunga nad Czarną Katedrą. Jeśli zginie, przybędą tu na próżno. I tak będziemy musieli wszyscy opuścić tę planetę. Ja wrócę na zatłoczoną Ziemię, gdzie używa się bezwartościowych pieniędzy. Wrócę do swej emeryturki, do pustej kłitki, gdzie nic się nie dzieje. I do Gry, do tej cholernej Gry. Na całą resztę życia.

Nie zamierzam się stąd ruszać, powiedział sobie. Nawet jeśli Glimmung zginie. Ale jaki będzie ten świat bez Glimmunga. Rządzony Księgą Kalendów... schematyczny świat, gdzie każdy dzień ujęty jest w ramy Księgi, gdzie nie ma wolności. Księga będzie nam mówić każdego ranka, co mamy robić, a my będziemy to robić. W końcu Księga powie nam, że mamy umrzeć, a my... umrzemy, pomyślał. Księga myliła się. Mówiła, że to, co znajdę pod wodą, spowoduje, iż zabiję Glimmunga. Nic takiego się nie stało.

Lecz Glimmung nadal może umrzeć, przepowiednia może się spełnić. Pozostały dwie bitwy: o zniszczenie Czarnej Katedry i wyniesienie Heldscalli na powierzchnię. Glimmung może zginąć w każdej z nich, może ginie już teraz. A wraz z nim cała nadzieja.

Włączył radio, by posłuchać wiadomości.

- Jesteś impotentem? - odezwało się radio. - Nie możesz osiągnąć orgazmu? Hardovax zmieni twoje

troski w radość. - Tu odezwał się kolejny głos, należący do słabowitego mężczyzny: - Na Boga, Sally, co się ze mną stało? Wiem, że ostatnio zauważyłaś, jaki jestem oklapnięty. Kurczę, wszyscy to zauważyli... - Tutaj głos zmienił się na żeński: - Harry, potrzebujesz tylko pewnej tabletki o nazwie Hardovax. W parę dni staniesz się prawdziwym mężczyzną. - Hardo-vax? - znów Harry. - Kurczę, może powinienem spróbować... - I ponownie głos spikera: - Dostępny we wszystkich aptekach lub na zamówienie... - W tym momencie Joe wyłączył radio. Teraz już wiem, o co chodziło Willisowi, powiedział sobie.

Na miniaturowym lądowisku centrum wylądował duży poduszkowiec. Joe usłyszał jego przybycie; cały budynek drżał i wibrował. A więc udało im się, pomyślał i pospieszył na spotkanie. Nogi miał jak z gumy, ledwie go niosły.

Pierwszy pojawił się Harper Baldwin.

- No, jest pan, panie Fernwright. - Uścisnął serdecznie rękę Joego. Wydawał się rozluźniony. - Ależ to była bitwa.

- Co się stało? - zapytał Joe, widząc wysiadającą z pojazdu kobietę w średnim wieku o ostrych rysach twarzy. Na Boga, pomyślał, nie stój tak, mów coś. - Jak udało się wam ujść z życiem? - zapytał, widząc, jak wysiada czerwony krepusek, za nim matrona, a potem jeszcze malutki facecik.

Pojawiła się Mali Yojez, która oznajmiła:

- Uspokój się, Joe. Ale się podniecasz.

Teraz zaczęły wysiadać niehumanoidalne formy życia. Wielonogi gastropoid, wielka szarańcza, puszysta kostka lodu, czerwona galaretka w metalowej ramie, jednokomórkowy głowonóg, milutki dwukomorowiec Nurb K'ohl Daq, pajęczak w błyszczącym chitynowym pancerzu... a potem sam ogoniasty werej - kierowca. Wszystko to szło, pełzało, toczyło się i ślizgało po powierzchni platformy, chroniąc się w kapsułach przed nocnym chłodem. Tylko Mali pozostała przy nim... no i werej - kierowca, który palił jakiś dziwny rodzaj trawki. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Było aż tak źle? - zapytał Joe.

- Było strasznie - powiedziała Mali uspokojonym już nieco głosem, nadal jednak była błada.

- Nikt jakoś nie chce o tym mówić - dziwił się Joe.

- Ja ci opowiem - oznajmiła. - Daj mi tylko chwilkę. - Wyciągnęła rękę do wereja. Gdy dostała papierosa, zaciągnęła się łapczywie i podała go Joe-mu. - Paliliśmy je kiedyś z Ralfem. Pomagały. Joe pokręcił głową.

- No dobrze - zgodziła się. - Po twoim telefonie wyszliśmy ze statku. Wtedy właśnie nadleciał Czarny Glimmung i zaczął nas okrążyć. Najęliśmy tego wereja i...

- Wystartowałem - oznajmił dumnie werej.

- Tak, wystartował - ciągnęła Mali. - Poinformowano go dokładnie o sytuacji, więc leciał, prawie dotykając ziemi. Leciał może z dziesięć stóp nad budowlami i polami. A co najważniejsze, obrał sobie tylko znaną drogę. - Do wereja zaś powiedziała: - Zapomniałam, jaki był powód stworzenia przez ciebie tego szlaku. Wyjaśnij to jeszcze raz.

Werej wyjął papierosa z szarych warg i odparł:

- Uciekinierzy przed podatkiem dochodowym.

- Tak. - Mali skinęła głową. - Na planecie Płowmana obowiązuje wielki podatek dochodowy, około siedemdziesięciu procent, oczywiście zależy to również od grupy zaszeregowania. A więc wereje obsługujący taksówki musieli się nauczyć tak lawirować między policją a agentami podatkowymi, by dowieźć pasażera, zanim zostanie przyłapany. Na statku pasażer jest już bezpieczny, bo to miejsce eksterytorialne jak ambasada.

- Zawsze mi się udaje - pochwalił się werej - dowieźć pasażera na statek, nim go złapią. Żaden policyjny krążownik, nawet z radarem, nie złapie mnie przed portem. W ciągu dziesięciu lat udało im się tylko raz i akurat wtedy byłem czysty - skrzywił się, wypuszczając dym.

Joe zapytał:

- To znaczy, że Czarny Glimmung ruszył za wami?

- Nie - odparła Mali. - Rzucił się na statek w parę minut potem, jak go opuściliśmy. Statek uległ całkowitemu zniszczeniu, a Czarny Glimmung został poważnie ranny, tak mówili przez radio.

- Więc dlaczego uciekaliście zakosami? - zdziwił się Joe.

- Wtedy zdawało się to dobrym pomysłem - odparła Mali. - Hilda Reiss mówiła coś o tym, że Glimmung atakuje Czarną Katedrę. Czy były jakieś nowiny na ten temat od czasu, gdy rozmawialiście przez telefon?

- Nie - powiedział Joe. - Nie sprawdzałem. Czekałem, aż się pojawicie.

- Jeszcze minutka na pokładzie tego statku - pomyślała głośno Mali - a zostalibyśmy zabici. To było tak blisko, Joe. Nie chciałabym przeżyć tego jeszcze raz. Myślę, że jemu statek wydawał się żywy, bo był taki wielki. My byliśmy tacy maleńcy, pewnie nigdy nie widział poduszkowca.

- Dziwne rzeczy dzieją się na tej planecie - powiedział werej. Teraz czyścił sobie zęby paznokciem

kciuka. Nagle wyciągnął dłoń.

- Czego chcesz? - zapytał Joe. - Uścisnąć mi rękę?

- Nie - oznajmił werek. - Chcę 0,85 crumbla. Oni powiedzieli, że ty płacisz za tę ekstra ucieczkę.

- Zwróć się do Glimmunga - powiedział Joe.

- Nie ma pan 0,85 crumbla? - zapytał werek.

- Nie - odparł Joe.

- A pani? - zwrócił się werek do Mali.

- Nikomu z nas jeszcze nie zapłacono - powiedziała Mali. - Uregulujemy rachunek, kiedy Glimmung nam zapłaci.

- Mógłbym wezwać policję - oznajmił werek, ale nie wyglądało na to, by rzeczywiście chciał. W zasadzie to miła istota, pomyślał Joe. Przyjmie zapłatę później.

Mali wzięła Joe'go za rękę i poprowadziła pod kopułę. Werek został z tyłu. Nie próbował ich zatrzymać.

- Wydaje mi się - powiedziała Mali - że osiągnęliśmy wspaniałe zwycięstwo. Mam na myśli ucieczkę przed Czarnym Glimmungiem i jego kontuzję. On chyba nadal pozostaje w porcie gwiazdowym, a władze zastanawiają się, co z nim zrobić. Będą czekać na decyzję Glimmunga. Ralf twierdził, że dzieje się tak od wielu dziesięcioleci, od chwili jego przybycia tutaj. On bardzo interesował się rządami Glimmunga nad tą planetą. Mawiał nawet...

- A jeśli Glimmung zginie? - zapytał Joe.

- Wówczas werek nie otrzyma zapłaty - odpowiedziała Mali.

- Nie o tym myślałem - powiedział Joe. - Chodziło mi o to, czy w przypadku śmierci Glimmunga władza nie zostanie powierzona Czarnemu Glimmungowi? Jako najbliższemu substytutowi?

- Bóg jeden wie - rzekła Mali. Dołączyła do grupy różnorodnych istot i przysłuchiwała się, co Harper Baldwin ma do powiedzenia miłemu dwukomorowcowi.

- Faust zawsze umiera - oznajmił Harper Baldwin.

- Tylko w sztuce Marlowe'a i zainspirowanych przez nią legendach - odparł Nurb K'ohl Daq.

- Wszyscy wiedzą, że Faust umiera - powiedział

Harper Baldwin. Spojrzał po otaczających go kręgiem stworzeniach. - Czyż nie mam racji? - zapytał.

- To nie zostało jeszcze rozstrzygnięte - rzekł Joe.

- Ależ tak! - krzyknął Harper Baldwin. - W Księdze Kalendów. I to dokładnie. Spójrzcie raz jeszcze.

Przestaliśmy już na to zwracać uwagę, ale powinniśmy byli odlecieć, gdy jeszcze mogliśmy, gdy statek był gotowy do startu.

- Wówczas byśmy zginęli - stwierdził pajęczak i zamachał wieloma odnóżami. - Uderzając w statek, Czarny Glimmung zabiłby nas wszystkich.

- To prawda - zgodziła się Mali.

- Tak by było - rzekł Nurb K'ohl Daq w swój przemyły sposób. - Jesteśmy tu tylko dlatego, że pan Fernwright potrafił przekonać pannę Hildę Reiss, iż Glimmung pragnie, abyśmy wyszli ze statku, co następnie uczyniliśmy...

- Bzdury - zdenerwował się Harper Baldwin.

Joe sięgnął po latarkę i udał się nad wodę. Skierował jasne helowe światło na powierzchnię oceanu w poszukiwaniu... czegokolwiek. Jakiegokolwiek znaku, świadczącego o kondycji Glimmunga.

Popatrzył na swój zegarek. Od momentu starcia z Czarnym Glimmungiem i zapadnięcia się

Glimmunga w głębinę Marę No-strum minęła już prawie godzina. Czyjego pracodawca nadal żyje?

Czy jego ciało wypłynęłoby na powierzchnię, czy tak jak moje błakałoby się w pełnej rozkładu

otchłani, zastanawiał się Joe. Czy gniłoby i chowało się w trumnie albo innej konstrukcji; już nieżywe,

ale jeszcze nie całkowicie martwe? Taki stan półśmierci mógł trwać całe wieki. Wówczas Czarna

Katedra miałaby okazję utorować sobie drogę na powierzchnię i na suchy ląd. Gdyby Glimmung

umarł, nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać.

Może pojawiła się kolejna wiadomość? Szukał na wodzie butelki, omiatał światłem wielkie połacie

oceanu. Żadnej butelki. Nic. Obok zjawiała się Mali.

- Masz coś?

- Nie - odparł krótko.

- Czy myślisz o tym, co ja? - zapytała. - Nadal sądzę, że wisi nad nim fatum porażki. Księga ma rację;

Harper Baldwin też. Faust zawsze przegrywa, a Glimmung jest wcieleniem Fausta. Ta jego walka...

jego upór... wszystko się zgadza. Legenda sprawdza się co do joty, nawet w tym momencie, gdy tu stoimy.

- Może masz rację - zgodził się Joe, nadal przeczesując powierzchnię wody snopem światła. Mali przytuliła się do niego.

- Teraz już jesteśmy bezpieczni. Możemy stąd odlecieć. Czarny Glimmung już nam nie zagrazi.

- Ja zostaję. - Joe odsunął się od dziewczyny, wciąż szukając butelki. O niczym nie myślał, jedynie

biernie czekał. Czekał na wskazówkę, na znak. Jakikolwiek znak o tym, co się dzieje na dole.

Nagle woda wzburzyła się. Skierował światło w tamtą stronę. Wysłał wzrok. Coś wielkiego próbowało wydostać się na powierzchnię. Co to było? Heldscalla? Glimmung? A może Czarna Katedra? Czekał roztrzęsiony. Woda gotowała się i syczała, w górę wzbijały się kłęby pary, a noc wypełniło potężne wycie istoty, dokonującej tytanicznego wysiłku.

- To Glimmung - oznajmiła Mali. - Jest ciężko ranny.

Rozdział piętnasty

Krag ognia wygasł. Wirował jedynie wodny krag, ale robił to tak nieporadnie, jakby poruszała nim zepsuta maszyna, a nie żywa istota.

Reszta grupy zgromadziła się na brzegu.

- Nie udało mu się - powiedziała czerwona galaretka wsparta na metalowej ramie. - Widzicie, zaczyna umierać.

- Tak - powiedział głośno Joe i zdziwił się, słysząc własne słowa. Brzmiały zgrzytliwie na tle jęków wydawanych przez rannego Glimmunga. Wielu innych podchwyciło je, jakby wypowiedział zaklęcie, jakby to on podjął decyzję, czy Glimmung ma żyć, czy nie. - Ale nie możemy być pewni, póki się do niego nie zbliżymy - dodał. Odłożył latarkę i zszedł po drabinie do łodzi. - Zamierzam to sprawdzić - oznajmił. Sięgnął po latarkę, a potem, drżąc na nocnym wietrze, odpalił silnik.

- Nie płyn tam - przestrzegła go Mali.

- Zobaczmy się za chwilę - zbagatelizował to Joe. Wyprowadził motorówkę z doku i skierował ją w spienione fale tworzące się wokół na wpeł wynurzonego Glimmunga.

Jakże wielka musi być ta rana, rozmyślał w skaczącej po falach łodzi. Rana na skalę, jakiej nie jestem w stanie pojąć. Cholera, pomyślał z goryczą, dlaczego to musi się tak kończyć? Dlaczego nie mogło być inaczej? Czuł się bezradny, jakby i jego ogarniała śmierć. Jakby sam był Glimmungiem.

Na wodzie kołysał się wielki kształt, z którego płynęła krew. Zupełnie jak z Chrystusa na krzyżu.

Jakby były jej niezliczone ilości. Jakby ten moment miał trwać wiecznie, pomyślał Joe. Ja na łódce, próbuję się zbliżyć, a on tam w wodzie, wykrwawia się na śmierć. Boże, to okropne, naprawdę okropne. A jednak prowadził łódź coraz bliżej.

Gdzieś z głębin własnego ciała odezwał się Glimmung:

- Potrzebuję was. Potrzebuję wszystkich.

- Ale cóż możemy zrobić? - Joe podpłynął jeszcze bliżej.

Teraz krawędź ciała Glimmunga znajdowała się o kilka metrów od motorówki. Woda i krew wlewały się na jej pokład. Joe czuł jak łódź się zanurza. Jeśli tak dalej pójdzie, to za chwilę zatone, pomyślał.

Z oporami zmienił kierunek i teraz odpływał od Glimmunga. Łódź przestała tonąć. A jednak nie czuł się dzięki temu lepiej. Strach pozostał ten sam. Joe wciąż identyfikował się z umierającym pracodawcą.

Glimmung przewrócił się właśnie na bok, tracąc kontrolę nad ciałem i wybełkotał:

- Ja... ja...

- Powiedz tylko, co mamy robić - krzyknął Joe - a zrobimy to.

- To bardzo miło z twojej strony - zdołał wyszeptać Glimmung, a potem przewrócił się brzuchem do góry, tak że nie mógł już mówić.

Oto koniec, pomyślał Joe.

Z ciężkim sercem skierował łódź do przystani. Było po wszystkim.

Parę istot, w tym Mali i Harper Baldwin, pomogło mu przycumować łódź.

- Dzięki - powiedział i niezgrabnie wdrapał się po drabinie. - On nie żyje - oświadczył. - Albo jest na krawędzi śmierci klinicznej. - Pozwolił pannie Reiss i Mali okryć się kocem, który natychmiast przywarł do mokrego od wody i krwi ciała. Mój Boże, pomyślał, jestem przemoknięty do suchej nitki. Zupełnie o tym nie pamiętał, tak pochłonęło go to, co działo się z Glimmungiem. Teraz znów zwracał uwagę na siebie. Na to, że jest mokry, przemarznięty i przepełniony goryczą.

- Masz tutejszego papierosa. - Mali wetknęła mu go między wargi. - Wchodź do środka. Nie ma już na co patrzeć. Zrobiłeś, co mogłeś i musisz wypocząć.

- On prosił nas o pomoc - wyszczekał zębami Joe.

- Wiem - powiedziała Mali. - Słyszeliśmy to. Pozostali skinęli głowami. Na ich twarzach malował się ból.

- Nie wiem, co moglibyśmy dla niego zrobić - powiedział Joe. - Jak moglibyśmy mu pomóc. Nie widzę żadnej możliwości, ale on chciał powiedzieć coś jeszcze. Może gdyby powiedział, moglibyśmy mu pomóc. W ostatnich słowach tylko mi podziękował. - Joe pozwolił Mali wprowadzić się pod ogrzewaną kopułę.

- Dziś w nocy opuścimy to miejsce - oznajmiła Mali.

- W porządku - zgodził się Joe, kiwając głową.

- Leć ze mną na moją planetę - zaproponowała Mali. - Nie wracaj na Ziemię. Nie będziesz tam szczęśliwy.

- Tak - odparł. Mówiła prawdę, bez najmniejszych wątpliwości. - A gdzie Willis? - zapytał, rozglądając się wokół. - Chcę mu przekazać jeszcze parę pojedzonek.

- Powiedzzonek - poprawiła go Mali. Skinął głową.

- Tak. Chciałem powiedzieć powiedzonek.

- Jesteś naprawdę zmęczony.

- Cholera - powiedział. - Nie wiem nawet dlaczego. Przecież tylko tam podpłynąłem i próbowałem z nim pogadać.

- To poczucie odpowiedzialności - stwierdziła Mali.

- Jakiej odpowiedzialności? Nawet go dobrze nie słyszałem.

- Ale obiecałeś mu coś. Odnośnie nas wszystkich.

- Tak czy inaczej zawiódłem - powiedział Joe.

- To on nas zawiódł. Nie ma w tym twojej winy. Słuchałeś go; wszyscy go słuchaliśmy. Nic nie powiedział.

- Czy on nadal jest na powierzchni? - zapytał Joe. Zerknął jej przez ramię na wodę.

- Jest na powierzchni, dryfuje w tę stronę. Joe rzucił papierosa, zgasił go obcasem i ruszył ku wodzie.

- Zostań tu - próbowała go powstrzymać Mali. - Tam jest zimno, a ty jesteś nadal mokry. Umrzesz.

- Wiesz, jak umarł Gilbert? - zapytał ją. - William Schwenck Gillbert? Dostał ataku serca, próbując ocalić tonącą dziewczynę. - Joe przepchnął się obok Mali na zewnątrz. - Chcę umrzeć - dodał, widząc że Mali idzie za nim. - Co w pewnym sensie mnie przeraża.

A może by tak umrzeć z Glimmungiem, pomyślał. W ten sposób dowiedziałbym się chociaż, co on czuje.

Ale ktoś by zwrócił na to uwagę? Nikt taki nie pozostał. Spiddlery i wereje, pomyślał. I roboty. Przepchnął się przez resztę grupy aż na samo nadbrzeże.

Cztery latarki oświetlały wybrzuszenie na wodzie, które kiedyś było Glimmungiem. • Joe, tak jak i inni, patrzył na ten widok w milczeniu. Nie przychodził mu do głowy żaden komentarz. Żaden też nie wydawał się potrzebny. Popatrzył na to, Joe, powiedział do siebie, do czego doprowadziłeś. Zatem summa summarum Księga Kalendów miała rację. Schodząc w głąbiny, spowodowałem jego śmierć.

- To twoja robota - rzekł Harper Baldwin.

- Jasne - stoicko zgodził się Joe.

- Miał pan powody? - zapytał wielonogi gastro-poid.

- Nie - oznajmił Joe. - Chyba żeby liczyć głupotę.

- Jestem gotów ją policzyć - stwierdził Harper Baldwin.

- Okay - rzekł Joe. - Pańska sprawa.

Wpatrywał się, wpatrywał i wpatrywał, a Glimmung był coraz bliżej, bliżej i bliżej. W momencie, gdy znalazł się tuż przy brzegu, jego ciało poderwało się nagle.

- Uwaga! - krzyknęła z tyłu Mali. Cała grupa rozproszyła się, biegnąc ku schronieniom w kopułach. Za późno. Joe spojrzął w górę i dostrzegł opadające wielkie cielsko. Glimmung opuścił się na nadbrzeże, zatapiając je i łamiąc w drzazgi. W chwilę potem Joe przyglądał się ciału Glimmunga z zupełnie innej perspektywy. Od wewnątrz.

Glimmung zamknął ich w sobie. Wszystkich. Nikt nie uszedł, nawet robot Willis, który stał daleko na uboczu. Teraz był schwyty i usidlony wewnątrz Glimmunga.

Joe usłyszał, jak Glimmung mówi. Słyszał to nie uszami, lecz mózgiem. Równocześnie dosłyszał głosy innych, reszty grupy, wplecione w głos Glimmunga jak tło muzyczne audycji radiowej:

- Pomocy?!

- Gdzie jestem?

- Wypuście mnie!

Mamrotali jeden przez drugiego jak spłoszone mrówki. Nad tym wszystkim grzmiał głos Glimmunga.

- Zaprosiłem was tu dzisiaj - oświadczył - ponieważ potrzebuję waszej pomocy. Tylko wy możecie mi jej udzielić.

Jesteśmy jego częścią, zdał sobie sprawę Joe. Częścią! Próbował coś zobaczyć, ale widział tylko rozmydloną galaretkę, która przesłaniała otaczającą ich rzeczywistość. Nie jestem przy krawędzi, pomyślał, jestem w centrum. Nic więc nie widzę. Ci z brzegu może coś widzą, ale...

- Proszę, posłuchajcie mnie - przerwał Glim-mung. - Skoncentrujcie się. Jeśli tego nie uczynicie, zostaniecie zabsorbowani i znikniecie, nikomu na nic się nie przydadając. Potrzebuję was do życia, chcę byćcie istnieniami jako odrębne jednostki w mej wielkiej somatycznej osobowości.

- Czy kiedykolwiek nas wypuścisz? - zajączał Harper Baldwin. - Czy też zostaniemy tu na zawsze?

- Chcę wyjść - krzyczała panicznie panna Reiss. - Wypuść mnie!

- Proszę - błagała wielka szarańcza - chcę fruwać i śpiewać. A trzymasz mnie tutaj ściśniętą z innymi. Pozwól mi fruwać, Glimmungu!

- Uwolnij nas! - błagał Nurb K'ohl Daq. - To nie jest w porządku!
- Zniszczysz nas!
- Poświęcasz nas na ołtarzu!
- Czy zginiemy, nie mogąc na to nic poradzić?
- Nie zginiecie. Zostaliście tylko wchłonęci - oświadczył Glimmung.
- To tak jakbyśmy zginęli - oponował Joe.
- Nie - grzmiał Glimmung. - Wcale nie tak. - Zaczął oddalać się od nadbrzeża i jego resztek, których nie wchłonął. W dół, pomyślał Glimmung, a Joe zaraz odebrał tę myśl. Inni także. W dół, na samo dno. Nadszedł czas wyniesienia Heldscalli.
Teraz, pomyślał Glimmung. To, co zatoneło przed wiekami, znów znajdzie się na powierzchni. Amalita i Borel, pomyślał. Będziecie wolne, gdy znajdziecie się na brzegu. Będzie tak jak kiedyś, aż do końca wszechświata.
Głębia. Woda stała się mętna. Roila się od przeróżnych drobin. To głębinowa śnieżycyca, pomyślał. Zima uczyniona z zawieszonych w wodzie form roślinnych. Niech już opadną.
Przed nimi leżała Heldscalla. Jasne wieże, gotyckie łuki, witraże oprawne w złoto. Zobaczył to mnóstwem oczu. Była nienaruszona, jeśli nie liczyć inżynierskich przygotowań, jakie już poczyniono w celu jej wydobycia. Teraz, pomyślał Glimmung, wejdę do ciebie, stanę się częścią ciebie i wyniosę cię. Wzniesiesz się ze mną i umrzemy na brzegu. Ale będziesz ocalona.
Dostrzegł ruiny Czarnej Katedry. Rozbite na kawałki. Powalone w tym miejscu, gdzie je pozostawił. Gnijące i nieprzydatne resztki, które już w niczym nie mogą mi przeszkodzić, nawet gdy jestem tak słaby. Dzięki wam wszystkim, pomyślał, znów mogę działać. Czy mnie słyszycie?
- Powiedźcie, czy mnie słyszycie? - rzekł.
- Tak, słyszymy.
- Tak?
- Tak - powtarzały głosy zjednoczonych form.
- W porządku - powiedział, nurkując z triumfem ku Heldscalli.
- Czy my to przeżyjemy? - zapytał Joe Fern-wright. Odczuwał strach.
Przeżyjecie, pomyślał Glimmung. Ale ja nie przeżyję. Zmieniając kształt, rozciągnął się najbardziej jak mógł i oplótł sobą katedrę. Teraz wy jesteście mną, a ja jestem tobą, Heldscallo, pomyślał. Stało się tak wbrew Księdze.
Trzymał w sobie zatopioną katedrę.
Teraz, pomyślał. Nasłuchiwał, przestał się ruszać. Panie Baldwin, pomyślał, panno Yojez, panie Daq, panno Fleg, panno Reiss, czy mnie słyszycie?
- Tak - rozległy się zduszone odpowiedzi. Czuł ich obecność, ich podniecenie, ich wolę działania.
- Razem - powiedział im. - By przeżyć musimy przeć w górę, a to wymaga współdziałania. Nie ma innej drogi. Nigdy nie było.
- Co mamy zrobić? - zapytały głosy.
- Połączcie się ze mną - powiedział Glimmung. - Połączcie swe umiejętności... wszystko w moim umyśle. Panie Baldwin; pan przemieszcza przedmioty na odległość. Proszę mi pomóc. Pomóc im wszystkim. Panno Yojez; pani posiada sztukę odłupywania koralu. Proszę to teraz robić, proszę skruszyć koral. Panie Fern-wright, musi pan połączyć razem ceramiczne powierzchnie katedry... one niech będą gliną, a pan garncarzem. Panie Daq; jest pan inżynierem hydraulikiem.
- Nie - odparł Daq. - Jestem archeologiem; zajmuję się odkopanymi obiektami. Potrafię je identyfikować, katalogować i ustalać ich wartość kulturową.
Tak, pomyślał Glimmung, to pan Lunc jest inżynierem hydraulikiem. Zapomniałem. Zbieżność nazwisk.
- A teraz pierwsze podejście - oznajmił Glimmung wszystkim swym częściom posiadającym odrębną osobowość. - Katedra zapewne wciągnie nas znów pod wodę. Ale wówczas spróbujemy jeszcze raz.
- Dopóki starczy nam życia? - spytała Mali Yojez.
Tak, pomyślał. Póki żyjemy, będziemy próbować. Póki nie umrze ostatni z nas.
Ale to nie jest w porządku, pomyślał Harper Baldwin.
Zaferowaliście mi od siebie wszystko, pomyślał Glimmung. Chcieliście pomóc, gdy umierałem. Teraz możecie to zrobić. Cieszcie się tym.
Licznymi wypustkami złapał płytę wspierającą katedrę. Przedtem byli tu: Czarny Glimmung i Czarna Katedra. Nie mogłem brać na siebie aż takiego ryzyka. Teraz mogę.
Pierwsza próba się nie powiodła. Katedra nadal tkwiła w objęciach koralu. Całą swą masą. Westchnął z wysiłku. Powtórzyły to za nim wszystkie wewnętrzne głosy. Z bólem i desperacją.
Ona nie chce się ruszyć, pomyślał Joe Fernwright.
- Czyżby? - zapytał Glimmung. - Skąd wiesz?
Odkryłem to, pomyślał Joe, będąc tu w dole. Odczytałem to z dzbana, pamiętasz?
Tak, pomyślał Glimmung. Pamiętam. Czuł przerażenie ogarniające wszystkich, którzy z nim tu

przybyli. Nawet jego samego. Historia się powtarza, pomyślał. Faust odnosi porażkę. Ale przecież ja nie jestem Faustem.

- Jesteś - powiedziało wiele głosów.

- Ciągnijmy w górę - oznajmił Glimmung. - Dalej.

Czuł, że cokolwiek katedry stawia opór.

Może masz rację, Joe, pomyślał.

Wiem, że ją mam, nadpłynęła odpowiedź. Tak było już kiedyś i historia znów się powtórzy.

Ale ja mogę dźwignąć Heldscallę, powiedział do siebie i innych Glimmung. Możemy to zrobić, my wszyscy.

Używając ich jako ramion, napał na bryłę katedry i przymuszał ją do ruchu, nawet wbrew jej woli.

Czując opór, napęlił się goryczą.

Tego nie wiedziałem, pomyślał. Może ta wiedza mnie zabije, może tak należy rozumieć Księgę. Może powinienem zostawić katedrę tu w dole, pomyślał. Może tak jest lepiej.

Ona się nie podda.

Spróbował jeszcze raz. Nie. Nie podda się, teraz już wiem. Nigdy. I nikomu. Pod żadnym pozorem.

- Podda się - powiedział Joe Fernwright. - Gdy wylizesz się już z ran poczynionych ci przez Czarną Katedrę.

- Co? - zapytał i nasłuchiwał. Do głosu Joego dołączyły inne:

- Gdy będziesz silniejszy, ale nie wcześniej.

Muszę się wzmocnić, zrozumiał. Musi minąć trochę czasu, prawdziwego czasu, nad którym nie mam kontroli. Skąd oni mogą o tym wiedzieć, skoro ja nie wiem? Nasłuchiwał, lecz nie słyszał już głosów.

Ustały, gdy przestał się natęczać. Niech więc tak będzie, zdecydował. Wyplnę na powierzchnię bez katedry i pewnego dnia, już wkrótce, znów spróbuję.

Wówczas powtórnie was pochłonę. Wszystkich. Znów będziecie częścią mnie, jak teraz.

- W porządku - zapiszczały głosy. - Ale już nas puść. Udowodnij, że możesz nas uwolnić.

- Tak zrobię - oznajmił im. I wyplnął na powierzchnię.

Owiało go nocne powietrze. Zobaczył błyszczące w oddali gwiazdy.

Na linii brzegu, w towarzystwie wodnego ptaactwa, wypuścił z siebie wszystkich, których pochłonił, po czym ponownie rzucił się w głąbiny, które teraz były już dlań bezpieczne.

Mógł w nich pozostać na zawsze, nie narażając się na spotkanie z wrogimi siłami. Dzięki ci, Joe Fernwright, pomyślał, ale tym razem nie otrzymał już myślowej odpowiedzi. Znów był pusty w środku. A zatem wypowiedział te same słowa na głos. Robiąc to, poczuł się bardzo samotny. Przez chwilę miał ich przecież w sobie. Ale... to znów się powtórzy. Miłe, wewnętrzne ciepło.

Zbadał swe rany, ułożył się wygodnie i czekał.

Roztrzęsiony Joe Fernwright, z nogami w piaskowym błotku, usłyszał głos Glimmunga:

- Dziękuję ci, Joe Fernwright.

Słuchał dalej, ale nic więcej już nie usłyszał.

Widział wielkie cielsko Glimmunga, spoczywające kilkaset jardów od brzegu. Mógł nas zabić, pomyślał. Siebie zresztą też. Dobrze, że posłuchał i nie próbował dalej wydobywać katedry.

- Koniec był bliski - zwrócił się Joe do stworzeń na plaży. Zwłaszcza do Mali Yojez, która przywarła do niego, próbując się ogrzać. - Bardzo bliski - dodał, na wpeł do siebie. Zamknął oczy. A jednak Glimmung nas wypuścił. Teraz możemy udać się przed siebie na własnych nogach. Chyba, że on znów spróbuje nas pochłoniąć.

Ale to nie wydawało się jak na razie aktualne.

- Czy zamierzasz zostać na planecie Płowmana? - zapytała Mali. - Wiesz, co to znaczy? On wkrótce znów pochłonie tych, którzy zostaną.

- Ja zostaję - oznajmił Joe.

- Dlaczego?

- Chcę się przekonać, że Księga jest omylna.

- Już się przekonałeś.

- Ale nie do końca - powiedział Joe. - Nie raz na zawsze. - Bo jak na razie, pomyślał, jeszcze nic nie wiadomo. Nie wiemy, co zdarzy się jutro czy po jutrze. Nadal mogę spowodować śmierć Glimmunga. W jakiś pośredni sposób.

Ale wiedział, że tak się nie stanie. Było na to za późno. Pewnych rzeczy już nie da się odwrócić.

Kalendowie zawiedli. Nie posiadali już nad nimi żadnej władzy.

- Księga myliła się niewielkim stopniem - powiedział. Kalendowie z pewnością posługiwali się rachunkiem prawdopodobieństwa. Generalnie więc mieli rację. Ale istniały wyjątki, takie jak ten, gdy się mylili. Co ważne, chodziło o realną, fizyczną śmierć Glimmun-ga i dosłowne, fizyczne podniesienie Heldscalli.

W relacji do tego pewne odległe fakty, jak ponowne wchłonięcie tej planety przez Słońce, z którego powstała, nie miały znaczenia. Były zbyt odległe. W tak rozległej analizie Kalendowie mogli być

bezbłądnie. Ich przepowiednie opierały się na bazie praw termodynamiki i entropii. Oczywiście Glimmung też w końcu umrze. I on też. Oni wszyscy. Ale w tej chwili i w tym miejscu Heldscalla czekała, aż Glimmung dojdzie do siebie. W końcu przecież tak się stanie i katedra wynurzy się z wody, jak zaplanował Glimmung.

- Byliśmy jednością encefaliczną - oznajmiła Mali.

- Przepraszam? - zapytał Joe.

- Grupowym umysłem. Tyle tylko, że wszyscy podlegaliśmy Glimmungowi. Ale przez moment - wykonała nieokreślony gest - my wszyscy, stworzenia z przynajmniej dziesięciu różnych systemów, działaliśmy jak jeden organizm. W pewien sposób było to fascynujące. Nie być...

- Samotnym - dokończył Joe.

- Tak. To sprawiło, że zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem samotna. Odizolowana od innych... od życia. To się skończyło, gdy wchłonął nas Glimmung. Nie byliśmy już pojedynczymi nieudacznikami.

- Przez chwilę - powiedział Joe. - Teraz już nie.

- Skoro ty zostajesz, to ja też - oznajmiła Mali.

- Dlaczego?

- Podoba mi się grupowe myślenie, grupowa wola. Tak jak mówią na twojej planecie, w jedności siła.

- Nie mówią już tak od prawie stu lat - zaprzeczył Joe.

- Nasze podręczniki były bardzo stare - zalotnie usprawiedliwiła się Mali.

Joe odezwał się głośno do reszty grupy:

- W porządku, ruszajmy do hotelu „Olimpia”. Wykapiemy się tam i zjemy coś ciepłego.

- A potem się prześpimy - dodała Mali. Otoczył ją ramieniem.

- Ale nie koniecznie od razu - powiedział. - Jak to istoty humanoidalne...

Rozdział szesnasty

W osiem dwudziestosześciodziesięciu dni później Glimmung poprosił całą grupę, by zebrała się na platformie obok kapsuł. Robot Willis sporządził listę przybyłych. Gdy policzył już wszystkich, zawiadomił Glimmunga i razem na nich czekali.

Pierwszy był na miejscu Joe Fernwright. Ułożył się wygodnie na jednym z krzeseł i zapalił papierosa z lokalnej trawki. To był dobry tydzień. Stale przebywał z Mali. Zaprzyjaźnił się też z Nurb K'ohl Daąiem, dwu-komorowcem o gorącym sercu.

- Powiem ci dowcip z Deneba Cztery - oznajmił dwukomorowiec. - Pewien freb, którego nazwiemy A, próbuje ci sprzedać glanka za pięćdziesiąt tysięcy burfli.

- Co to jest freb? - zapytał Joe.

- To taki... - zastanowił się dwukomorowiec - rodzaj idioty.

- A burfel?

- Jednostka monetarna, jak crumbel albo rubel. W każdym razie, ktoś mówi do tego freba: „Czy ty naprawdę myślisz, że dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy za tego glanka?”

- A co to jest glank? - zapytał Joe.

Dwukomorowiec aż się zaróżowił z wysiłku.

- To zwierzak domowy, niższa forma życia. A więc ten freb odpowiada: „Znam swoją cenę”. „Znasz swoją cenę?” pyta ten, co pytał. „Naprawdę?” „No jasne”, odpowiada freb. „Kupiłem go za dwadzieścia pięć tysięcy burfli pidnidów”.

- Co to jest pidnid?

Dwukomorowiec dał w końcu za wygraną. Wycofał się do swej muszli, w ciszę i spokój.

Zaczynamy być nerwowi, pomyślał sobie Joe. Nawet Nurb K'ohl Daq. To dotyczy nas wszystkich.

Wstał na równe nogi. Wówczas pojawiła się Mali.

- Proszę. - Od razu podsunął jej krzesło.

- Dzięki - wymruczała siadając. Była blada, a gdy zapalała papierosa, trzęsły się jej ręce. - To ty powinieś mi go zapalić - powiedziała pół żartem, pół serio. - Wydaje mi się, że jestem ostatnia. - Rozejrzała się wokół.

- Stroiłaś się? - zapytał Joe.

- Jasne - odparła. - Chciałam z tej okazji dobrze wyglądać.

- A jak powinno się być ubranym na fuzję encefaliczną?

- Tak. - Wstała, by pokazać mu zielony kombinezon. - Trzymałam go na specjalną okazję. A to jest taka właśnie okazja - znów usiadła, krzyżując swe długie nogi i zaciągając się papierosem. Było widać, że intensywnie myśli.

Do pomieszczenia wkroczył Glimmung.

Przybrał zupełnie nową formę. Joe przyglądał się czemuś na kształt worka i rozmyślał, dlaczego Glimmung wybrał właśnie coś takiego. Z jakiego systemu gwiazdowego mogło pochodzić to

przebranie?

- Moi drodzy przyjaciele - zagrzmiał Glimmung. Jego głos nic się nie zmienił. - Najpierw wiedzcie, że w pełni odzyskałem siły fizyczne, choć psychicznie jestem jeszcze trochę osłabiony. Po drugie, w tajemnicy przeprowadziłem na was wszystkie testy, które upewniły mnie, że wy również jesteście we wspaniałej formie. Panie Fernwright, panu szczególnie chciałbym podziękować za powstrzymanie mych przedwczesnych zakus na podniesienie katedry.

Joe skinął głową.

Po chwili przerwy worek rozwarł usta i mówił dalej:

- Wydajecie się bardzo spokojni.

Joe stanął wyprostowany przed Glimmungiem:

- Jakie masz szansę przeżycia?

- Dobrze - odparł Glimmung.

- Ale nie wspaniale? - zapytał Joe.

- Uzgodnię coś z wami - powiedział Glimmung. - Jeśli poczuję, że moje siły słabną, że nie uda mi się tego zrobić, wrócę na powierzchnię i wypuszczę was.

- A co potem?

- A potem - ciągnął dalej Glimmung - wrócę na dół i znów spróbuję. Będę próbował póki starczy sił. -

W centralnej części worka otworzyło się troje oczu. - Czy o to wam chodziło?

- Tak - powiedziała czerwona galaretka wsparta na metalowej ramie.

- Naprawdę troszczycie się o swe bezpieczeństwo? - zapytał Glimmung.

- To prawda - stwierdził Joe. Mówiąc to, poczuł się dziwnie. Naruszył stworzoną przez Glimmunga atmosferę pełnego zjednoczenia. A jednak musiał to zrobić. Taki był konsensus grupy. W dodatku sam to tak odczuwał.

- Nic wam się nie stanie - zapewnił Glimmung.

- Założmy - rzekł Joe - że nie będziesz w stanie wydostać się na powierzchnię.

Glimmung obserwował go przez chwilę trojgiem oczu.

- Już raz mi się to udało - powiedział. Spojrzawszy na zegarek, Joe oznajmił:

- Zaczynamy.

- Czy mierzysz czas wszechświatowi - zapytał Glimmung - by sprawdzić, czy się nie późni? Czy chcesz w ten sposób ujarzmić gwiazdy?

- Mierzę czas tobie - wyznał Joe. - Rozmawialiśmy o tym wszyscy i dajemy ci dwie godziny.

- Dwie godziny? - troje oczu patrzyło z niedowierzaniem. - Na wydobywanie Heldscalli?

- Zgadza się - powiedział Harper Baldwin. Przez moment Glimmung rozmyślał.

- Wiecie co - powiedział w końcu - w każdej chwili mogę was wchłonąć, a potem wcale nie muszę was wypuszczać.

- Tego bym nie robił - wyrwał się wielonogi ga-stropoid - ponieważ po fuzji moglibyśmy odmówić pomocy. Bez naszej pomocy nie udałoby ci się nic zrobić.

Skupiający w sobie osiemdziesiątysięcnotonową istotę, worek zawrzał diabelskim gniewem.

Potem stopniowo uspokajał się.

- Jest teraz czwarta trzydzieści po południu - powiedział do Glimmunga Joe. - Do szóstej trzydzieści musisz wnieść Heldscallę i wrócić z nami na suchy ląd.

Wyciągając nibynóżkę, workowaty stwór dobył ostatniej wersji Księgi Kalendów. Otworzył wolumin i przestudiował dokładnie tekst. Potem z namaszczeniem zamknął Księgę i odłożył ją.

- I co tam napisali? - spytała piskliwym głosem kobieta w średnim wieku.

- Napisali, że nie jestem w stanie tego dokonać - oznajmił Glimmung.

- Dwie godziny - oświadczył Joe. - Teraz już nawet mniej.

- Nie trzeba aż dwóch - powiedział Glimmung. - Jeśli nie uda mi się w godzinę, odstawię was na brzeg. - Odwrócił się i wyszedł na odnowione nabrzeże.

- Gdzie mamy się ustawić? - zapytał Joe, który wyszedł za nim.

- Nad brzegiem wody - odparł Glimmung. Głos miał zdenerwowany, ale zarazem zadowolony.

Warunki postawione przez grupę wydawały się zwiększać jego determinację.

- Powodzenia - życzył Joe.

Wszyscy pozostali wylecieli, wyczołgali się, bądź wyszli na zewnątrz, tak jak prosił Glimmung i zebrali się na skraju wody. Glimmung spojrział na nich raz jeszcze i zszedł po drabinie do wody.

Natychmiast zniknął pod powierzchnią; tylko wodne kółka i piana znaczyły miejsce, gdzie się zanurzył. Pewnie na zawsze, pomyślał Joe. My też, wraz z nim, możemy tam pozostać wiecznie.

- Boję się - powiedziała stojąca obok Joego Mali.

- To już nie potrwa długo - pocieszyła ją swińska blondyna o solidnej tuszy.

- Jaka jest pani specjalność? - zapytał ją Joe.

- Łupanie skał.

Teraz już czekali w ciszy.

Połączenie nastąpiło w ułamku sekundy. Było jak szok. Joe odkrył, że wszyscy tak to odczuli. Słyszał przestraszone głosy podporządkowanych nadrzędnej obecności Glimmunga, jego myślom, zamierzeniom. A także jego obawom. Pod gniewem i zadowoleniem kryły się bowiem u Glimmunga niezauważalne przed połączeniem obawy. Teraz wszyscy je znali i Glimmung był tego świadom.

- Glimmung się boi - powiedziała matrona.

- Tak, bardzo się boi - zapiszczał facecik.

- Bardziej niż my - skomentował pajęczak.

- Niż niektórzy z nas - poprawiła szarańcza.

- Gdzie jesteśmy - zapytał konus o czerwonej twarzy. - Już zdążyłem się pogubić - w jego głosie brzmiała panika.

- Mali? - odezwał się Joe.

- Tak? - Wydawała się bardzo blisko. W zasięgu dotyku. Ale nie miał tego jak sprawdzić, będąc częścią Glimmunga. Żadne z nich nie mogło się samodzielnie poruszyć. Istnieli tylko mentalnie... co było dla Joego dość niemiłym uczuciem.

Opadli na dno oceanu.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał nerwowo Harper Baldwin. - Nie widzę zbyt dobrze; jestem zbyt daleko, a ty, Fernwright?

Oczami Glimmunga Joe dostrzegł przed sobą kształt Heldscalli. Glimmung poruszał się szybko, nie tracąc czasu. Bez wątplenia poważnie potraktował swój limit czasowy. Spróbował objąć katedrę stalowym uściskiem, który nie miał prawa zawieść.

Nagle zatrzymał się. Z Heldscalli wyłoniła się drobna, ulotna sylwetka i stanęła naprzeciw niego. Joe poczuł myśli Glimmunga i zrozumiał, dlaczego ten się nie rusza. Zrozumiał, kim jest objawiona postać.

Mgłorzecz. Zjawa z przeszłości. Nadal żywa. Stojąca między Glimmungiem a Heldscallą.

Mgłorzecz blokowała im drogę dosłownie i w przenośni.

- Questobarze - powiedział Glimmung - ty nie żyjesz.

Mgłorzecz odparła:

- I jak wszyscy inni nieżywi na tej planecie jestem teraz tutaj, w Marę Nostrum. Nic na tej planecie nie umiera do końca. - Mgłorzecz wzniosła ramiona i wskazała na Glimmunga. - Jeśli wyniesiesz Heldscallę z głębin na stały ląd, przywrócisz kult Amality, no i pośrednio Boreli. Czy jesteś na to przygotowany?

- Tak - oznajmił Glimmung.

- I na nas? Takich, jakimi byliśmy przedtem?

- Tak - powiedział Glimmung.

- Nie będziesz już dominującym gatunkiem na planecie.

- Tak - rzekł Glimmung. - Wiem. - Przenikały go gwałtowne myśli, ale nie był to strach.

- Nadal pragniesz wnieść Heldscallę? Z tą wiedzą?

- Trzeba przenieść ją na stały ląd - powiedział Glimmung. - Tam, gdzie powinna się znajdować. Nie może pozostać w świecie podwodnego rozkładu.

Mgłorzecz odstąpiła na bok.

- Nie będę cię zatrzymywać - oznajmiła.

Radość wypełniła Glimmunga. Ruszył z wawo do obejmowania Heldscalli, a oni za nim. Wszyscy zjednoczyli się z Glimmungiem. Wszyscy razem chwycili katedrę. Gdy to uczynili, Glimmung zaczął się zmieniać. Cofał się w czasie, stając się tym, czym dawno już przestał być. Stał się potężny, dziki i mądry. A potem, gdy już dźwignął katedrę, znów się zmienił.

Glimmung przeistoczył się w wielką istotę żeńską.

Katedra także cofnęła się w czasie. I ona się zmieniła. W ramionach Glimmunga stała się maleńkim płodem. Niewielką śpiącą dzieciną w łonie matki. Glimmung bez wysiłku wyniósł ją na powierzchnię. Wszyscy krzyknęli z zachwytem, gdy nagle znalazła się w promieniach słońca.

Skąd ta zmiana, zastanawiał się Joe.

Glimmung odpowiedział, a raczej pomyślał. Kiedyś byłem istotą dwupłciową. Moja druga połowa została uśpiona na lata. Dopiero przy jej udziale mogłem uczynić katedrę swym dzieckiem. Tak też miało się stać.

Przygnieciony ciężarem dziecka grunt marszczył się i uginał. Joe czuł, jak ziemia ustępuje pod wielkim ciężarem. Ale Glimmung nie wydawał się tym zdenerwowany. Stopniowo opuścił katedrę, pozwalając jej swobodnie spocząć na lądzie. Haldscalla jest moją częścią, pomyślał Glimmung. Zabrzmiął grzmot i zaczęło padać. Spokojnie, mocno. Deszcz nasączał wszystko. Woda spływała po katedrze i kierowała się do Marę Nostrum. Budowla stopniowo przybierała swą zwykłą formę. Dziecko ustąpiło miejsca skałom i bazaltowi, wysokim sklepieniom i gotyckim łukom. Znów pojawiły się witraże oprawne w złoto, lśniące w promieniach zachodzącego słońca.

Zrobione, pomyślał Glimmung. Teraz mogę odpocząć. Wielki nocny łowca odniósł zasłużone

zwycięstwo. Znow powrócił porządek.

Wypuść nas, pomyślał Joe. Jeszcze to ci pozostało.

- Tak! - krzyknęli inni. - Wypuść nas!

Glimmung zawahał się. Joe czuł jego sprzeczne myśli. Nie, pomyślał. Z wami mam wielką władzę.

Gdy was wypuszcze, znów zatone, skurcze się w nicłość.

Musisz, pomyślał Joe. Taka była umowa.

To prawda, pomyślał Glimmung. Ale ze mną możecie tylko zyskać. Możemy istnieć tysiąc lat i żadne z nas nie będzie samotne.

Głosujmy, pomyślała Mali Yojez.

Tak, zgodził się Glimmung. Głosujcie, by zobaczyć, kto chce we mnie zostać, a kto chce żyć indywidualnie.

Ja zostanę, pomyślał Nurb K'ohl Daq.

Ja też, oznajmił pajęczak.

Głosowanie trwało. Joe tylko się przysłuchiwał. Niektórzy chcieli pozostać, niektórzy uwolnić się. Ja chcę być uwolniony, pomyślał i tak też powiedział, kiedy nadszedł jego czas. Glimmung wzdrygnął się z niezadowoleniem. Panie Joe Fernwright, pomyślał Glimmung, nie zostanie pan?

Nie, pomyślał Joe.

Spacerował zacienionym brzegiem bagna, gdzieś na dzikich pustkowiach planety Płowmana. Od jak dawna tu jestem? Nie wiedział. Jakiś czas temu był jeszcze we wnętrzu Glimmunga. Teraz, samotny, posuwał się z trudem po gruncie, a ostry piasek kaleczył mu stopy.

Czy jestem sam, zastanawiał się. Przystanąwszy, spojrzął w mrok w poszukiwaniu jakiejś formy życia.

Podbiegł do niego wielonogi gastropoid.

- Wyszedłem z tobą - oznajmił.

- Ktoś jeszcze? - zapytał Joe. Gastropoid powiedział:

- Wyszliśmy tylko my. Wszyscy inni zostali. Uważam, że to niesamowite, ale tak się stało.

- Mali Yojez też została?

- Tak - stwierdził gastropoid.

A więc jednak. Joe czuł na sobie wiekowy ciężar. Najpierw Podniesienie katedry, a teraz utrata Mali. To za wiele.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy - zapytał gastropoid. - Nie dam rady iść dalej.

- Ja też nie - odparł gastropoid. - Na północy widać jakieś światło. Mam je na azymucie i zmierzamy w tym kierunku. Za godzinę powinniśmy być na miejscu, jeśli dobrze obliczyłem naszą szybkość.

- Nie widzę tego światła - powiedział Joe.

- Mam lepszy wzrok niż ty. Zobacysz je za dwadzieścia minut. Jest bardzo słabe. Pewnie to kolonia spidderów.

- Spidderów? - zapytał Joe. - Czy przez resztę życia zostaniemy wśród spidderów? Czy tak skończymy po opuszczeniu Glimmunga?

- Możemy się stamtąd udać poduszkowcem do hotelu „Olimpia” - powiedział gastropoid. - Tam znajdziemy swoje rzeczy i będziemy mogli wracać na nasze planety. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Zrobiliśmy to, po co nas wezwano. Powinniśmy się cieszyć.

- Tak - rzekł sucho Joe. - Powinniśmy.

- To była wielka rzecz - upierał się gastropoid. - Widzisz już, że legendy o Fauście nie muszą się sprawdzać w rzeczywistości, a w dodatku...

- Porozmawiamy o tym - przerwał mu Joe - po dotarciu do hotelu.

Ruszył dalej. W chwilę potem wielonogi stwór ruszył za nim.

- Czy na twojej planecie jest bardzo źle? - zapytał gastropoid. - Ziemia, tak ją nazywacie?

- Na Ziemi - powiedział Joe - jest jak w niebie.

- No to jest źle.

- Tak - oznajmił Joe.

- To może wybierzesz się ze mną - zaproponował gastropoid. - Mogę znaleźć ci robotę... jesteś druciarzem, prawda?

- Zgadza się - powiedział Joe.

- Na Betelguezie Dwa mamy dużo ceramiki - rzekł gastropoid. - Twoje usługi byłyby w cenie.

- Mali - powiedział Joe do siebie. Gastropoid usłyszał to.

- Rozumiem. Ale ona nie wyszła. Została z Glimmungiem. Tak jak inni, bała się powrotu do nieudanego życia.

- Chyba polecę na jej planetę - oznajmił Joe. - Z tego co opowiadała... - na chwilę przestał mówić. - W każdym razie - kontynuował - będzie tam lepiej niż na Ziemi. - I nadal będę wśród humanoidów, pomyślał. Może spotkam tam kogoś takiego jak Mali. Przynajmniej mam szansę.

Szli dalej w milczeniu. Szli ku odległej kolonii spidderów, którą było już widać na horyzoncie.

- Chyba wiem, na czym polega twój problem - powiedział gastropoid. - Powinieneś zrobić jakiś nowy

dzban zamiast naprawiać stare.

- Ale przecież mój ojciec był druciarzem, nie garncarzem - powiedział Joe.

- Popatrz, na czym polegał sukces Glimmunga. Naśladuj tego, kto swą postawą walczył przeciw Księdze Kalendów i pokonał ją, pokonując zarazem tyranię przeznaczenia. Bądź twórczy. Pracuj przeciw przeznaczeniu. Spróbuj.

- Spróbuję - powiedział Joe. Nigdy o tym nie myślał.

Nigdy nie chciał robić dzbanów, choć technicznie wiedział jak.

- W warsztacie, który przygotował ci Glimmung - rzekł gastropoid - masz cały niezbędny do tego sprzęt i materiały. Z twoją wiedzą i zdolnościami powinieneś dać sobie radę.

- Okay - przyznał Joe. - Spróbuję.

Stał w nowym, lśniącym warsztacie. Spojrzał na główną ławę, trzy zestawy naprawcze, samoogniskują-ce soczewki, dziesięć igłowych topników i masę glazur we wszystkich możliwych kolorach i odcieniach. Anty-grawitator. Piec. Pojemniki z mokrą gliną. I koło garncarskie, napędzane elektrycznie.

Wezbrała w nim nadzieja. Miał wszystko, czego potrzebował. Koło, glinę, glazury, piec.

Sięgnął po bryłę szarej glinki, przeniósł ją na koło i uruchomił je. No to zaczynam, pomyślał z zadowoleniem. Używając swych mocnych kciuków zaczął kształtować otwór, równocześnie wynosząc ścianki palcami. Bryła rosła i rosła, a otwór w środku stawał się coraz większy.

W końcu było po robocie.

Wysuszył glinę w piecyku, a potem pokrył dzbanek prostą glazurą. Może jeszcze jeden kolor?

Wybrał inne szkliwo. Drugie i ostatnie. Pora do pieca.

Umieścił swoje dzieło w rozgrzanym piecu, zamknął drzwiczki, usiadł na ławie i czekał. Miał mnóstwo czasu. Całe życie, jeśli trzeba.

W godzinę później zadzwonił sygnalizator pieca. Urządzenie wyłączyło się, dzban był gotowy.

Używając azbestowych rękawiczek, drżącymi dłońmi sięgnął do rozgrzanej gardzieli pieca, z której wydobyl bialo-niebieski dzbanek. Zabrał go na stół, pod dobre światło. Odszedł kilka kroków, by móc się przyjrzeć. Podziwiał to, co zrobił, a zarazem to, co może zrobić w przyszłości, poczyniwszy odpowiednie poprawki. Teraz czuł się usprawiedliwiony za opuszczenie Glimmunga i wszystkich pozostałych. Zwłaszcza Mali. Mali, którą kochał.

Dzbanek był potwornie brzydki.